

poniedziałek - 11-12
sobota - 11-I

KOMEDYE.

Uwaga dla aktorów.

Prawo i lewo rozumie się od widzów.

<http://rcin.org.pl>

KOMEDYE

JANA ALEXANDRA H. FREDRY.

TOM II.

Sosażna jedynaczka. — Mentor.
Consilium facultatis.

Z PORTRETEM AUTORA.

WYDANIE NOWE.

Wszelkie prawa wobec sceny zastrzega się.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
88-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 82
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA,
1880.

<http://rcin.org.pl>



KRAKÓW. — W Drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

4594/2

<http://rcin.org.pl>

POSAŻNA JEDYNACZKA.

KOMEDYA

W JEDNYM AKCIE, PROZĄ.

PRZEDSTAWIONA PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE

dnia 17 Kwietnia 1868.

WINCENTEMU
HRABIEMU
BOBROWSKIEMU

KOLEDZE I PRZYJACIELOWI

JAN ALEXANDER FREDRO.

OSOBY.

PAN SZUMBALIŃSKI, majątny obywatel, wdowiec.

PAULINA, jego córka.

PAN MACIEJ GOMOJŁO, obywatel z Litwy.

AGATA, jego żona.

PAN KAZIMIERZ RATATYŃSKI, obywatel z Podola.

LUDWIKA, jego żona.

KAMILLA.

JÓZIA.

AUGUST DARZYŃSKI.

HENRYK MARECKI.

BŁAŻEJ, stary służący pana Szumbalińskiego.

Rzecz dzieje się na wsi u pana Szumbalińskiego.

POSAŻNA JEDYNACZKA.

Teatr przedstawia salon w domu pana Szumbalińskiego. W głębi dwoje drzwi. Między nimi pod tylną ścianą bufet. Po prawej i po lewej po dwoje drzwi, z których bliższe widzów po prawej tapetowane czyli kryte. Nad nimi wisi portret młodej kobiety. Jeszcze bliżej widzów po prawej okno, obok niego małe stolicek i fotel. Na przodzie sceny po lewej kanapa, okrągły stolik, na nim książki i gazety. Między pierwszymi a drugimi drzwiami po lewej na ścianie wisi strzelba. W samym środku sceny owalny stół. Kilka fotelów i krzesół do woli rozstawionych po pokoju.

SCENA I.

Henryk (*sam*).

(Wychodzi z drugich drzwi po prawej w eleganckim rannym ubiorze do konia).

Henryk.

W tém się kryje jakaś tajemnica. Kto ona być może? Że nie córką leśniczego, to widoczne; że ją Szumbaliński ukrywa, także jak dzień jasne. Bo dla czegoż on, taki gościnny, wzbraniałby nam spaceru do lasu pod błahym pozorem, że sarny wystraszamy. Jemu oczywiście o tę sarneczkę chodziło. Pojadę tam, może

mi się uda z nią mówić! dotąd rozmawialiśmy tylko oczami... A jakie ma oczy! (*p. k. m.*) Właściwie, to głupstwo z mojej strony, bo po cóż ja tam jeżdżę? Tu staram się o rękę panny Pauliny, tam skompromitować się mogę. Tu wprawdzie się nie kocham, ale panna przystojna, dobrze wychowana, z pięknym posagiem; tam X, wielkość niewiadoma, która może zero przedstawia. A jednak!... Nie, nie wytrzymam, dziś jeszcze pojedę, dziś po raz ostatni!

(*wybiega w głębi we drzwiach, trąca się z Błażejem, który na tacy wnosi filiżanki, imbryk i t. p.*)

SCENA II.

Błażej, (później) pan Szumbaliński.

Błażej.

A bój że się pan Boga! Co robisz!... Mało mnie całego z taceczką i filiżaneczkami i imbryczeczką nie rozbił. O młodość, młodość! (*stawia tacę na środkowym stoliku, i idzie do okna*) Hi, hi, waryat, wskoczył na konika i leci, leci. leci...

P. Szumbaliński.

(*wchodząc z drugich drzwi po lewej w kapeluszu słomianym na głowie i z harapem w ręku*).

Błażeju! Błażeju! No patrzcie się, zagapił się i stoi jak pień! Błażeju!

Błażej.

Leci... leci. <http://rcin.org.pl>

P. Szumbaliński.

Co takiego? Jastrząb?

Błażej.

Gdzież tam, pan Henryk. O, patrz pan, tam na drodze... O! schował się w wąwozie... O! o! znowu się miga na pagóreczku, zakręca koło karczemki... Oho! już go nie widać! *(odchodzi do okna i zaczyna nakrywać do śniadania)*

P. Szumbaliński *(który patrzył przez ramie Błażeja)*.

Hm, hm, coś paniczowi diable pilno. *(zdejmuje kapelusz i kładzie go na stolyczku przy oknie z harapem)* Poleciał prosto na Wygodę do leśniczówki. *(zacierając ręce)* Wybornie, wszystko idzie jakby z płatka. Ta temu, tamta tamtemu. Pokazuje się, że mój system nieporównany.

Błażej *(nakrywając)*.

Pańskie co?

P. Szumbaliński.

Mój syst... ale nie do ciebie mówilem.

Błażej.

To czegoż pan sam do siebie gadasz jak lunatyk?

P. Szumbaliński.

Panie Błażeju!

Błażej.

Krzycz pan, krzycz, ale mnie się to wszystko, co pan robi, nie podoba.

P. Szumbaliński.

Lepiej zrobiłbyś, gdybyś nosa do tego nie wtrącał
co ciebie nie obchodzi.

Błażej (przychodząc na przód sceny).

Mnie wszystko obchodzi co się tu robi, i bardzo,
zwłaszcza gdy pan jakieś głupstwa robisz. Przecie pan
sam przyznasz, że to sensu nie ma ukrywać naszą
panienkę na leśniczówce, jak gdyby. . . .

P. Szumbaliński.

Będziesz ty cicho!

Błażej.

Otóż nie będę cicho, bo czy nie lepiej byłoby spro-
wadzić tu panienkę, jak się należy. . . .

P. Szumbaliński.

Błażeju, ty się czegoś dowojujesz!

Błażej.

I tak się przecie ludzie kiedyś dowiedzą. . . .

P. Szumbaliński.

Błażeju, ja ci powiadam. . .

Błażej.

Że mamy pięć córek, a nie jedną.

P. Szumbaliński (*chwytając go za piersi*).

Ja cię uduszę!

Błażej.

No i co? Cóż mi pan zrobisz?

P. Szumbaliński.

Zabiję cię, stary gaduło!

Błazej.

Nie mi pan nie zrobisz. Alboż to ja pana zdradziłem, czy komu co wydałem? Nie, ale panu to powiadam, że co głupstwo to głupstwo i gdyby nieboszczyk pan jeszcze żył, toby to samo powiedział.

P. Szumbaliński (*do siebie*).

Boże! Jakże świętej cierpliwości potrzeba z temi staremi sługami!

Błazej.

Staremi, ale dobreimi. Ja wiem, że ja nie pański gubernier, bo po francuzku nie umiem, ale kiedy widzę, że pan tak sobie postępujesz, jak gdyby jaki minorenis, to gadać muszę.

P. Szumbaliński (*siadając na kanapie*).

To wygadajże się już raz, wygadaj.

Błazej.

Bo co prawda, to nie grzech. Niech mi kto powie, gdzie w tem sens, żeby mieć pięć córek i wychowywać każdą gdzieindziej tak, że jedna drugiej nie zna i każda myśli, że jest jedynaczką. I tak, jedną u naszej pani siostry Kunegundy w Królestwie, drugą u pani siostry Doroty na Podolu... No, te dwie przynajmniej już poszły mąż, trzecią w domu, to dobrze. Ale czwartą, która dopiero co wróciła z Poznańskiego — na leśniczówce; piątą we Lwowie na pensyi. Co z tego dobrego

wyniknie? Nie, a jak się kiedyś panowie zięciowie dowiedzą, toż to będzie hałasu, aż strach!

(Pan Szumbaliński nuci sobie pod nosem)

A cóż dopiero gdy się pokaże...

P. Szumbaliński.

Ślicznie pan Błażej prawi, ale tymczasem w kuchni śmietanka zbiegnie.

Błażej.

Śmietaneczka! Oj prawda, zapomniałem... pewnie zbiegła!... Poczkaż pan tutaj, ja zaraz wrócę.

(wybiega w głąbi).

SCENA III.

P. Szumbaliński *(sam)*.

P. Szumbaliński.

O, ten tyran domowy, ten gaduła stary! Ale niech sobie co chce mówi, mój plan coraz piękniej się rozwija. *(uderzając się po czole)* Dzięki Bogu rozum jest, był, o, był oddawna i wielki, i nadal będzie! *(p. k. m.)* Tak, Paulinę wydam za Augusta, Henryk tymczasowo z koszem odejdzie, lecz z zaszczepioną już w sercu miłością ku Kamilli. Łatwo mi więc będzie znowu go przywabić skoro po ślubie Pauliny Kamillę do domu sprowadzę. Co zaś do posagu: „Obiecanka cacanka“.... to nie nowina. *(p. k. m.)* Niespodziany powrót Kamilli po rozwiązaniu pensjonatu w Poznaniu z razu mi troche

kłopotu narobił; ale ze względu na Henryka i to na dobre się obróci. Tak, tak, najprzód Paulina, potem Kamilla.

SCENA IV.

Pan Szumbaliński, Kamilla.

(Kamilla wchodzi w głębi po lewej, w amazonce)

Kamilla.

Papa mnie wołał, jestem.

P. Szumbaliński *(przestraszony)*.

Kamillo! Bój że się Boga, co ty tu robisz?

Kamilla.

Przyjechałam na kasztanku.

P. Szumbaliński.

Wbrew mojemu zakazowi! Przecie ci wyraźnie zabroniłem tutaj przyjeżdżać!

Kamilla.

Niech się papa nie gniewa, ale już wytrzymać nie mogłam w tej nieznośnej leśniczówce, zwłaszcza dzisiaj w dzień twoich imienin. *(chce go uściskać, on ją ręką oddala)*

P. Szumbaliński.

Bardzo ci dziękuję! na wiązanie nieposłuszeństwo mi przynosisz.

Kamilla.

Ależ papo, ja nie chciałam nic złego zrobić.

P. Szumbaliński.

Spodziewam się, lecz jakże mogła cię tutaj samą puścić panna Belmontel, której najmocniej poleciłem, żeby cię na krok nie odstępowała?

Kamilla.

Gdy wyjechałam, panna Belmontel jeszcze spała jak zabita.

P. Szumbaliński.

A jak się obudzi i ciebie nie zastanie, gotowa tu za tobą przylecieć.

Kamilla.

O to, papo, się nie troszcz; najprzód panna Belmontel nie tak łatwo się rusza, powtóre zostawiłam przy jej łóżku karteczkę donoszącą, że jadę konno na długi spacer w zupełnie przeciwną stronę. Nareszcie wiele wody upłynie, nim ona się czego domyśli, możesz więc papa zupełnie być spokojnym, ręczę, że nie przyjedzie.

P. Szumbaliński.

Spuśćże się tu na francuzką guwernantkę, a Bóg widzi ile mnie kosztuje!

Kamilla.

Nie mogąc sobie wytłómaczyć tajemnicy, którą mnie od czasu mojego powrotu z Poznania otaczasz, pomyślałam, że chcesz mi niespodziankę zrobić urządzając mi śliczny apartamencik. Chciałam ci więc oddać niespodziankę za niespodziankę i przyjechałam.

P. Szumbaliński.

Niespodziankę! Proszę ja kogo, niespodziankę! To ci się doskonale udało, lecz tym razem w sposób dla mnie bardzo nieprzyjemny.

Kamilla (*na pót płacząc*).

Tak więc ojciec przyjmujesz jedynaczkę, gdy pierwszym raz od lat dziecinnych wchodzi do twojego domu?

P. Szumbaliński (*zmieszany*).

Jedynaczkę! jedynaczkę! Pierwszym obowiązkiem córki jest być posłuszną woli ojca.

Kamilla (*płacząc*).

Nigdy, nigdy nie byłabym się tego spodziewała... nigdy!

P. Szumbaliński.

No, no, nie płacz, już się nie gniewam, jakoś się to wszystko da jeszcze naprawić. Widział cię kto tutaj?

Kamilla (*ocierając łzy*).

Nie... nie... nie wiem, nie uważałam.

P. Szumbaliński.

Komu konia oddałeś?

Kamilla.

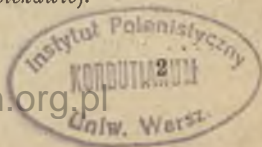
Jakiemuś giermkowi w piaskowej liberyi.

P. Szumbaliński.

Otóż macie, giermkowi Henryka.

Kamilla (*żywo i ciekawie*).

Kto to jest Henryk?



P. Szumbaliński.

A tobie co do tego?

Kamilla (spuszczając oczy).

Mnie... nic.... tak się zapytałam.

P. Szumbaliński.

Hm, *(patrząc jój w oczy)* hm! — Słuchaj, tu niema co czasu tracić, siadaj na konia i wracaj do leśniczówki.

Kamilla.

Więc nie pozwalasz mi zostać?

P. Szumbaliński.

Nie, nie, sto razy nie.

Kamilla (płacząc).

To dobrze, pojedę.

P. Szumbaliński.

Moja Kamilciu, bądźże rozsądną; chociaż tego nie rozumiesz, możesz mi przecie zaufać, że ja tylko twojego dobra pragnę.

Kamilla (przymilając się).

Czyż może być większe dobro dla córki, jak być przy ojcu?

P. Szumbaliński.

Pro... proszę cię, nie rozczulaj mnie. Okoliczności tego wymagają, tak być musi. Chodź, sprowadzę cię sam na dół, tylko pamiętaj nie jechać na Wygodę, lecz na Brzezinę. *(prowadząc ją do okna)* Patrz, tędy pojedziesz.... Oho! Już za późno!

Kamilla.

Co takiego?

P. Szumbaliński (*żywo zakrywając sobą okno*).

Nic.... nie przybliżaj się do okna! (*na stronie*)
August z Pauliną na terassie. (*głośno*) Boże, Boże, jakiego mi ta dziewczyna kłopotu narobiła!

Kamilla (*na stronie*).

Dzięki Bogu, zdaje się że zostaną.

P. Szumbaliński (*po krótkim namyśle*).

Ha, niema co robić! Chodź, zaprowadzę cię do wieżyczki, zostaniesz tam, póki cię sam nie wypuszczę; tylko proszę cię, nie ruszaj się ztamtąd ani na krok.

Kamilla.

Zrobię wszystko co każesz, byle zostać.

P. Szumbaliński (*otwierając skryte drzwiczki po prawej, któremi Kamilla wychodzi*).

Tędy, schodki na lewo, uważaj żebyś nie upadła.
Oj, z temi dziećmi, z temi dziećmi!

(*wychodzi za nią, zamykając drzwiczki za sobą*).

SCENA V.

Błażej (*sam*).

(*wchodząc w głębi po lewej*)

Proszę pana, proszę pana, telegramek, bardzo pilny.
A to co? (*oglądając się*) Już go tu niema? Przecie ja

tu szedłem, widziałem go wyraźnie w oknie. Może tu będzie? *(idzie do drugich drzwi na prawo, do których zagląda)* I tu go niema. *(wracając się do drzwi na lewo w głębi)* Znikł, czy co?

SCENA VI.

P. Szumbaliński, Błażej.

P. Szumbaliński *(wchodząc skrytemi drzwiczkami).*

Błażeju!

Błażej.

A!

P. Szumbaliński.

No, cóż takiego?

Błażej.

Tak... tak się bardzo przestraszyłem... aż mi oddech w dolku zaparło... *(podając telegram)* To... telegramek, proszę pana.

P. Szumbaliński *(otwierając telegram).*

Kończ już raz nakrywać i dawaj śniadanie. *(czyta półgłosem)* Proszę pojazd, wóz pod rzeczy przy dworcu. Przyjeżdżam rannym lwowskim pociągiem. Kazimierz. *(głośno)* Oto bomba! Jak teraz nie pęknie, to nigdy!

Błażej *(który dobył z bufetu talerze, sztućce i t. d. i nakrywa).*

Niech pan pieczonej cebuli przyłoży...

P. Szumbaliński.

Co?

Błazej.

Powiadam, niech pan pieczonej cębuli przyłoży, to prędzej pęknie.

P. Szumbaliński.

Głupis! --

Błazej.

Pan mnie nie wierzy, a ja miałem taki czyraczek, że siedzieć nie mogłem, ale skoro cębuli przyłożyłem, pękł od razu.

P. Szumbaliński.

(który chodził z niepokojem, stając raptem przed Błazem).

Pan Kazimierz przyjeżdża!

Błazej.

Nasz pan zięć przyjeżdża! A widzi pan, co ja dopiero mówiłem: będzie bigos, mówiłem, będzie bigos!

P. Szumbaliński.

I panna Kamilla jest tutaj!

Błazej.

Gdzie?

P. Szumbaliński.

Tu, zaprowadziłem ją do wieżyczki.

Błazej.

Bądźże zdrów!

P. Szumbaliński.

Co tu robić? co tu robić?

Błażej.

Bigos jest!

P. Szumbaliński.

Ha, darmo! po pana Kazimierza trzeba posłać. Słuchaj, niech Jan jedzie do dworca krytą dorożką szpakami; Kasper wozem ze słomą pod rzeczy, fornalką. A powiedz im, żeby wracając z tym panem, który tam przyjedzie, jechali powoli, bardzo powoli, żeby koni nie pomęczyli... rozumiesz, trzeba czasu zyskać.

Błażej.

Rozumiem, rozumiem, ale to nic nie pomoże, bigos jest. *(odchodzi w głąb)*

SCENA VII.

P. Szumbaliński *(sam)*

P. Szumbaliński.

Tylko zimnej krwi, tylko głowy nie traćmy. Trzeba się ratować jak można. Mam zawsze ze dwie godziny czasu przed sobą, nim Kazimierz tu stanie; może się jeszcze pociąg trochę spóźni. Tymczasem zabrawszy się żwawo do rzeczy, mogę Paulinę z Augustem zareczyć. Henryk wtedy odjedzie. Kamillę nazad na leśniczówkę wyprawię; tak więc tylko Kazimierz i August się tu spotkają i wzajemnie o istnieniu dwóch sióstr dowiedzą. August, honorowy człowiek, zresztą jak kot zakochany w Paulinie, raz danego słowa nie cofnie. Zaś Kazimierz, ten już jest w klatce, będzie się może

zżymał, gniewał, ale także Ludwikę kocha; przecie mi jej nie odda. Tak się wywinę: jakoś to będzie, jakoś to będzie!

SCENA VIII.

P. Szumbaliński, Paulina, August

(wchodząc w głębi po prawej, za niemi Błażej wnosi samowar, stawia go na bufecie i wychodzi).

Paulina.

Niechże cię uściskam, kochany papo, w dzień twoich imienin. *(ściska go)*

P. Szumbaliński.

Dobry dzień ci, dobry dzień.

August.

Pan mnie pozwoli złożyć sobie najszczerze powinszowania.

P. Szumbaliński *(podając rękę Augustowi).*

Dziękuję wam, moje dzieci.

August *(na stronie).*

Moje dzieci! to dobry znak.

Paulina.

Chciałam ci, papo, wyhaftować pantofle na wiązanie, ale mi włóczki zabrakło i pantofle nie gotowe.

P. Szumbaliński.

Wszystkie do siebie podobne!

August.

Wszystkie?

P. Szumbaliński *(żywo)*

Tak, wszystkie córki na świecie... na całej kuli ziemskiej... wiązanie dla papy nigdy nie gotowe *(do Pauliny)* Ale to nic nie szkodzi, zawsze ci dziękuję. *(całuje ją w czoło)*

August.

Prześliczny dzisiaj mamy poranek.

Paulina.

Korzystaliśmy z niego i chodziliśmy trochę po ogrodzie.

P. Szumbaliński *(niespokojny).*

Po ogrodzie? A nie widzieliście tam nikogo?

August.

Nie, z wyjątkiem Henryka, który właśnie wrócił z konnej przejażdżki.

Paulina.

Ale à propos konia, jestem niesłychanie rozciekawiona. Czy papa wie, że jakaś amazonka dziś do nas przyjechała. Lecz nikogo dopytać się o nią nie mogę.

P. Szumbaliński *(zmieszany).*

Przyśniło ci się nad samym porankiem.

Paulina.

Weale nie; ubierając się widziałam przez okno Walusia, prowadzącego do stajni konia pod damskim

siodłem, lecz jego pani gdzieś znikła. (*do wchodzącego Henryka*) Ale najlepiej nam to pan Henryk powie, bo jego służący od niej konia odebrał.

SCENA IX.

Ciż, Henryk.**Henryk.**

Pani pozwoli, że się najprzód przywitam i jej ojcu powinszuję.

P. Szumbaliński.

Bardzo ci dziękuję, panie Henryku. (*ściska go za rękę*)

Henryk.

O jakim koniu mowa?

P. Szumbaliński.

O kasztanowatym pod damskim siodłem.

Henryk.

Pod damskim siodłem? (*na stronie*) Nieznajomej dzisiaj nie było!

P. Szumbaliński (*do Pauliny*).

Ale bredzisz!

August.

Wprawdzie tego konia nie widziałem, lecz mogę potwierdzić, że skoro pannę Paulinę na terassie spotkałem, zaraz mnie o niego pytała.

Paulina.

Powiadam papie, że widziałam go na własne oczy, tak jak papę widzę.

P. Szumbaliński.

A, tak... być może... prawda, przypominam sobie... to posesorowa z poblizkiej wioski... przyjeżdżała tutaj masło sprzedać.

Paulina.

Posesorowa na takim koniu?

August.

Masło sprzedać?

P. Szumbaliński.

No... nie przywiozła go z sobą, lecz ofiarowała parę fasek na zimę.

Henryk *(na stronie).*

To zmieszanie, miałażby to być moja nieznajoma?

P. Szumbaliński.

Odprawiłem babę z kwitkiem i pojechała, o, już dawno pojechała!

Paulina *(cicho do Augusta).*

To pewnie dla mnie niespodzianka, biedny papa tak się płacze.

August *(tak samo).*

Niezawodnie.

(Błążej wchodzi w głębi niosąc w jednej ręce pasztet, w drugiej inny półmisek)

Błażej.

O! samowarek oddawna kipi, a panienka czemu herbatki nie robi?.

Paulina.

A prawda, idę, idę. *(idzie do bufetu z Błażejem i robi herbatę)*

P. Szumbaliński.

A, przecie śniadanie; no, zasiadajmy. *(na stronie)*
Po śniadaniu zgrabnie przyśpieszę wymianę słowa z Augustem. *(siadają do stołu w następującym porządku: August po lewej stolika, p. Szumbaliński twarzą obrócony do publiczności, po jego prawej zostaje wolne miejsce dla Pauliny, Henryk po prawej stolika naprzeciwko Augusta. Pan Szumbaliński i Henryk widocznie myślami zajęci)*

August.

Zapewne się dzisiaj całe sąsiedztwo tutaj zjedzie?

P. Szumbaliński.

Wątpię, gdyż się teraz prawie wszyscy do wód porozjeżdżali. *(na stronie)* Dzięki Bogu.

Paulina *(od bufetu).*

Wszakże papa miałeś podobno dzisiaj telegram.

P. Szumbaliński.

Ja?

Błażej.

To do nas był telegramek, ale nie ważnego.

P. Szumbaliński.

Z powinszowaniem.

Paulina.

Myślałam, że się ktoś obiecał, widząc że Jan gdzieś jechał, właśnie gdy pan Henryk ze spaceru wracał. *(do Henryka)* Nieprawda panie Henryku? *(chwilę milczenia)*

August.

Henryku, panna Paulina do ciebie mówi.

Henryk *(jakby ze snu przebudzony).*

A tak, tak, wyjeżdżał właśnie gniademi.

Błażej.

Przecie on siwą czwórką pojechał.

(August i Paulina parszając śmiechem)

Henryk.

Siwemi! nie uważałem... roztargnienie... najmoeniej panią przepraszam.

Paulina *(wracając do stolika i siadając).*

Jeżeli pan tak jesteś roztargnionym, może pan wcale nie wiesz, w którą stronę jeździłeś?

Henryk.

O! i owszem, ku... ku kolei.

Błażej *(który nalewa herbatę, na stronie).*

A jak łże!

August.

Mogę pani służyć skrzydełkiem kuropatwy?

Paulina.

Proszę, najlepiej lubię kuropatwy w pasztecie.

P. Szumbaliński (*raptem wychodząc z zamyślenia*).

W pasztecie! Co, kto siedzi w pasztecie?

August.

Kuropatwy. (*Paulina i August śmieją się*)

P. Szumbaliński.

A tak, prawda... pytałem się z czego ten pasztet.

Błążej.

Ot, lepiej by się pan nie pytał, tylko jadł.

Paulina (*cicho do Augusta*).

Co im się dzisiaj stało?

August (*tak samo*).

Nie wiem. (*Słychać za sceną Kamillę śpiewającą: „Ai nostri monti ritorneremo &“ z „Trubadura“*)

Paulina.

A to co?

P. Szumbaliński.

To, to nic, to Kaśka sobie śpiewa.

Henryk (*na stronie*).

Ten głos! (*głośno, zrywając się od stołu*) Za pozwoleniem, zobaczę.

P. Szumbaliński (*zrywa się za nim i łapie go za rękę*).

Kotlety wystygną!

Paulina.

Wszak to z Trubadura.

Henryk (*szarpiąc się*).

Zaraz!

Błażej (*biegnie do okna, przez które się wychyla i woła*).

Pan każe cicho być! (*śpiew ustaje*)

P. Szumbaliński (*do Henryka*).

Siadaj — no, siadaj, słyszysz, że już przestała; czyż warto śniadanie przerywać dla tego, że jakaś tam dziewczka sobie nuci.

Henryk (*na stronie*).

Moja nieznajoma jest tutaj!

August.

Ale głos ma bardzo wyrobiony.

P. Szumbaliński.

Może gdzieś, coś słyszała... ot i powtarza jak kos, jak kos powtarza.

Paulina (*na stronie*).

Tu się coś dziwnego dzieje.

P. Szumbaliński (*patrząc na zegarek, do siebie*).

Pół do jedenastej! Czas działać. (*głośno*) Cóż, już nie jecie, no, to wstańmy.

Paulina.

Jeszcze herbaty nie skończyłam.

P. Szumbaliński.

Daj pokój herbacie, mam wam coś ważnego powiedzieć.

August.

Słuchamy.

(Wszyscy wstają i przychodzą na przód sceny. Paulina trzymając w ręku filiżankę, z której herbatę powoli pije. Błażej sprząta; paszтет, chleb i wino zamyka do bufetu)

P. Szumbaliński.

Otóż powiem wam... tak, szczerze... otwarcie... bez przemowy.... nie jestem tyranem domowym... ani nawet despotą, wiecie to dobrze...

Paulina.

Wiemy, tylko papa herbaty dokończyć nie daje.
(oddaje filiżankę Augustowi, który ją stawia na stole)

P. Szumbaliński.

Proszę cię, nie przerywaj mi teraz. Mówiłem tedy, że nie jestem tyranem... wszak to powiedziałem...

August.

Któż o tém wątpi?

P. Szumbaliński.

Nieprawda? Jestem sobie, ot, tak, szlachcie prosto z mostu... w bawelnę moich myśli nie obwijam...

Błażej.

To już wyduś pan raz, wyduś, co masz powiedzieć!

P. Szumbaliński.

Błażeju, cicho siedź.

Henryk *(na stronie)*.

Do czego on zmierza?

P. Szumbaliński.

Nie chcąc rozkazywać, chociaż miałbym do tego prawo, życzyłbym sobie z wami tak... niby w gronie familijném pomówić...

Paulina.

Ale o czém?

August.

Tak, o czém?

Błażej.

O czém?

Henryk.

Chciej nam pan dobrodziej wytłómaczyć.

P. Szumbaliński (*patrzac na zegarek, do siebie*).

Już trzy kwadranse! (*głośno*) Jednëm słowem przyszedł czas, żeby się nasze stosunki wyjaśniły. Pan, panie Auguste i pan, panie Henryku, prosiliście mnie o pozwolenie starania się o rękę Pauliny...

Paulina.

Ależ papo....

P. Szumbaliński.

Nie przerywaj mi, powiadam, kiedy mi dobrze idzie... Odpowiedziałem wam, że chcę mojej córce zupełnie wolny wybór zostawić...

August.

Słusznie.

P. Szumbaliński.

Nie przerywaj mi pan, panie Auguście. Tak, zupełnie wolny wybór zostawić, dlatego zostawiłem jej czas do namysłu, ale teraz żądam, żeby się to już raz rozstrzygnęło i żeby ona jednego z was natychmiast wybrała.

Paulina.

Jakże mogę tak prędko...

Henryk.

Za pozwoleniem...

P. Szumbaliński.

Powiedziałem, nie jestem despotą, ale tak chcę i rozkazuję (*patrząc na zegarek, do siebie*) Za pięć minut jedenasta. (*głośno*) Paulinko, wybieraj. (*chwila milczenia*) Nie nie mówisz? Ale spojrziałaś się na pana Augusta, dobrze, daję moje zezwolenie.

Błażej.

Dajemy nasze zezwolenie...

August.

Ach panie, ileż wdzięczności...

P. Szumbaliński.

Dobrze, dobrze, masz moje słowo, równie jak ja mam twoje.

(*podaje mu rękę, poczem chodzi po pokoju, zacierając ręce*)

August (do Pauliny).

I pani raczysz zezwolić?

Paulina.

Kiedy się to z wolą ojca zgadza... chętnie.

August (*całując ją w rękę*).

Dzięki ci pani, dzięki!

Henryk.

Widzę, że August szczęśliwszy odemnie; nie taję
mojego żalu, lecz spodziewam się, że go państwo przy-
najmniej swoją przyjaźnią osłodzić zechcecie.

Paulina (*podając rękę Henrykowi*).

Na nią możesz pan liczyć, nieprawda panie Auguste?

August (*ściskając za rękę Henryka*).

Tak jest, na szczerą i stałą przyjaźń z naszej strony.

P. Szumbaliński (*patrząc na zegarek, do siebie*).

Jedenasta! (*głośno*) No, no, później będziecie sobie
komplementa mówili. Chcę ci tylko jeszcze powiedzieć,
panie Auguste, że ja dane słowo uważam jako zarę-
czyny, więcej jak zaręczyny, jako rodzaj ślubu.

Błazej.

U nas słowo, to słowo.

P. Szumbaliński.

Gdyby więc przypadkiem nasze stosunki się w czem
zmieniły, gdyby jakie nieprzewidziane okoliczności za-
szły, ja mojego słowa nie cofnę i również tego po to-
bie się spodziewam.

August.

Przecie jestem zbyt szczęśliwym... zresztą jakież
okropne okoliczności mogłyby

P. Szumbaliński.

Człowiek nigdy nie wie, co nastąpić może; dlatego twoją uwagę na to zwróciłem, żebyś zawsze we wszystkich okolicznościach o tém pamiętał. A teraz bądźcie zdrowi, idźcie sobie do ogrodu albo gdzie wam się podoba.

August.

Mogę panu zaręczyć...

P. Szumbaliński.

Wierzę, wierzę, ja to tylko tak na przypadek mówiłem. Do widzenia, bawcie się dobrze.

Paulina (*śmiejąc się*).

W istocie możnaby myśleć, że papa chce się nas pozbyć.

P. Szumbaliński.

Gdzież tam, ale mam dziś dużo do czynienia.

Błażej (*otwierając drzwi po lewej w głębi*).

Mamy dużo do czynienia; idźcie państwo do altaneczki, tam się będziecie dobrze bawić.

August (*do Pauliny*).

Skoro ojciec tak każe, to chodźmy.

Paulina.

Chodźmy, kiedy nas wypędzają.

(*śmiejąc się odchodząc, za niemi Błażej*)

P. Szumbaliński (*odprowadzając ich ku drzwiom*).

Tak, tak, idźcie moje dzieci.

Henryk.

(który podczas tej sceny często w stronę okna się oglądał i niemię zdawał się zajęty, przechodzi na lewo sceny).

Dziwna rzecz, ale mi jakoś po tym koszu lżej na piersiach. Teraz na krok się ztąd nie ruszę, póki nie dojdę, gdzie i kto ona jest.

SCENA X.

P. Szumbaliński, Henryk.

P. Szumbaliński.

(zwracając się z głębi i idąc ku skrytym drzwiczkom po prawej).

No, przecie, teraz... *(spostrzegając Henryka)* Aha, jeszcze ten. *(idąc do niego)* Kochany panie Henryku... ehciej przyjąć wyraz... wierzaj mi... na honor.... gdyby odemnie zależało...

Henryk.

Ha, panie łaskawy, cóż robić? August lepiej się podobał pannie Paulinie, nie wypada mi jak tylko znieść ten cios w milczeniu, jednak wyznaję, że to wielką dla mnie jest pociechą, widzieć przyjaciela szczęśliwym, oraz mieć przekonanie, że moje stosunki względem tak szanownej rodziny wprawdzie się zmieniły, wszakże nie zepsuły. *(ściska za rękę pana Szumbalińskiego, poczem siada na kanapie i cygaro zapala)*

P. Szumbaliński (na stronie).

A to co takiego? Wszakże on się tu rozkłada jakby obozem. *(głośno)* Szczęśliwy jestem widzieć cię tak roz-

sądnym i z tego wnozę, że wkrótce zechcesz do nas powrócić.

Henryk.

Powrócić, wszakże ja wcale odjeżdżać nie myślę.

P. Szumbaliński.

Hę! *(na stronie)* A to mi piękna historia! *(głośno)* Jakże się cieszę... *(na stronie)* Bodajbyś pękł. *(głośno)* Obawiam się tylko, żebyś się tu nie znudził; zakochana para nie zabawna... ja stary...

Henryk *(na stronie)*.

Chce mnie oddalić, ale nie z tego nie będzie. *(głośno)* O mnie się pan wcale nie turbuj, ja sobie zawsze znajdę rozrywkę.

P. Szumbaliński.

Może poszedłbyś zobaczyć stadninę, właśnie się dziś pasie tuż za ogrodem.

Henryk.

Widziałem ją dziś rano jadąc na spacer. Bardzo ładna.

P. Szumbaliński.

Nieprawda? A źrebce widziałeś?

Henryk.

Śliczne.

P. Szumbaliński *(patrząc na zegarek, na stronie)*.

Kwadrans na dwunastą, — a, żeby cię... *(głośno)* Gdybyś sobie życzył jakiej książki, moja biblioteczka jest

na twoje usługi; wszakże wiesz którądy się do niej idzie? Ostatnie drzwi na prawo w końcu korytarza.

Henryk.

Dziękuję, dziękuję; pan w istocie zbytecznie mną się troszczysz. Znalazłem właśnie na tym stoliku najnowszą powieść.

P. Szumbaliński.

Uf! Tu okropnie gorąco. *(na stronie)* Na burzę się zanosi! *(głośno)* Nawet duszno, nie znajdujesz? Nie byłbym w stanie tutaj czytać, ale wiesz co, w altanie chłód paradny, prawdziwa rozkosz!

Henryk.

Mnie tu doskonale.

P. Szumbaliński *(na stronie)*.

Niechże cię piorun trzaśnie! Niema co robić, trzeba go tu zostawić, może się znudzi i sam pójdzie. *(głośno)* Rób jak ci się podoba; mnie na ten upał trochę głowa cięży, pójdę się przespać w sadzie. *(na stronie)* Wnet tu wrócę. *(głośno)* Będę spał długo, długo, bardzo długo.

Henryk.

Zyczę przyjemnych snów.

P. Szumbaliński *(biorąc kapelusz)*.

Dziękuję. *(na stronie)* No, jak ten nie jest herbu muł, to ja chcę mułem zostać. *(odchodzi w głąbi po prawej)*.

SCENA XI.

Henryk (*sam*).**Henryk** (*śmiejąc się zrywa z kanapy*).

Ha, ha, ha! Mało mu w nos nie parsknąłem! Lecz teraz nie traćmy czasu, trzeba zrobić rekonesans w stronę, z kąd głos mojej pięknej nieznajomej słyszałem. (*idzie do okna, przez które się wychyla*).

SCENA XII.

Henryk, P. Szumbaliński.**P. Szumbaliński** (*wchodzi w głębi po lewej w kapeluszu*).

Podobno kapelusz gdzieś tu zostawiłem.

Henryk (*odskakując od okna*).

Właśnie go dla pana szukałem.

P. Szumbaliński (*niby szukając, na stronie*).

Już był przy oknie.

Henryk.

Gdzieżby się mógł podziąć?

*(obaj chwilę niby z wielkiem zajęciem szukają po pokoju)***P. Szumbaliński.**

Z pewnością go tu miałem.

Henryk

Widziałem na własne oczy, (*sposstrzegając kapelusz na głowie pana Szumbalińskiego*) A, wszakże go pan masz na głowie.

P. Szumbaliński (*z udaniem zadziwieniem*).

Ja?... A prawda, ha, ha, ha, to szczególne roz-targnienie, ha, ha, ha!

Henryk (*z przymuszonym śmiechem*).

Ha, ha, ha! Osobliwsze!

P. Szumbaliński

Nie do pojęcia!

Henryk.

Nadzwyczajne!

P. Szumbaliński (*odchodząc*).

Bardzo ci dziękuję. (*na stronie*). Nie ustąpi się!
(*Henryk odprowadza go do drzwi, ściskają się za ręce, pan Szumbaliński wychodzi w głębi*).

SCENA XIII.

Henryk sam, później Kamilla.

Henryk (*wracając*).

Niema wątpienia, ona tu gdzieś jest! Ale kto, kto, kto ona być może?... Czyż miałby Szumbaliński?...

Kamilla (*otwierając drzwiczki*).

Niech się co chce dzieje, ale tak jestem głodną,
że... (*spostrzegając Henryka*) A!

Henryk.

Pani!

Kamilla (*na stronie*).

Mój nieznajomy!

Henryk.

Ach pani! Jakże wyrazić ile jestem szczęśliwy, że
panią tu spotykam.

Kamilla.

Nie spodziewałam się w istocie...

Henryk.

Moje przecucie mnie nie omyliło.

Kamilla.

Przecucie?

Henryk.

Tak jest, pani, wracając dzisiaj z leśniczówki....

Kamilla.

Pan dziś tamtędy przejeżdżałeś?

Henryk.

Przejeżdżałem, lecz napróżno.

Kamilla (*na stronie*).

To ładnie z jego strony.

Henryk.

Nie ujrawszy pani, miałem wszelki powód powracać smutny do domu, a jednak jakieś dziwne uczucie mi mówiło, że się od pani nie oddalam, przeciwnie, że się do niej zbliżam.

Kamilla (*przed siebie*).

Nie wiem, co mi jest... ale... tak mi jakoś.... słabo... w oczach ciemno się robi... (*upada mdlejąc na fotel przy małym stoliczku po prawej*).

Henryk (*przyskakując*).

O mój Boże! Co pani jest? Wszak ona mdleje! Pani!.. Pani!... Wody, prędko wody! (*biega po pokoju szukając wody, ktorej nie znajduje*) Sam nie myślałem... Niema ani kropli. (*wracając do niej*) Przyjdź pani do siebie!... Co za miłość gwałtowna! (*klaszcze jej w ręce*) Pani, droga, kochana pani.... (*do siebie*) Mamże ją rozpinać?

Kamilla (*otwierając oczy*).

Dziękuję, dziękuję panu, już mi lepiej.

Henryk.

Dzięki Bogu! To silne wzruszenie...

Kamilla.

Mylisz się pan; śmiesznie to powiedzieć... ale słabo mi się zrobiło... z głodu, okropnie mi się jeść chce.

Henryk.

Z głodu! Głoddm panią morzyć chciano? (*na stronie*)
O Szumbaliński!

Kamilla.

Nikt mnie głodem nie morzył, ale ujechałam dziś rano milę konno naczczo.

Henryk.

Lecz tu musi być gdzieś pasztet!

Kamilla (*wstając*).

Pasztet! Szukajmy!

Henryk (*biegnąc do bufetu*).

Wnet go znajdziemy. (*Kamilla idzie za nim do bufetu, w którym oboje szukają*) Jest! (*stawia go na środkowym stole; wracając do bufetu*) Jeszcze chleba.

Kamilla (*przynosząc chleb*).

Już mam.

Henryk.

Wina... Zaraz, niech pani pozwoli, tu będzie wygodniej. (*biegnie do stolika przed kanapą, rzuca książki i gazety w prawy kąt kanapy, stół przesuwa przed jej lewy kąt*) Tak, tu będzie doskonale. (*przynosi z dużego stołu pasztet, chleb i wino*).

Kamilla (*przynosząc dwa talerze i serwety z bufetu*).

Talerze...

Henryk.

Niech sobie pani praey nie zadaje... a jeszcze grabki, noże. (*biegnie do bufetu*).

Kamilla (*na stronie, si dając*)

Jaki on pocziwy.

Henryk (*przynosząc sztucę*).

Oto jest wszystko.

Kamilla.

Bardzo panu dziękuję. (*zaczyna jeść*).

Henryk (*na stronie*).

Prześlizna! A jak smacznie zajada!

Kamilla.

Pan ze mną nie siadasz?

Henryk.

Ja? (*na stronie*) W istocie nasze śniadanie było dzisiaj tak krótkie i niespokojne...

Kamilla.

Prawdziwie wstydzę się tak sama jeść. Powinienbyś pan mi towarzyszyć; to ułatwiłoby moje dość oryginalne położenie.

Henryk.

Myślisz pani?

Kamilla.

Niezawodnie; siadaj pan tutaj. Patrz pan, nawet dwa talerze przyniosłam.

Henryk (*przysuwa sobie krzeselko i siada tyłem do okna*).

A ja przypadkiem wziąłem dwoje grabek i nożów.

(*Oboje jedzą; chwila milczenia*).

Henryk.

Ten pasztet wyborny

Kamilla.

Doskonały.

P. Szumbaliński *(otwierając drzwi w głębi po prawej).*

O! *(szybko się cofa i drzwi za sobą zamyka)*

Kamilla.

Co to było?

Henryk.

Nie wiem.

Kamilla.

Zdawało mi się, że ktoś O! powiedział.

Henryk.

Ja także wyraźnie O! słyszałem. Pani pozwoli, że zobaczę. *(idzie w głąb i wygląda najprzód przez jedne, potem przez drugie drzwi)*

Kamilla.

Cóż?

Henryk.

Niema nikogo.

Kamilla.

Musiało nam się zdawać.

Henryk.

Przy tej sposobności wezmę kieliszki, które zapomniałem.

(bierze je na bufecie i wraca do stolika)

Kamilla *(na stronie).*

Jak o wszystkim pamięta.

Henryk (*usiadłszy nalewa jej i sobie wina*).

Mogę pani służyć?

Kamilla.

Proszę.

(*pijąc. Kamilla śmiejąc się stawia kieliszek na stole*)

Kamilla.

Trzeba jednak przyznać, że nasze poznanie dosyć oryginalne.

Henryk (*zrywając się*).

O mój Boże, cóż ja zrobiłem! Przepraszam panią po tysiąc razy, wszakże nie przedstawiłem się pani. Jestem Henryk Marecki.

Kamilla (*lekko skłoniwszy mu głowę*).

Pan zapewne w tych stronach mieszka?

Henryk.

Tak jest, pani, mój majątek ztąd o trzy mile położony. (*na stronie*) Ja się wymieniłem, ale ona...

Kamilla.

Myślę, że będąc tak blizkim sąsiadem, pan często u mojego ojca bywasz?

Henryk.

U pani ojca?

Kamilla.

Tak jest, u mego ojca.

Henryk (*na stronie*).

Udawajmy, że rozumiem, może się czego dowiem.
(*głośno*) O, bardzo często, bardzo.

Kamilla.

Dziwi mnie, że mi nie o panu nie mówił.

Henryk.

Żałuję, że nie był łaskaw...

Kamilla.

Ale nie, wszakże prawda, dziś rano pana wspominał.

Henryk.

Pani ojciec był tu dziś rano?

Kamilla (*zadziwiona*).

Mój ojciec?

Henryk.

Pani ojciec.

Kamilla (*parskając śmiechem*).

Wybacz pan, lecz to zapytanie... (*śmieje się*)

Henryk (*na stronie*).

Jakieś głupstwo powiedziałem.

Kamilla.

Gdzież pan chcesz, żeby mój ojciec był, jeśli nie u siebie?

Henryk.

U siebie! (*na stronie*) Oho Szumbalińsiu! Więc to niby z lewej ręki... Tak! to co innego!

Kamilla (*na stronie*).

On jest jakiś dziwny.

Henryk (*na stronie*).

Teraz wiem przynajmniej, czego się trzymać.

Kamilla.

To dziwna rzecz, że gdy ojciec wspomniał mi dziś rano pana Henryka, byłam pewną że to pan nim jesteś.

Henryk (*przybierając ton lżejszy*).

Tak bardzo dziwnego nic w tém nie widzę, bo przecie już się znaliśmy.

Kamilla (*spuszczając oczy*).

Jeżeli znajomością nazwać można, że pan, przejeżdżając na koniu, parę razy mnie widziałeś.

Henryk.

Rozmawialiśmy nawet z sobą.

Kamilla.

My?

Henryk.

Tak jest, oczami.

Kamilla (*na stronie*).

Ten ton?

Henryk.

Pani wracasz do leśniczówki?

Kamilla.

Ojciec każe.

Henryk.

Tém lepiej. <http://rcin.org.pl>

Kamilla.

Nie rozumiem...

Henryk (*przybliżając się, ciszej*).

Na leśniczówce łatwiej się widywać.

Kamilla (*chcąc iść do skrytych drzwiczek*).

Pan pozwolisz, że odejdę do swego pokoju.

Henryk (*zastępując jej drogę*).

Nie bądźże pani tak srogą. inaczej będę myślał, że pani chcesz koniecznie bym wieczorem przyjechał do leśniczówki dla wyjednania sobie przebaczenia.

Kamilla.

Taka zniewaga w domu ojca!

Henryk.

Wszakże tu o zniewadze mowy niema, lecz o kochaniu. (*chce ją wziąć za rękę*)

Kamilla (*wyrywając rękę*).

O mój Boże, Boże! Czémże ja na to zasłużyłam!

(*wychodzi płacząc skrytymi drzwiczkami*).

Henryk (*za nią*).

Pani!

SCENA XIV.

Henryk (*sam*).

Henryk (*p. k. m.*).

To nie było udaniem, ona w istocie była obrażoną

i słusznie. Przykre uczucie, którego sam doznaję, wyraźnie mi to powiada. Głupstwo, gorzej jak głupstwo zrobiłem. Lecz kto byłby się tego spodziewał? To okrywanie się tajemnicą w leśniczówce, to jeżdżenie konno sama jedna... wreszcie cały świat wie, że Szumbaliński ma tylko jedną córkę... Nie, w tym jest jakaś dziwna, niedocieczona tajemnica!

SCENA XV.

Henryk, Błażej.

Błażej (*wchodząc w głębi z piórkiem do ścierania kurzu w ręku*).

Teraz trzeba proszeczki pościerać.

Henryk.

Błażeju! Kto jest ta panna? (*wskazując na skryte drzwiczki*)

Błażej (*na stronie*).

Bacność! (*głośno, wskazując na portret nad drzwiczkami*) To nieboszczka pani.

Henryk.

Ale nie ten portret, lecz ta panna tam. (*wskazując na skryte drzwiczki*)

Błażej (*wskazując okno*).

A, w ogrodzie? Panna Paulina.

Henryk (*zniecierpliwiony*).

Proszę cię nie udawaj głupiego. Pytam się o tę nieznaną pannę z leśniczówki.

Błażej.

Jeżeli z leśniczówki, to pewnie córeczka leśniczego.

Henryk.

Mój Błażeju, znasz mnie oddawna, wiesz że jestem przyjacielem twojego pana; przecie żadnych złych zamiarów nie mam, proszę cię powiedz, kto ona jest?

Błażej.

Kiedy nie wiem, o kim pan mówi.

Henryk.

O tej pannie, która tu dziś rano przyjechała, która tu w tej chwili była, z którą dopiero co mówiłem, z którą śniadanie jadłem.

Błażej.

To pan dziś jadł dwa śniadania?

Henryk (*w pasy*).

Idź do diabła! Albo sam pójde, ale przysięgam, że się na krok z tego domu nie ruszę, chociażbym miał trzysta lat tu siedzieć, póki się o wszystkim nie dowiem.
(*wybiega w głąbi po prawej, mocno drzwi zatrzaskując*)

SCENA XVI.

Błażej (*sam*).

Błażej.

Hi, hi! młodość, młodość, gorączka! Ale od starego Błażeja nie się, paniczu, nie dowiesz. (*patrzac na stolik,*

przy którym Henryk i Kamilla jedli) Ale jak on ją tu zaraz przywabił i do pasztetu odrazu trafił? No, proszę ja kogo, oto mistrz! I zaraz się rozgospodarował! — Trzeba znowu sprzątać; i to tak cały dzień; co, kto, gdzie nieporządku narobi, sprzątaj Błażeju! *(chowa wszystko do bufetu)*

SCENA XVII.

Błażej, P. Szumbaliński.

P. Szumbaliński.

(we drzwiach po lewej w głębi)

Błażeju!

Błażej.

Jest! Cóż tam znowu?

P. Szumbaliński

Niema tu nikogo?

Błażej.

Niema. Czegoż pan nie wchodzisz? Czy się pan boisz, czy co?

P. Szumbaliński.

Gdzie pan Henryk?

Błażej.

Dopiero co ztąd wyleciał jak z procy.

P. Szumbaliński.

A Kamilla? <http://rcin.org.pl>

Błażej.

Nie zastałem jej tutaj, ale pan Henryk pokazywał na te drzwiczki i pytał się koniecznie, kto jest ta panna?

P. Szumbaliński.

Pytał się kto ona jest? Zatem nie nie wygadała, to szczęście! Teraz uważaj, żeby tu nikogo nie było, a gdyby kto przyszedł, oddał go zgrabnie. Pójdę po Kamillę i wtedy, (*wskazuje drzwi któremi wszedł*) tylnymi drzwiami ją wyprowadzę.

Błażej.

Bądź pan spokojny, już jak ja wartę trzymam, ptaszek nie przeleci.

P. Szumbaliński.

No, pamiętaj (*wychodzi skrytemi drzwiczkami*).

SCENA XVIII.

Błażej (*sam*).

Błażej.

Kto by tu miał przyjść? Pan August z panną Pauliną gruchają w altance jak turkaweczki, Pan Henryk poleciał gdzieś jak waryat. . . (*słychać za sceną dwa trzaśnięcia z batoga*)

Oho! To stary Jan zajeżdża, pewnie pan Kazimierz przyjechał (*idzie ku drzwiom w głębi*).

SCENA XIX.

Pan Gomojto, Agata, Błażej.

(P. Gomojto wchodzi w głębi w białym pudermantlu, pod którym ma ubiór z szarego płótna lub popielaty; w rękach niesie kilka torb podróżnych i jedną myśliwską. Za nim wchodzi Agata także w podróżnym stroju z torbeczką w ręku).

P. Gomojto.

Cóżeż to? W całym domu niema żywej duszy.

Błażej.

Pan Maciej! *(na stronie)* Bądźże zdrów!

Agata.

A, przecie jest Błażej! Jak się masz? Gdzie papa? Co? Zdrów, wesół? Niema go tutaj? Dokądże poszedł? Zapewne jest przy gospodarstwie, na oborze? Poznają go po tém: zawsze czynny, nie spocznie nawet w dzień imienin. A ty stary, zawsześ czerstwy?

Błażej.

Całuję stópki wielmożnych pnóstwa. Człowiek, ot tak, tak, powoli...

P. Gomojto.

No, powiedz no...

Agata.

Papa pewnie wnet wróci, zaczekamy tutaj na niego. Trzeba się tymczasem trochę otrzepać z kurzu, włosy poprawić, toaletę odświeżyć. Błażeju, nie masz tu jakiego zwierciadła?

Błażej.

Tu właśnie niema zwierciadelka, ale gdyby państwo pozwolili, to jabym otworzył pokoik.

P. Gomojto.

Jakoż...

Agata.

Dziękuję ci, tutaj doskonale; prędziej się z papą zobaczymy. Wszystko zatém w domu dobrze? Ileż to lat jak ja tu nie byłam! Urodzaje macie piękne, widziałam, widziałam; bo też to trzeba przyznać, że z papy gospodarz, jakiego drugiego niema na świecie.

Błażej.

Ho, ho! Już to nasz pan gospodarz!...

P. Gomojto.

To mnie takóż cieszy, bo chciałbym coś o posagu...

Agata.

Tylko proszę cię, Maciuniu, temu daj pokój. Mogłoby się papie zdawać, że nasze pierwsze odwiedziny z interesem połączone, a my chcieliśmy tylko zrobić mu niespodziankę w dzień imienin.

P. Gomojto.

Ale bo widzisz, duszko, kilkadziesiąt tysięcy...

Agata.

Proszę cię, Maciuniu, nie mów mi więcej o tém. Dzięki Bogu, mamy majątek ładny i bardzo dostarcza-

jący; zresztą wiesz, że jestem jedynaczką, więc nas ten majątek kiedyś nie minie; daj Boże, abyśmy do niego jak najpóźniej przyszli. Nieprawda Błażeju?

Błażej.

Dobrze panienka mówi.

Agata.

Słyszysz, słyszysz Maciuniu, on mnie jeszcze panienką nazywa! *(do Błażeja)* A moich trzech chłopców, których u ciotki zostawiłam.

Błażej.

Aż trzech!

Agata.

A trzech, panie Błażeju, a gdybyś widział, jakie dzielne chłopaczki. *(pokazując ich wzrost)* Taki, taki i taki.

Błażej.

Proszę ja kogo!

P. Gomojło *(na stronie)*.

Śmiało mogę pana teścia rachować na sto pięćdziesiąt tysięcy reńskich czystego majątku.

Agata.

Ale mów no mi o papie, zdrów? dobrze wygląda?

Błażej.

Zdrów jak rybka.

Agata.

Dzięki Bogu! *(A u was Krowy dużo mleka dają?)*

Błażej.

Jak się która trafi, tylko z tą Krasą mam dużo, dużo kłopotu, bo się doić nie daje.

P. Gomojto.

Mądra krowa!

Agata.

(dobywa z torbeczki małe zwierciadło, grzebyczek i poprawia sobie włosy).

Wybornie wam się udało, że wysłaliście konie do dworca tak, na chybił trafił, czy kto przyjedzie lub nie, na papy imieniny.

Błażej.

A tak, tak, na chybił trafił. *(na stronie)* Czemże teraz pan Kazimierz przyjedzie? Aj, aj, aj!

P. Szumbaliński *(odchylając skryte drzwiczki).*

Błaż... O! *(szybko je zamyka)*

P. Gomojto.

A toż co?

Błażej.

To nie, wietrzyk; tu zawsze są przeciągi, straszne przeciągi.

P. Gomojto.

Przeciągi? O, co tego to nie lubię. Duszko, możebyśmy ztąd poszli?

Agata.

Ależ wam się zdaje, tu niema najmniejszego przeciągu.

Błażej.

Są, są....

P. Gomojto.

Przecie, duszko, słyszałaś, jak drzwiami trzasnęło. Jako myśliwy, na dworze wiatru i zawieruchy się nie boję, ale w pokoju, gdy człowiek zgrzany, nie lubię, nie lubię. *(podnosi kołnierz pudermantla)*

Błażej.

O, kiedy zgrzany, to bardzo nie dobrze. Proszę, proszę wielmożnych państwa, ja inny pokoik otworzę.

P. Gomojto.

Cóż duszko?

Agata.

Kiedy chcesz koniecznie, Maciuniu, niech nas zresztą Błażej zaprowadzi. *(do Błażeja)* Ale skoro papa wróci, powiedz mu.... albo nie, nic mu nie mów, kto przyjechał, tylko do nas go przyprowadź.... albo lepiej nas zawołaj, tak, rozumiesz, zawołasz nas prędziutko.

Błażej.

Dobrze, dobrze, zaraz zawołam. *(idąc ku pierwszemu drzwiom na lewo, które otwiera)* Tędy proszę państwa, tędy. *(Gomojto wychodzi, za nim Agata. Błażej z progu mówi za niemi)* Zaraz przynoszę szczoteczkę, miedniczkę i co potrzeba. *(zamyka drzwi za niemi i idzie ku skrytym drzwiczkom, stając)* Nie, najprzód trzeba posłać po pana Kazimierza. *(idzie w głąb, Agata otwiera drzwi)*

Agata.

Albo wiesz co, tutaj papę przyprowadź i klaśnij w dłonie, to ja już będę wiedziała, co to znaczy.

Błażej.

Klasnę, klasnę, niech panienka będzie spokojną.

Agata.

Pamiętaj, klaśnij a mocno. (*Agata drzwi zamyka*).

Błażej (*odchodząc*).

Oj, toż to będzie bigos, bigos! (*wychodzi w głębi*).

SCENA XX.

Pan Szumbaliński, (później) Henryk.

P. Szumbaliński (*odchylając ostrożnie drzwi*).

Oto nowa bomba! Ja się wynoszę. (*mówi za siebie*) Kamiliu, chodź, pojedziemy razem na leśniczówkę. (*Henryk wchodzi w głębi. P. Szumbaliński usłyszawszy, że ktoś drzwi otwiera, szybko się cofa i drzwiczki za sobą zamyka*).

Henryk.

Nie, póty nie będę miał chwilki spokoju, póki tej rzeczy nie wyjaśnię i jej nie przeproszę. Hm, nie śmiem tam pójść; jakby to zrobić, żeby ją tu sprowadzić? (*p. k. m.*) Gdybym umiał śpiewać zaśpiewałbym, ale wyję... Możeby stłuc co wielkiego, naprzykład, bufet

przewrócić, ale Błażej zaraz przybiegnie. (*idzie do okna i patrzy w górę, niby na wieżyczkę za sceną*) Hm, hm, (*chrząka, potem kaszle*) Kaszlu się nabawię. (*cicho*) Pani łaskawa, pani! (*patrząc w górę*) Nic... (*głośniej wzdychając*) Ach pani!

SCENA XXI.

Pan Ratatyński, (za nim) Ludwika, Henryk
(*który się szybko od okna odwraca*).

P. Ratatyński (*wchodząc po prawej w głębi*).

Do milion krośset diabłów! To tylko mnie się przytrafić może.

Ludwika.

Ale uspokój się Kaziu...

P. Ratatyński.

Uspokój się, uspokój! Kiedy nie chcę się uspokoić, póki...

Ludwika.

Jakże chcesz tak wpadać do domu... A! Jakiś pan!

P. Ratatyński (*do Henryka*).

Pan zapewne sąsiad?

Henryk.

Tak jest, panie dobrodzieju, Henryk Marecki.

P. Ratatyński.

Bardzo mi miło... Wystaw pan sobie, co mi się wydarzyło!

Ludwika.

Cóż to pana obchodzić może!

P. Ratatyński.

Dlaczego go to niema obchodzić? *(do Henryka)*
Nieprawda, panie? Wystaw pan sobie, telegrafuję dziś rano ze Lwowa do mego teścia....

Henryk

Co?

P. Ratatyński.

Cóż pana w tém dziwi? Przecie każdemu wolno do swego teścia telegrafować; telegrafuję tedy do mego teścia....

Henryk.

Przepraszam, ale nie rozumiem.

P. Ratatyński.

O co telegrafuję? Przecie to jasne jak dzień, o konie, panie, o konie, żeby na mnie czekały przy dworcu kolei. O cóż innego miałem telegrafować.

Henryk.

Zapewne... w drodze... *(na stronie)* Ten oryginał mnie bawi.

P. Ratatyński.

Lwowski pociąg się spóźnił, oczywiście, bo ja w nim siedziałem, już takie moje szczęście, ale dojeżdżamy

nareszcie do stacyi; Krakowski pociąg który się ze Lwowskim tutaj krzyżuje, już był przyszedł. Chcę wysiąść z wagonu, ale wagon zamknięty, także mądre zarządzenie; siedzę zatem cierpliwie, póki konduktor nie raczy nas wypuścić. Wtedy widzę, jak się jakiś gruby szlachcic z magnifiką, którzy Krakowskim pociągiem przyjechali, tasują się do pojazdu i odjeżdżają. Co mnie do tego? Nic, nieprawda, panie?

Henryk.

Naturalnie.

P. Ratatyński.

Naturalnie, myślisz pan? Otóż się pan mylisz. Posłuchaj pan, co się dalej stało. Konduktor otwiera nam nareszcie, wyskakuję, biegnę się dowiedzieć, czy są konie mojego teścia: były, dopióro co były, lecz właśnie odeszły. Wyobraź pan sobie, to ten gruby szlachcic niemi pojechał!

Henryk.

W istocie to bardzo nieprzyjemnie.

P. Ratatyński.

To nie jest nieprzyjemnie, mój panie, to jest niegodziwie! Ale do milion kroćset diabłów, ja tego szlachcica znajduję, jakem Ratatyński, znajduję go i uszy mu obetnę.

Ludwika.

Mężu, proszę cię....

P. Ratatyński.

Tak jest, uszy mu obetnę. Prosiłem już nawet

młodego oficera, który wysiadł z drugiego wagonu z jakąś panią, nawet dosyć przystojną....

Ludwika (*żywo*).

Co, co powiadasz?

P. Ratatyński.

To niema nic do rzeczy; prosiłem tego oficera, żeby mi pomógł odszukać szlachcica i gdyby go gdzie spotkał, natychmiast odemnie wyzwał.

Ludwika.

Przystojna panią, no proszę....

Henryk.

Wtém musi być jakieś nieporozumienie, które się wyjaśni. Tylko chciej mi pan wytłómaczyć, dlaczego, kiedy mogłeś tu przyjechać, nie pojechałeś za tym szlachcicem wprost do swego teścia.

P. Ratatyński.

Czyś pan oszalał?

Henryk.

Mój panie!

P. Ratatyński.

Przecie panu powiedziałem, że jestem Ratatyński, Kazimierz Ratatyński!

Henryk.

Cóż z tego?

P. Ratatyński.

To pan jako sąsiad nie wiesz, że jestem zięciem pana Szumbalińskiego?

Henryk

A to znowu coś nowego!

P. Ratatyński.

Jakto nowego? Od trzech lat się z jego córką ożeniłem.

Henryk.

Tego już za wiele! Jedna córka, druga córka, trzecia córka! Idę wprost do Szumbalińskiego, to się raz wyjaśnić musi! *(wybiega drzwiami po prawej w głąbi)*

SCENA XXII.

P. Ratatyński, Ludwika.

P. Ratatyński.

Waryat! czy półglówek! Jedna córka, druga córka, trzecia córka i wyleciał jak oparzony.

Ludwika.

Półglówek, być może, to wcale inna rzecz, ale pan przy całym swoim gniewie zauważyłeś, że panienka, która wysiadła z tym oficerem, miała ładną twarzyczkę.

P. Ratatyński.

Chcę natychmiast wziąć sto harapów, jeżeli rozumiem.

Ludwika.

O, tak, zagaduj pan, zagaduj, ale ja to już przez całą

drogę uważałam, że gdzie tylko zgrabna figurka się nawinęła, pan się koło niej kręciłeś.

P. Ratatyński.

Ależ moja Ludwisiu...

Ludwika.

To samo było w Radziwiłowiu, to samo we Lwowie, to samo w Przemyślu a zawsze pod pozorem bardzo mądrze wyszukany, lecz dla mnie jak szkło przezroczystym. *(naśladując go)* „Proszę cię, Ludwisiu, poczekaj na mnie chwileczkę, pójdę cygaretkę wypalić“, to znowu „chciałbym się wódki napić, zobaczę, czy nie dostanie tu śliwowicy“.... O, ja to bardzo dobrze rozumiałam.

P. Ratatyński.

Przecie wiesz, że codzień kieliszek piję.

Ludwika.

A wilią wyjazdu? Nie zastałam cię w garderobie?

P. Ratatyński *(wskazując na szyję)*.

Kazałem sobie guziczek przyszyć do koszuli.

Ludwika.

Guziczek? A dla czego pękł ten guziczek?

P. Ratatyński.

Bo kichnąłem.

Ludwika.

Kataru wtedy nie miałaś!

P. Ratatyński.

Cóż u krośset diabłów, już mi kichnąć nie wolno?

Ludwika.

To, to, to, teraz niby się gniewaj, znam ten system; skoro pan co przeskrobie, zaraz hałasuje, żeby uwagę odwrócić.

P. Ratatyński.

Zatém dzisiaj nie miałem powodu do gniewu?

Ludwika.

Miałeś, ale mi ten gniew podejrzany, bo trwa za długo. Ty jak się prawdziwie rozgniewasz, w pierwszej chwili gotów jesteś wszystko wokoło siebie rozbić, połamać, zgruchotać, lecz moment później, złość mija i znowu jesteś dobry jak baranek; przeciwnie dzisiaj...

P. Ratatyński.

Właśnie dla tego nie rób mi dzisiaj sceny zazdrości, bo wreszcie znowu się zniecierpliwię.

Ludwika.

Więc dla czego powiedziałeś, że ta panna była przystojną?

P. Ratatyński.

Powiedziałem.... powiedziałem... ot tak na wiatr powiedziałem.

SCENA XXIII.

Ciż, P. Gomojto *(we drzwiach po prawej)*.

P. Gomojto.

Cóżeż tej wody nigdy nie przyniosą?

P. Ratatyński.

Co widzę! mój szlachcic.

P. Gomojto.

O, przepraszam. *(chce się cofnąć)*

P. Ratatyński.

Ha! tu pan jesteś! proszę, proszę na słóweczko!

Ludwika.

Kaziu, proszę cię powstrzymuj się.

P. Gomojto.

A i owszem, czem mogę służyć?

P. Ratatyński.

Radbym wiedzieć, jakim prawem pan zabrałeś mi konie?

P. Gomojto.

Ja?

P. Ratatyński.

Pan, pan, widziałem na własne oczy!

P. Gomojto.

Co też pan mówi, ja panu zabrałem konie? Jakie, gdzie, kiedy?

P. Ratatyński.

Przed godziną przy dworcu kolei.

P. Gomojto.

A to czysta napaść.

P. Ratatyński.

Co? Co? Napaść? Tak, to była napaść z pańskiej strony, ale do milion kroćset diabłów, to się tak między nami nie obejdzie.

Ludwika.

Kaziu, zaklinam cię, spokojnie.

P. Gomojto *(na stronie)*.

Cóżeż to za bałwan.

P. Ratatyński.

Pan mi dasz satysfakcyę.

P. Gomojto.

A i owszem, ja się pogrózek nie boję.

P. Ratatyński *(klaszcząc w ręce)*.

Dobrze! W to mi graj!

SCENA XXIV.

Ciż, Agata (*wbiegając*).

Agata (*wbiegając*)

Jestem, jestem?... A! przepraszam. (*do Gomojły*)
Co to jest? Kto tu w dłonie klasnął?

P. Gomojło.

A oto ten pan, który mi się czepia, że mu jakieś konie zabrałem.

P. Ratatyński (*do Ludwika*).

Czepiam się, słyszysz, czepiam się!

Ludwika.

Mój Kaziuniu, tylko spokojnie.

Agata.

To szczególna pretensya!

P. Ratatyński.

Przepraszam panią, wcale nie szczególna, bo kto cudze konie zabiera, powinien wiedzieć, że się na takie pretensye wystawia.

Agata.

A to rzecz niesłychana! My, my, zabraliśmy cudze konie?

P. Ratatyński.

Tak jest, państwo zabraliście konie do dworca po nas wysłane.

Agata.

W tém się pan właśnie mylisz, bo te konie papa po nas wysłał.

P. Ratatyński i Ludwika.

Papa!

Agata.

Tak jest, papa, nie kto inny.

P. Ratatyński (*do Ludwika*).

Ha, ha, ha! Co ty na to powiadasz?

(Ludwika stara się go uspokoić)

Agata.

Cóż pan w tém tak zabawnego znajdujesz?

P. Gomojto.

Dajno duszko pokój, ja się z tym panem rozmówię.

P. Ratatyński.

Papa! A to mi się podoba!

P. Gomojto.

A mnie się to nie podoba, żebyś pan takim tonem mówił do mojej żony.

P. Ratatyński.

Papa! papa! proszę ja kogo!

Ludwika.

Kaziu!

P. Gomojto.

Ja pana proszę...

Agata.

Chodź Maciuniu, nie irytuj się; temu panu wyraźnie czegoś tu brakuje.

P. Ratatyński *(do Agaty ironicznie)*.

W istocie? *(do p. Gomojły)* Pan więc nie wiesz kto ja jestem?

P. Gomojło.

Co mnie do tego kto pan jesteś! *(na stronie)* Bałwan i basta.

Agata.

Chodź, chodź.

(P. Gomojło odwraca się ku drzwiom i chce iść)

P. Ratatyński.

Ja jestem....

Ludwika.

Proszę cię, daj pokój. Skoro papa wróci...

P. Gomojło i Agata *(razem)*.

Papa!

P. Ratatyński.

Acha! Teraz państwo zadziwiliście się! Nie wiedzieliście z kim macie do czynienia! Chcieliście bajeczką się wykręcić i zadrwić ze szlacheica, ale to się nie udało, bo ja jestem Kazimierzem Ratatyńskim, zięciem pana Szumbalińskiego.

P. Gomojło.

A ja Maciejem Gomojłą, także zięciem pana Szumbalińskiego.

P. Ratatyński.

Pan jesteś intrygantem.

P. Gomojło.

A pan czarną duszą!

P. Ratatyński.

Pan Szumbaliński ma tylko jedną córkę jedynaczkę.

Agata.

A tą jestem ja!

Ludwika.

Ja!

P. Ratatyński *(do Agaty)*.

To nieprawda!

P. Gomojło *(w coraz większej pasyi)*.

Co pan śmiesz mówić, że moja córka nie jest żoną swojego ojca... to jest córką swojego męża?

P. Ratatyński *(również)*.

A pan śmiesz twierdzić, że moja teścia nie jest żoną swojego córka?

Agata i Ludwika *(razem)*.

Ja nie jestem córką swojego ojca!

P. Ratatyński.

To się wnet wykryje!

P. Gomojło.

To się pokaże!

Agata *(padając na kanapę)*

Tego nie przeżyję!

Ludwika (*padając na fotel po drugiej stronie*).

Umrę!

P. Ratatyński.

Idę po mojego teścia!

P. Gomojło.

Ja także po mojego.

P. Ratatyński.

Po mojego!

P. Gomojło.

Po mojego!

(P. Ratatyński wybiega drzwiami po lewej w głąbi, p. Gomojło drzwiami po prawej w głąbi).

SCENA XXV.

Agata, Ludwika.

Agata (*placząc*).

To jest okropne!

Ludwika (*placząc*).

Zaprzeczać mi, że jestem córką mojego ojca!

Agata.

Przybierać moją rolę we własnym ojca domu!

Ludwika.

To niegodziwie!

Agata.

Otóż to są skutki, gdy się wychowuje córkę za domem!

Ludwika.

Co pani powiadasz?

Agata.

Powiadam, że pani korzystasz z tego, że byłam wychowaną u mojej ciotki Kunegundy w Królestwie, żeby się tutaj za mnie wydawać.

Ludwika.

U pani Kunegundy Łownieckiej?

Agata.

Tak jest, u pani Kunegundy Łownieckiej. *(ironicznie)*
To pani przecie raczysz to wiedzieć?

Ludwika *(wstając)*.

Nie, to być nie może, wszakże Agata tam dzieckiem umarła.

Agata.

Zdaje się, że nie, kiedy ja żyję, gdyż ja jestem tą Agatą.

Ludwika.

Ty, ty jesteś Agatą? Wszakże ja jestem Ludwiką, chowałam się na Podolu u ciotki Doroty! Siostro!

Agata *(zrywając się)*.

Ludwika! *(rzucając się w objęcia)*

Ludwika.

Ja ciebie miałam za umarłą.

Agata.

A ja ciebie... przecie ojciec mówił...

Ludwika.

Mnie także...

Agata.

Jakiż mógł mieć powód?

Ludwika.

Dowiemy się później, ale cóż to za szczęście! Niechże cię jeszcze raz uściskam.

Agata (*ściskając ją*).

Moja droga Ludwisiu!... A teraz biegnijmy za mężami, oni się tam jeszcze poczubić gotowi.

Ludwika.

Ach prawda, lećmy, może i papę spotkamy.

Agata.

Chodźmy, chodźmy. (*biegnie do drzwi po prawej w głębi*)

Ludwika (*biegnąc do drzwi po lewej w głębi*).

Oni tędy poszli.

Agata.

Nie, tędy.

Ludwika.

Z pewnością tędy!

Agata.

Ale nie, tędy!

Ludwika.

Kiedy ci zaręczam...

Agata.

Wszystko jedno, gdzieś ich znajdziemy.
(wybiegają drzwiami po lewej w głębi)

SCENA XXVI.

Błażej, *(później)* **P. Szumbaliński**.

Błażej *(wchodząc drzwiami po prawej w głębi)*.

No, to piękna historia! Cały dom do góry nogami.

P. Szumbaliński *(odchylając drzwiczki)*.

Gdybyśmy się tylko do stajni dostać mogli! Błażeju!
A co tam?

Błażej.

Strach co się dzieje!

P. Szumbaliński.

Strach?

Błażej.

Koniec świata.

P. Szumbaliński.

Kamilli zatem jeszcze wyprowadzić nie mogę?

Błażej.

Ani myśleć.

P. Szumbaliński (*mówiąc za siebie*).

Kamilciu, jak mnie kochasz, nie wychodź pod żądnym pozorem. Co?... Pytasz się dla czego? Później ci to wyjaśnię, tylko siedź spokojnie. (*do Błażeja*) Cóż oni tam robią?

Błażej.

Co? Pan Kazimierz z panem Maciejem prawie załby się wodzą, pan Henryk lata za panem jak opętany...

P. Szumbaliński.

A pan August i Paulina?

Błażej.

O tych nie ma się pan co troszczyć: ci siedzą w altance i o bożym świecie nie wiedzą.

SCENA XXVII.

Cliz, P. Ratatyński (*wchodzi drzwiami po prawej w głębi*).

P. Ratatyński.

Rozstąp się ziemio... (*P. Szumbaliński jednym susem chce się dostać do drzwiczek, P. Ratatyński go spostrzega*)
A, przecie!

P. Szumbaliński (*na stronie*).

Złapał mnie!

P. Ratatyński.

Gdzież u licha pan teść siedziałeś?

P. Szumbaliński.

Jak się masz, kochany Kaziu!

P. Ratatyński.

Od godziny za tobą się rozbijam; wystaw sobie...

P. Szumbaliński.

Niechże cię najprzód uściskam! (*ściska go*)

P. Ratatyński.

To rzecz niesłychana!...

P. Szumbaliński.

Jak to pięknie z twojej strony, że o moich imiennach pamiętałeś!

P. Ratatyński.

Jakiś intrygant, czy waryat...

P. Szumbaliński.

Doskonale mi wyglądasz; żona zdrowa?

P. Ratatyński.

Jest tu ze mną, ale nie o to chodzi. Wyobraź sobie, że tu, do twego domu, zajechał jakiś awanturnik, który mi w oczy śmie utrzymywać, że jest twoim zięciem.

P. Szumbaliński.

Tylko się nie irytuj Kaziu.

P. Ratatyński.

Jakże do stu diabłów, nie mam się irytować? Najprzód zabrał mi konie...

P. Szumbaliński.

Nie tak gorąco, nie tak gorąco!.... W tem jest małe nieporozumienie.

P. Ratatyński.

O konie być może, ale...

P. Szumbaliński.

Oto widzisz.... tak, prawdę mówiąc.... tylko się zaraz nie unosź...

P. Ratatyński.

No, mówże już raz, do kroćset...

P. Szumbaliński.

A widzisz Kaziu, już się unosisz... jakże ci mam wyjaśnić...

P. Ratatyński (*siadając*).

Już będę spokojnym, zupełnie spokojnym.

P. Szumbaliński.

Otóż ten pan Gomojło jest... że tak powiem...

P. Ratatyński.

Waryatem?

P. Szumbaliński.

Nie, ale także moim zięciem.

P. Ratatyński.

Proszę cię, daj pokój, to są żarty niewczesne.

P. Szumbaliński.

Ale ja bo... nie żartuję.

P. Ratatyński (*zrywając się*).

A do kroćset...

P. Szumbaliński.

No, no, no, Kaziu, tylko spokojnie; wszak dopiero sam powiedziałeś...

P. Ratatyński.

Nie... to są facecye; jakimże on sposobem mógłby być twoim zięciem?

P. Szumbaliński.

Takim, że się z moją drugą córką ożenił, właściwie ze starszą.

P. Ratatyński.

Z jaką drugą córką?

P. Szumbaliński.

Z Agatą, która się u mojej siostry Kunegundy chowała.

P. Ratatyński.

Chowała się? no proszę? Tak, to dobrze, ale ani chwili dłużej w tym domu nie zabawię. Ludwisiu! Ludwisiu!

P. Szumbaliński.

Ale rozważ...

P. Ratatyński (*chodząc wzdłuż i wszerz*).

Nie nie chcę słyszeć, zabieram żonę i jadę.

P. Szumbaliński.

Cóż miałem z nią zrobić, przecie jej jak szczenięcia utopić nie mogłem.

P. Ratatyński.

Ja nie nie mówię, ale jadę. Ludwisiu! (*idzie ku głębi*)

P. Szumbaliński (*na stronie*).

Czemby go udobruchać! O! (*bierze harap leżący na stoliczku, głośno*) Jaki ty, Kaziu, niepoczeiwy: ja o tobie pamiętałem a ty mnie martwisz.

P. Ratatyński.

O mnie pamiętałeś? pięknie!

P. Szumbaliński.

Tak jest, pamiętałem o twojej pasyi do polowania z chartami.

P. Ratatyński (*zatrzymując się*).

Przecie teraz nie pora.

P. Szumbaliński.

Prawda, ale wiedząc że takiego zbioru przyrządów do tego polowania, jak ty, nikt nie posiada, kupiłem ci rzadki egzemplarz.

P. Ratatyński (*robiąc krok ku niemu*).

Co za egzemplarz?

P. Szumbaliński.

Harap.

P. Ratatyński (*odchodząc*).

Mam ich bez liku.

P. Szumbaliński.

Ale takiego nie masz, bo to niezwykły harap...

P. Ratatyński (*stając*).

Niezwykły? pokaż... albo nie, nawet widzieć go nie chcę.

P. Szumbaliński.

Tylko zobacz, takiego jeszcze nie widziałeś.

P. Ratatyński (*wracając się*).

Nie widziałem?...

P. Szumbaliński.

Patrz, tak niby harap, i jest harap; ale gdy już wracasz do domu, albo kiedy ci się podoba, przypuścimy, że ci się chce palić; odkręcasz szrubkę tu i tu, (*odkręca szrubki*) dobywasz z kieszeni stambulkę i masz cybuch z fajką. (*dmucha w cybuch*)

P. Ratatyński (*biorąc mu go z ręki*).

A wiesz, że to wcale niezłe.

P. Szumbaliński.

Alboż ja ci kiedy co złego dałem? Twoja żona naprzykład, czy nie dobra, może nie ładna, może nie gra pięknie na fortepianie?...

P. Ratatyński (*zajęty harapem*).

Hu, niema co mówić, ale zazdrosna...

P. Szumbaliński.

Bo cię kocha.

P. Ratatyński.

I to prawda.

P. Szumbaliński.

Widzisz, Kaziu, jaki ty niewdzięczny.

P. Ratatyński (*parskając śmiechem*).

Nareszcie śmiać się muszę; ale wytłómacz mi przynajmniej...

SCENA XXVIII.

Ciż, P. Gomojło, Agata, Ludwika.

(*wchodząc drzwiami po lewej w głębi*)

P. Gomojło.

No, to wszystko dobrze, ale ja przecie z panem teściem rozmówić się muszę.

Agata i Ludwika (*razem*).

Papo! papo! (*rzucają nu się na szyję*)

P. Szumbaliński.

Jak się macie moje dzieci.

P. Gomojło.

Panie teściu...

P. Szumbaliński.

Maciuniu, niechże cię uściskam. (*ściska go*)
(*P. Ratatyński wita się z Agatą*)

P. Gomojto.

No dobrze, dobrze, ale takó¿ mnie na dudka wystrychnięto.

P. Szumbaliński.

Ale zkad znowu?....

P. Gomojto.

A tak, na dudka, bo jak¿e teraz będzie z posagiem?

P. Szumbaliński.

Z posagiem?.... (*ogłáda się po pokoju*)

P. Ratatyński (*idzie do p. Gomojty i podaje mu rękę*).

Ha, có¿ robić, panie szwagrze, podzielimy się.

P. Gomojto (*niekontent*).

Hm, podzielimy się, podzielimy.

P. Szumbaliński (*na stronie*).

Trzeba by go czém w dobry humor wprowadzić...
A, już mam! (*zdejmuje strzelbę ze ściany*)

P. Gomojto (*na stronie*).

Jako¿ na ká¿dego wypadnie siedmdziesiąt piéc tysięcy reńskich.

P. Szumbaliński.

Maciuniu, mam tu có¿ dla ciebie, cacko! jako myśliwego pewnie cię ucieszy. Patrz, iglicówka! Daruję ci ją.

P. Gomojło.

Iglicówka, ależ one podobno same wypalają?

P. Szumbaliński.

Gdzież tam, na świecie niema nic bezpieczniejszego.

SCENA XXIX.

Ciz, Henryk (*wpadając drzwiami po prawej w głębi*).

Henryk (*do p. Szumbalińskiego*).

Przecie pana znajduję.

P. Szumbaliński (*do Henryka*).

Zaraz ci służę. (*do p. Gomojły*) Patrz, są zamki bezpieczeństwa....

Henryk.

Tylko słówko, chciej mi pan powiedzieć...

P. Szumbaliński (*do Henryka*).

Natychmiast.... pójdziemy do mego pokoju....
(*do p. Gomojły*) Całkiem nowego systemu....

Henryk.

Kto jest ta panna na wieży zamknięta?

P. Szumbaliński (*do Gomojły*).

Jak zamknięte, ciągnij jak chcesz...

Henryk.

Córka, czy nie córka?

P. Szumbaliński.

Nie wypali. (*strzela w powietrze, wszyscy odskakują*)

Wszyscy.

Ach!

P. Ratatyński.

Bój się Boga!

P. Gomojło.

Jakoż w same ucho mi wypaliłeś!

P. Szumbaliński.

To nie, tylko broczkiem była nabita, na wróble.

P. Gomojło.

Dziękuję.

SCENA XXX.

Ciż, Kamilla.

Kamilla (*wbiegając skrytemi drzwiami*).

Ten strzał! Co się tu stało?

P. Szumbaliński.

Kamilla! zginąłem! *(pada na fotel obok kanapy)*

Wszyscy.

Kamilla?

Kamilla.

Drogi papo! *(biegnie do niego i przy nim przykłęka)*

Wszyscy.

Papo?

SCENA XXXI.

Ciż, Paulina, August.

(Paulina wbiega drzwiami po lewej w głębi za nią August)

Paulina.

Co to jest? co to jest? Ha! Papa ranny! Papo!
Papo! *(pada na kolana po drugiej stronie p. Szumbalińskiego)*

P. Ratatyński.

Znowu papo?!

P. Gomojto.

A toż też co nowego?

August.

Usłyszawszy strzał, przybiegliśmy z panną Pauliną
obaczyć, co się tu stało?

Paulina *(do p. Szumbalińskiego).*

Nic ci nie jest?

P. Szumbaliński.

Nic, nie, moje dzieci. *(całuje w głowę Paulinę i Kamilę)*

P. Ratatyński.

Panie teściu, co to znaczy?

P. Szumbaliński.

Posłuchajcie, wszystko wyjaśnię. *(wszyscy się koło niego grupują)* Gdy mnie moja biedna nieboszczka odumiała zostawiając mi kilka córek, pomyślałem sobie, cóż ja nieborak z niemi pocznę? Majątek mam dosyć piękny, ale dla jednej; gdy przyjdzie go podzielić, cóż się każdej dostanie?

P. Gomojło.

Trzydzieści siedem tysięcy pięćset.

P. Szumbaliński.

Jakiż konkurent o moje niebożątka się zgłosi? Żaden! A że miałem dwie siostry zamężne, jedną w Królestwie, drugą na Podolu, odwiozłem każdej jedną córeczkę. Wróciwszy do domu, rozgłosiłem, że je w tej podróży utraciłem. *(do p. Gomojły i Ratatyńskiego)* Tam każdy z was poznał swoją żonę i mogę śmiało powiedzieć, że dostał dobrą żonę. Czy nie prawda?

P. Gomojło.

No, prawda, <http://rcin.org.pl>

P. Ratatyński.

Cóż dalej?

P. Szumbaliński.

Trzecią Paulinę chowałem przy sobie i właśnie dzisiaj ją z panem Augustem Darzyńskim, bardzo zacnym, prawym, honorowym młodzieńcem zaręczyłem. (*ściska za rękę Augusta*) Czwartą, oto tę moją Kamilię, oddałem na pensyą w Poznaniu, zkąd właśnie wróciła, nad wszelkie moje spodziewanie wykształcona. (*do Henryka*) Gdybyś widział, jak maluje; kiep Salvator Rosa! — A teraz, moje dzieci, gdy wam już wszystko powiedziałem, poznajcie się między sobą, uściskajcie i niechaj zgoda i miłość w tym domu panują. Ja was wszystkich razem błogosławię.

P. Ratatyński.

Ha, kiedy już takie było przeznaczenie....

P. Gomojto.

I mnie się takóŜ zdaje, uściskajmy się.

(*p. Ratatyński i p. Gomojto ściskają się, Kamilla i Paulina nieśmiało się do sióstr zbliżają*)

Agata.

Kamileciu!

Ludwika.

Paulinko!

Kamilla i Paulina (razem).

Siostry! (*rzucają się w ich objęcia*)

P. Szumbaliński (*zacierając ręce*).

Dzięki Bogu, udało się!

SCENA XXXII.

Ciż, Józia (*za nią*) **Błazej.**

Józia (*biegnie do p. Szumbalińskiego i pada mu do nóg*).

Papo, papo, przebaczenia!

P. Szumbaliński.

Józia! Zkądżeś ty się tu wzięła?

Agata.

Józia?

P. Ratatyński.

Masz teraz, jeszcze jedna!

Ludwika.

Wszak to....

P. Gomojto.

Już tylko trzydzieści tysięcy!

Józia.

Papo, ja muszę coś papie powiedzieć, ale w sekrecie...

P. Szumbaliński (*do tamtych*).

Proszę was chwileczkę... pozwólcie... zaraz wam

wyjaśnień.... (do Józi, prowadząc ją naprzód sceny na prawo) Cóż takiego? Mów prędko, po co ze Lwowa przyjechałaś i do tego sama?

Józia.

Właśnie, papo, że ja nie sama przyjechałam.

P. Szumbaliński.

Z kimże? (na stronie) Truchleję.

Józia.

Z oficerem od ułanów.

P. Szumbaliński.

A co tego, to już za wiele! Idź mi precz z oczu, wracaj do Lwowa, rób co chcesz, już więcej nie o tobie wiedzieć nie chcę! (chodzi dużemi krokami po pokoju, za nim p. Ratatyński i p. Gomojło, którzy zdają się go wy-pytywać. Józia płacze)

Agata.

Cóż ona zrobiła?

P. Szumbaliński.

Co zrobiła? Pięknie się popisała!

Ludwika.

Ale przecie co?

P. Szumbaliński.

Dała się wykraść oficerowi od huzarów!

Józia (*szlochając*).

Od ułanów, proszę papy!

Agata.

Biedne dziecko, ona sama nie wie, co zrobiła. (*prosząc*) Ojczy!

P. Szumbaliński.

Daj mi pokój, wydziedziczam ją!

Błażej.

To pan głupstwo robisz.

Ludwika.

Miej wzgląd na to, że on ją wprost tutaj przywiózł.

P. Szumbaliński.

To niech ją sobie odwiezie, gdzie mu się podoba.

Błażej.

I gdzież pan chcesz, żeby poszli?

Kamilla.

Papo, daj się przebłagać!

Paulina.

Wszyscy prosimy.

P. Szumbaliński.

Nie, nie i nie!

Agata.

Dopomóżże nam mężu.

P. Gomojło.

Jakoż ja nie wiem. // <http://rcin.org.pl>

Ludwika.

Kaziu!....

P. Rałatyński.

Ha! Jedna mniej, jedna więcej!.... (do p. Szumbalińskiego) Panie teściu, nie zechcesz przecie gubić dziewczyny.

P. Szumbaliński.

Ona się sama zgubiła. To jest rzeczą niesłychaną! Wychowuję ją, staram się, płacę, na to przychodzi pierwszy lepszy jakiś tam podporucznik i dla tego, że ma ostrogi i czapkę nosi na bakier, panna zaraz hajże za nim!

Błazej.

A czemu pan jej w domu nie trzymał?

Agata (do Józki).

Któż on jest? Jak się nazywa?

Józka.

Jaromir.

Henryk.

Czy nie Krocki?

Józka.

Tak jest, Krocki.

Henryk (do Szumbalińskiego).

Ależ ja znam go doskonale, to bardzo przyzwoity chłopiec.

Błażej.

Słyszysz pan?

P. Szumbaliński.

Pięknie przyzwoity, co panny wykrada!

August.

Ja także go znam; on jest dobrej rodziny.

Błażej.

O!

P. Szumbaliński.

Co mnie tam do jego rodziny, nie dbam o rodzinę.

Henryk.

Ma ładny majątek.

P. Szumbaliński *(wolniej i ciszej)*.

Nie dbam o majątek.

Błażej.

Nieprawda!

August.

Stryj mu jeszcze dwakroć sto tysięcy zapisze.

P. Szumbaliński *(żywo)*.

Czemuż tu nie przyszedł od razu? gdzież on jest?

Józia.

Zatrzymał się w gospodzie, bo nie śmiał tu przyjść.

P. Szumbaliński.

Nie śmiał, dlaczego nie śmiał! Błażeju, niech Jan

prędko jedzie do gospody po narzeczonego panny Józefy, a niech się zwija.

Błażej.

Zaraz panie, galopem. *(wybiega w głębi)*

P. Szumbaliński.

Ty, Józiu, najprzód mnie uściskaj, potem twoje siostry.

Józia *(rzuca mu się na szyję).*

Siostry?

P. Szumbaliński.

Później ci to wyjaśnię.

Agata.

Teraz chodź do nas Józiu.

Józia.

Z duszy, serca.

Henryk *(do Kamilli).*

Gdy wszyscy szczęśliwi, czyż nie otrzymam przebaczenia?

Kamilla.

Jeżeli papa pozwoli.

(Henryk całuje ją w rękę z uniesieniem)

P. Szumbaliński *(zacierając rękę).*

Przecie wybrnąłem!

P. Gomojto.

To wszystko dobrze, panie teściu, ale już się raz hurtem przyznaj, ile masz córek?

P. Ratatyński.

Spodziewam się, że to ostatnia?

P. Szumbaliński.

Tak jest, to moja ostatnia córka, daję na to słowo.

P. Gomojło.

Jakoż teraz może zaczną się synowie?

P. Szumbaliński.

Nie, syna nigdy nie miałem, ale kiedy już wszyscy zebrani jesteśmy, muszę wam przy tej okazji najtrudniejsze, zrobić wyznanie.

P. Gomojło.

Cożeż to będzie?

P. Szumbaliński.

Oto widzicie, dzisiaj wszystkie córki wydane, na starość przyszloby mi samemu siedzieć...

P. Ratatyński.

Cheesz się żenić?!

P. Szumbaliński.

Ożeniłem się.

Wszyscy.

A! a!

P. Szumbaliński.

Ośm miesięcy temu pojąłem w sekrecie za żonę, wprawdzie niemającą, ale bardzo poczciwą, godną osobę. Pokochacie ją wszyscy, gdy ją poznacie.

P. Gomojto.

Dziękuję, nie ciekawym.

P. Ratatyński.

Któż ona jest?

P. Szumbaliński.

Wdowa.

P. Gomojto.

Może ma dzieci?

P. Szumbaliński.

Nie, ale gdyby, jak się zdaje, pan Bóg obdarzył mnie konsolacją, (*rozczulając się*) przyjmijcie biedne niemowlę na łono rodziny z tak otwartym sercem, z jakiem wam je polecam.

P. Gomojto.

A zatem już tylko dwadzieścia pięć tysięcy i to pytanie?

K O N I E C.

MENTOR.

KOMEDYA

W TRZECH AKTACH, PROZĄ.

PRZEDSTAWIONA PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE

dnia 17 Marca 1871 r.

LUCYANOWI

SIEMIENSKIEMU

W DOWÓD PRZYJAŹNI

AUTOR.

OSOBY.

PANI TERESA ODOLIŃSKA
PANNA AGATA MORZANOWSKA } siostry.
PANI RÓWCZYŃSKA, majorowa }
WŁADYSŁAW MORZANOWSKI, ich brataniec.
WACŁAW RÓWCZYŃSKI, syn majorowej.
POBYCKI, pułkownik.
JADWIGA, córka
PANI ROZAMUNDA ZAMUREŁO, siostra } pułkownika.
WANDA ŁONIEWSKA, młoda wdowa.
PAN KRZYSZTOF WRZAZGA } sąsiedzi pułkownika.
PAN PIOTR BAŁAGÓLSKI }
MOLSKI, sekretarz } pani Odolińskiej.
JÓZEF, stary służący }
GRZEGORZ SKAŁKA, służący } pułkownika.
MYKITA, kozak }

Rzecz dzieje się w 1szym akcie we Lwowie*) u pani Odolińskiej, w 2gim i 3cim akcie na wsi u pułkownika. Między 1szym a 2gim aktem upływa dwa tygodnie, między 2gim a 3cim tydzień.

*) *Nota*: Przedstawiając tę komedię w Warszawie lub w Krakowie, można w miejscach gdzie przychodzi „Lwów“ zmienić to słowo na: „Warszawę, Kraków“.

MENTOR.



AKT I.

(Teatr przedstawia elegancką bibliotekę. W głębi drzwi, po bokach szafy szklane z książkami. Po prawej w pierwszej kulisie okno w drugiej drzwi. Na przodzie sceny stolik okrągły, zielonym sukniem nakryty, na nim szkatułka z cygarami; obok niego dwa fotele. Po lewej w pierwszej kulisie kominek, na nim zegar. W drugiej drzwi. Na przodzie sceny z ukosa postawiona kanapa, przed nią podłużny stół również zielonym sukniem nakryty; na nim wielki kałamarz, pióra białe papier i zapisane papiery w formie rejestrów i raportów gospodarskich, kilka książek, dzwonek i t. p. — Przy podniesieniu kurtyny pani Odolińska siedzi na kanapie, Molski stoi obok niej o dwa kroki w tyle).



SCENA I.

Pani Odolińska, Molski.

P. Odolińska.

Napiszesz pan więc do Rządu w Odolińcu żeby zaraz pojechał do Łanowic. Niech ten majątek oglądnie i przyszele mi dokładny wykaz rozległości i jakości

gruntów, stanu lasów i budynków. Niech się dowie wiele tam jest suchych intrat, jakie są ciężary, czy serwituta uregulowane, ile długu bankowego przy gruncie zostaje, wreszcie wiele za ten majątek żądają.

Molski.

List jeszcze dzisiaj odejdzie.

P. Odolińska.

Czy dowiedziałeś się pan co nowego względem interesu pana Władysława?

Molski.

Stosownie do rozkazu wielmożnej pani, jak to już miałem zaszczyt oświadczyć, przed tygodniem byłem u wszystkich tutejszych lichwiarzy. Oświadczyłem wszędzie, że wielmożna pani pod tym tylko warunkiem za kwartał długi pana Władysława zapłaci, jeżeli przez te trzy miesiące żaden z nich jednego grosza więcej mu nie pożyczy.

P. Odolińska.

I cóż?

Molski.

Wszyscy bez wyjątku tém chętniej na ten warunek przystali, że przedłożywszy im stan majątku pana Władysława jako bardziej oplakany niżeli jest w istocie, dałem im zarazem pewność ze strony wielmożnej pani, że wkrótce odbiorą swoje pieniądze. Liczą oni przytém i na to, że po trzechmiesięcznej pauzie będą mogli na nowo zdzierać pana Władysława, jeszcze lepiej niż dotąd.

P. Odolińska.

Wiem, wiem; cóż dalej? Czy robił pan Władysław jakie zabiegi?

Molski.

Pan Władysław był u wszystkich źródeł gdzie tylko pieniędzy dostać można; wszędzie zastał drzwi zamknięte, tak że pomimo gniewu, fochów i zżymania się... bo on prosić nie lubi, wreszeie dał rzecz za wygraną i od kilku dni u żadnego lichwiarza więcej się nie pokazał.

P. Odolińska.

Bardzo dobrze, dziękuję panu.

SCENA II.

Ciż, Józef.

(Józef wchodzi w głębi niosąc tacę, na której jest srebrny przyrząd herbaciany dla jednej osoby, filiżanka, parę dzienników i kilka listów)

P. Odolińska.

Co to jest?

Józef.

Pan Władysław kazał sobie tutaj przynieść herbatę.

P. Odolińska.

A... *(wskazując okrągły stolik)* Możesz to tam postawić. *(wstaje)* Gdyby pan Władysław się o mnie pytał, powiesz że jestem u siebie... zatrudniona.

Józef.

Do usług wielmożnej pani. *(stawia tacę na stoliku)*

Molski.

Czy wielmożna pani więcej nic nie rozkaże?

P. Odolińska *(zbierając niektóre papiery)*.

Dziękuję panu, na dzisiaj to wszystko, tylko proszę nie wspominać nikomu o tem o czem właśnie mówiliśmy. Rozumiesz pan, nikomu.

Molski.

Może wielmożna pani być zupełnie spokojną. *(kłania się i wychodzi w głębi)*

P. Odolińska *(do Józefa)*.

Powiesz panu Władysławowi że go proszę, żeby nie wychodził z domu, gdyż będę z nim miała później do pomówienia.

Józef.

Rozumiem.

(Pani Odolińska wychodzi po lewej).

SCENA III.

Józef *(sam)*.

O, coś niedobrze! — Ciocie się na nas gniewają! Biedny pan Władysław; czego one chcą od niego?... Że się lubi bawić... no, bo młody... któż młodym nie był? A jego ojciec, pan Jenerał, czy nie lubił się bawić?...

Oj Boże, Boże, gdzie to te czasy kiedy byliśmy w Paryżu! Ej, toż to u nas było wesoło! He, he... te francuzeczki to istne diabelki! ale ładne diabelki! Pamiętam szczególnie jedną... he he he... ale bo i człowiek wtedy był młody i przystojny!... E, co to gadać... minęło to, minęło! Teraz kolej na pana Władysława... to istny Jenerał, jak dwie krople wody do niego podobny i takie same do kobiet ma szczęście... O! co rano parę liścików... zupełnie jak u nas bywało... Czego więc one chcą od niego?

SCENA IV.

Władysław, Józef.

(Władysław wychodzi ze swego pokoju po prawej w jedwabnym szlafroku, pod spodem elegancko ubrany. Niby coś nuci przez zęby lecz widać że w złym humorze)

Józef *(na stronie)*.Zły! *(głośno)* Proszę pana, oto jest herbata.

Władysław.

Dobrze, dziękuję.

Józef.

Są i gazety... parę listów. *(na stronie)* Może go to ucieszy.

Władysław *(obojętnie)*

A; są listy; dobrze, połóż...

Józef *(na stronie)*.

Bardzo zły!... I nie dziw, ja także zły gdy patrzę jak mu dokuczają. *(głośno)* Czy mogę odejść?

Władystaw.

Możesz.

Józef (na stronie).

O! jaki on zły! Jednego dobrego słowa mi nie powiedział! Kubek w kubek pan Jenerał gdy nie miał pieniędzy! Czy to się godzi tak mi chłopca martwić! Czego one chcą od niego? *(wychodzi w głębi).*

SCENA V.

Władystaw (sam).

(Siada przy okrągłym stoliku i nalewa sobie herbaty, wzdychając na pół gniewnie, na pół znudzony, p. k. m.) Ha, zobaczymy te listy. *(biorąc jeden i patrząc na adres)* Od Baronowej. *(na pół ziewając otwiera list i czyta)* „Mój drogi, od dwóch dni cię nie widziałam, jestem bardzo niespokojną, może jesteś chory“. *(mówi)* Tak jest mam suchoty... kieszonkowe. *(czyta)* „Spodziewam się że tak nie jest, donoszę ci więc że mój mąż dziś wyjeżdża do Wiednia względem koncessyi“. *(mówi)* Na co mu koncessyi, on oddawna ma koncessyą.. a ja tej jego koncessyi, zaczynam już mieć za nadto. *(czyta)* „Przyjdź do mnie na herbatę, będziemy sami“. *(mówi)* podkreślone. *(rzuca list na tacę i bierze drugi)* Od Reginy... wiem zawczasu co w nim będzie. „Przyszliz mi pieniędzy“. *(otwiera list i czyta)* „Kochany Chrabio!“ *(mówi)* Chrabio przez C. H. od tego C nie odstąpi. *(czyta)* „Mój niegodziwy właściciel domu żąda zapłaty“ *(mówi)* proszę, jaki

bezczelny właściciel! *(czyta)* „za ubiegły temu pięć miesięcy miesiąc“. *(mówi)* Niemocna w stylizacji. *(rzuca list, bierze trzeci)* Trzeci od Adolfa... zgrał się, inaczej nie wziąłby pióra do ręki. *(czyta)* „Mój kochany! Diabli zanieśli mnie do Idy“. *(mówi)* A co, nie mówiłem *(czyta)* zgrałem się jak skrzypce... *(mówi)* Oczywiście! *(czyta)* „Jeżeli masz trzysta dukatów... *(mówi rzucając list)* Dobrze trafił! Gdybym choć trzysta centów posiadał! *(wstaje, zbiera wszystkie listy i rzuca je do kominka)* To do ognia. *(p. k. m.)* Nie wiem co to jest... czy diabeł strzelił w synów Izraela, czy jakie lichy, ale od ośmiu dni żaden z tych czcigodnych ludzi za żadne pieniądze nie chce mi dać nędznego tysiąca! Pierwsze trzy dni żyłem *(wskazując na kieszonkę od zegarka)* moim Patkiem: łańcuszek nosiłem szpilką przypięty w kieszonce... po trzech dniach łańcuszek poszedł za towarzyszem! Żyłem znowu dwa dni... to pięć! Szóstego zjadłem wszystkie guziki, guziczki, szpilki, pamiątki, jednym słowem co tylko miałem złotego, to sześć; teraz od czterdziestu ośmiu godzin noszę guziczki wprawdzie z koroną ale ze słoniowej kości i jestem osuszony ale to na czysto! Siedzę w domu, jem w domu, piję w domu, śpię w domu, to bardzo zabawne! *(p. k. m.)* Do tego nie wiem kiedy się to skończy i zdaje się że tu jakaś ciężka chmura nad moją głową zawisła... lada chwila utnie gradem... miłe widoki!

SCENA VI.

Władysław, Panna Agata.

P. Agata (*wchodząc ostrożnie po lewej, cicho*).

Władziu!

Władysław.

A, dobry dzień cioci. (*całuje ją w rękę, ona go w czoło*)
Dlaczego tak tajemniczo? Co ciocia rozkaże?

P. Agata.

Cicho... nie mów tak głośno Władzienku... Przy-
chodzę cię ostrzedz!

Władysław.

Mnie?

P. Agata.

Ciebie. (*oglądając się*) Wielka burza wisi nad tobą.

Władysław (*udając wesoło zadziwienie*).

A, ba?

P. Agata.

Tak jest.

Władysław.

Więc piorun tuj, tuj, co nie trzaśnie?

P. Agata (*śmiejąc się*).

Oj ty, ty, chłopcze, ty zawsze żartujesz.

Władysław.

Co mam robić? Bać się, ciociu... brrrr — już się
boję!

P. Agata (*śmiejąc się*).

Jaki on zabawny! (*przechodząc w mowę seryo*). Ale ja seryo mówię.

Władysław (*komicznie seryo*).

A ja seryo słucham.

P. Agata.

Wiesz co się święci?... tylko mnie nie wydaj że ci to mówiłam... Pani siostra Teresa składa na ciebie sąd familijny.

Władysław.

Nie może być!... Może mnie rozstrzelają, jak mówi ciocia Majorowa?

P. Agata.

Ożenić cię chcą!

Władysław (*udając przestרח*).

Tam do diabła!

P. Agata.

A widzisz że to nie żarty!

Władysław (*uśmiechając się*).

Radbym przecie wiedzieć jak mnie przymuszą?

P. Agata.

Czy nie znasz siostry Teresy?

Władysław.

Jakże nie mam jej znać, i cóż z tego?

P. Agata.

Wiesz że jak coś postanowi to i przeprowadzi.

Władysław.

Ze mną nie koniecznie.

P. Agata.

Udawaj jak chcesz zucha, koniec końców ulegniesz.

Władysław.

To się pokaże.

P. Agata.

Zbyt pewnym jesteś siebie, a ja ci powiadam że ulegniesz. O ile mnie się zdaje, już się coś knuje...

Władysław (*marszcząc brwi*).

Jakto? chcą mnie może swatać bez mojej wiedzy... przyznam się to byłoby trochę za ostro!

P. Agata.

O, nie... na to siostra Teresa zbyt wiele taktu posiada, ona wie że gotówbyś bryknąć.

Władysław.

Spodziewam się że bryknąłbym a nawet ponosił i to diabelnym sposobem!

P. Agata.

To też nie tego sposobu chce użyć.

Władysław (*żartobliwie*).

Może mnie chce schwytać na rogu ciemnej ulicy i związać jak barana.

P. Agata (*śmiejąc się*).

Oj ty, ty, waryacie!

Władysław.

I to by nic nie pomogło: beczalbym w niebogłosy,
póki by mnie nie uwolniono!

P. Agata.

Więc ty się stanowczo żenić nie chcesz?

Władysław.

Niech mnie Pan Bóg broni i ochrania.

P. Agata.

To źle będzie.

Władysław.

Jakiż to ma być ten sposób ciotki Teresy?

P. Agata.

Bardzo prosty. Weźmie cię tём. *(pokazuje palcami
jakby pieniądze liczyła)*

Władysław.

Ciocia chce powiedzieć: brakiem tego.

P. Agata.

Przecie nie nadmiarem!

Władysław.

No to długo czekać będzie zanim będę kapitulował.

P. Agata.

Czy masz pieniądze?

Władysław.

Ja? Co za przypuszczenie!

P. Agata.

Wiedziałam o tem, — i właśnie dla tego, chociaż zupełnie zdanie siostry Teresy podzielałam i pragnęłabym żebyś sobie wziął żonę młodą, ładną, poczciwą;—jednak nie chcąc żebyś to pod naciskiem lecz z własnej woli uczynił, — przyniosłam ci tu setkę. (*chce mu ją dać*)

Władysław (*seryo catując ją w rękę, nie biorąc setki*).

Moja poczciwa ciociu!... Nie, ja tego przyjąć nie chcę... nie mogę!

P. Agata.

A to dla czego? Ode mnie, od cioci Agaci nie chcesz wzięść prezenciku?

Władysław.

Nie, moja kochana ciociu, nie!

P. Agata.

Władzienku, proszę cię!

Władysław.

Kiedy mnie to przykrość robi.

P. Agata.

Zatém wolisz mnie przykrość zrobić?

Władysław.

Ja? Ależ ciociu...

P. Agata.

Weź mój Władzienku, weź.

Władysław.

Prawdziwie...

P. Agata.

Kiedy ja cię proszę... no, bo się pogniewam. (*wcisła mu setkę do kieszonki kamizelki*). Tak, nic nie pomoże.

Władysław (*całując ją w rękę*).

Moja poczciwa, kochana ciociu!

P. Agata (*klepiąc go po twarzy*).

Oj, ty, ty, niedobry... Ale już teraz jestem kontenta... już się nie gniewam. A teraz bądź zdrow... ostrzegłam cię, nie wydaj mnie i rób jak ci się podoba... Uciekam. (*wychodzi po lewej, Władysław ją do drzwi odprowadza*).

SCENA VII.

Władysław (*sam*).

Złote serce... uszczęśliwiona bo jest przekonana, że mi temi stu reńskimi przynajmniej tydzień zabawy przysporzyła, (*uśmiechając się*) a to jak gdyby kto szklankę wody wlał do Wisły. Ha, czasem z małych rzeczy bywają wielkie. Pięćdziesiąt reńskich zaniosę Reginie, a pięćdziesięciu spróbuję wieczorem szczęścia w diabelka! (*chce spojrzeć na zegarek, spostrzegając że go niema*) A, prawda... zapomniałem! (*spoglądając na zegar*) Jedenasta... to trochę za wcześnie żeby iść do Reginy, jeszcze śpi albo już jest na próbie... Zobaczmy co piszą w gazetach. (*siada przy stoliku po prawej*)

i bierze gazetę którą przegląda, p. k. m.) Więc ciocia Teresa chce mnie głodem ożenić!... Tego się nie boję, ale żebym powiedział że to zabawne, to nie! (*zaczyna czytać*)

SCENA VIII.

Władysław, Wacław.

(Wacław wchodzi w głębi zamyślony, nie widząc Władysława idzie powoli aż do stołu po lewej, staje przed nim patrząc bezmyślnie na rzeczy na nim leżące, wzdycha, obraca się i idzie jakby automat do szafy po lewej w głębi; dostaje z niej książkę; wraca do kanapy na której siada; książkę kładzie przed sobą na stole, otwiera ją, wzdycha i nie patrząc w nią, siada chwilę w myślach zatopiony. — Władysław który czytał, gdy Wacław wchodził, podnosi na niego oczy dopiero gdy tenże pierwszy raz przy stole westchnął; od tej chwili patrzy z uśmiechem na wszystko co tamten robi. Gdy Wacław już usiadł i chwilę został w zamyśleniu, Władysław mówi:)

Władysław.

Dobry dzień.

Wacław *(jakby ze snu przebudzony).*

A... to ty... dzień dobry.

(Chwila milczenia, Wacław spuszcza oczy na książkę lecz wnet w nią nie patrzy i znowu się zamyśla. — Władysław z coraz większym zajęciem mu się przypatruje)

Władysław.

Co czytasz?

Wacław (znowu jakby przebudzony i trochę zmieszany).

Ja?... Kosmos Humboldta.

(*Władysław wstaje i idzie ku niemu. Wacław spojrzawszy na książkę która leżała obrócona do góry nogami, żywo ją obraca mieszając się coraz bardziej*)

Władysław (chcąc wziąć książkę).

Pokaż.

Wacław (żywo ją zamykając).

Nie, nie... właśnie czytam...

Władysław (biorąc mu zgrabnie z rąk książkę, którą otwiera).

„Rozrywki dla dzieci.“ (kładzie książkę na stole) Czytaj... czytaj dalej, nie przeszkadzam. (idzie śmiejąc się ku swemu stolikowi)

Wacław (wstając bardzo zmieszany).

O... omyliłem się.... wzięłem... z innej pulki. (chce iść ku szafie)

Władysław.

Stój! Żadna książka ci tego tak nie wyjaśni jak ja!... Waciu! — ty się kochasz!

Wacław.

Ja!... ja!... gdzież znowu!...

Władysław.

Waciu! — Nie kłam. — Ty się kochasz.

Wacław.

Ale zkąd... taka myśl... ja... zaręczam...

Władysław.

Na zabój się kochasz! — Słuchaj, ty jesteś mądry, uczony... ale co się tyczy kochania, pozwól że się znam na tém! Pierwszy raz w życiu kochałem się w mojej mamce! Od tego czasu nieustannie to praktykowałem i praktykuję. Nie będę zatem z tobą dyskutował nad kwestyami historycznymi, naprzykład: Czy Pseudo Smerdis był prawdziwym Smerdisem czy fałszywym Smerdisem.

Wacław.

Oczywiście że Pseudo Smerdis był...

Władysław.

Ależ nie o to chodzi, lecz o kochanie; a tu ja, rzeczoznawca powiadam ci stanowczo że jesteś po uszy, wyżej uszów zakochany.

Wacław.

Kiedy ci ręczę....

Władysław.

Ta ta ta! Ręcz komu innemu ale nie mnie! Mów zaraz w kim się kochasz? Gdzie się kochasz? Jak się kochasz? Mów, mów prędko.

Wacław.

A... nie będziesz sobie ze mnie żartował?

Władysław (*z przyjaznym wyrzutem*).

Kiedyż to ja z ciebie w rzeczach seryo żartowałem?

Wacław (*podając mu rękę*).

Prawda, przepraszam cię. Ty byłeś w szkołach i wszędzie moim opiekunem; ja zawsze cichy i w naukach zatopiony...

Władysław.

To znane i stare rzeczy nie o tém mowa; jeszcze raz: w kim, jak i gdzie się kochasz?

Wacław.

Chcesz koniecznie, więc ci powiem...

Władysław.

Czekaj, do takiego opowiadania trzeba zasiąść sobie spokojnie, wygodnie, zapalić cygaro i rzecz brać z rozważą. (*zapala cygaro, oba siadają*) Tak, teraz słucham.

Wacław.

Gdy przeszłego lata jeździłem do Ems...

Władysław.

Zatém w Niemczech rzecz się dzieje! w Ems u wód, patrzcie! w domu nie spojrzysz na kobietę a u wód...

Wacław.

Widzisz, już zaczynasz!

Władysław.

O, przepraszam, już nie pisnę ani słówka, mów dalej bez obawy.

Wacław.

Była tam pani Rozamunda Zamurło.

Władysław.

Co? Ty się w tym przedpotopowym egzemplarzu kochasz?

Wacław (*zniecierpliwiony*).

Gdzieżtam! — Nie przerywaj, albo nie powiem!
(*Władysław kładzie rękę na ustach i daje znak, żeby dalej mówił*) Była tam więc pani Rozamunda ze swoją siostrzenicą, panną Jadwigą, córką pułkownika Poryckiego.

Władysław.

Aha!... Aha!... Aha!...

Wacław.

Widywałem codziennie te panie u źródła, jadaliliśmy przy jednym stole w hotelu, robiliśmy wycieczki w okolice, przepędzałem u nich wieczory... dosyć, że nie wiem jak się to stało, ale....

Władysław.

Zakochałem się w pannie Jadwidze.

Wacław.

Niestety!

Władysław.

Jakto niestety? — Czy poszła za mąż? Tém lepiej!

Wacław.

Władysławie! — Nie, nie poszła za mąż, lecz wielkie przeszkody nas dzielą: ona jest jedynaczką, ogromnie majątną, a ja....

Władysław.

Cóż to szkodzi jeżeli ty ją kochasz a ona ciebie...

Wacław.

Najprzód tego wiedzieć nie mogę.

Władysław.

Jakto? przepędziłeś z panną parę tygodni i nie wiesz czy cię kocha?

Wacław.

Jakże miałem to zgadnąć?

Władysław.

Więc jej nie powiedziałeś że ją kochasz?

Wacław.

Wszakże ci dopiero mówiłem jak wielka różnica majątkowa stoi mi na zawadzie, nie przypuszczałem nawet....

Władysław.

Tém bardziej trzeba było powiedzieć!

Wacław.

Zresztą gdybym i mógł był mieć nadzieję, nie miałem tam nikogo z familii do zrobienia przedwstępnych kroków.

Władysław.

Tém bardziej trzeba było... no, ale kiedy już nie powiedziałeś to ją przynajmniej za rękę ścisnąłeś.

Wacław (*ostłupiały*).

Ja?

Władysław.

Chciałeś może żeby kto inny ścisnął za ciebie?

Wacław.

Ale cóż ty pleciesz?... Panna... uszanowanie...

Władysław.

To ty się chcesz uszanowaniem podobać? Bądź zdrow!

Wacław.

Rozmawialiśmy z sobą godzinami na spacerach, wieczorami przy księżycu.

Władysław.

Przy księżycu! Doskonale!

Wacław.

Ach mój kochany! jakie to były wieczory! Wystaw sobie noce letnie, tę ciszę, ten spokój w całej naturze, — woń kwiatów i krzewów rozchodzącą się w powietrzu, — nad nami niebo bez chmurki, księżyc świecący srebrzystym światłem, otoczony milionami gwiazd....

Władysław.

Brawo, wybornie! I ty wtedy...

Wacław.

Wykładałem jej cały sytem planetarny.

Władysław (z osłupieniem).

O!

Wacław.

Gdybyś wiedział z jakim zajęciem mnie słuchała, z jaką inteligencją zdawała się naprzód odgadywać co jej miałem powiedzieć; jej oczy...

Władysław.

W twoich zatopione...

Wacław.

Nie, zwrócone ku niebu śledziły gwiazdy...

Władysław.

To mi wszystko jedno co one tam śledziły, ale gdy z tobą mówiła — ładnie na ciebie patrzała?

Wacław.

Tego nie wiem, bo gdy na mnie spojrzała, mimowolnie oczy spuszczałem.

Władysław (*zrywając się*).

Niechże cię wszyscy raptem...

Wacław.

Cóż... cóż złego zrobiłem?

Władysław.

On się jeszcze pyta!

Wacław.

Miałem się jej w oczy patrzeć upoczywie, zuchwale, bezwstydnie?

Władysław.

Słuchaj Waciu! Gdyby obie familie razem was sprowadziły i powiedziały wam: „Prosimy was, bądźcie łaskawi pobierzcie się!“ mógłbym takie postępowanie jeżeli nie zrozumieć, to przynajmniej wytłómaczyć.. chociaż zawsze nie tęgie... Ale tam gdzie jak sam powiadasz są przeszkody, powiedz mi co chciałeś osiągnąć spuszczając oczy?

Wacław.

Co? co? alboż ja wiem! to było mimowolne!

Władystaw.

Co tam mimowolne! Trzeba było z kopyta wziąć się ostro do panny, pannę wyegzaltować, rozromansować, rozkochać tak, żeby za tobą szalała...

Wacław (*mitygując go*).

Władziu, Władziu...

Władystaw.

Tak jest, żeby za tobą szalała! Żebyście sobie, właśnie przy tym księżycu, przy tych gwiazdach, których użyć nie umiałeś, wieczną miłość poprzysięgli! Mniej zrobić nie można było!

Wacław.

Ach, ja tego wszystkiego nie zrobiłem!... Ale wilią jej wyjazdu...

Władystaw.

Przecie!

Wacław.

Ofiarowałem jej, umyślnie przezemnie dla niej uzbieraną, kollekcijkę najrozmaitszych tamtejszych chrząszczów.

Władystaw.

Chrząszczów niemieckich!

Wacław.

Najprzód wiedz że chrząszcze nie mają narodowości, dalej że jakkolwiek ci się to dziwnem wydaje, jednak to wcale dobre wrażenie na niej zrobiło, gdyż przyjęła

mój prezencik z wdzięcznością, nawet czule i obiecała że go w swoim pokoju umieści i zawsze jako pamiątkę zachowa.

Władysław.

Osobliwsza panna! — Ale powiedz mi jak się to stało, że tego zakochania dotąd po tobie znać nie było?

Wacław.

Te panie wyjechały przedemną z Ems. Wróciłem do domu parę tygodni później, miałem więc czas o tyle się uspokoić, że mogłem przed wami ukryć co się we mnie działo.

Władysław.

Cóż u licha cię dzisiaj rozmarzyło? Czy zobaczyłeś pannę?

Wacław.

Nie, lecz panią Rozamundę.

Władysław.

Więc pani Rozamunda jest tutaj z panną Jadwigą.

Wacław.

Nie, sama. Była tu wczoraj wieczorem, lecz tylko chwilkę z nią się widziałem, gdyż byłem zanadto wzruszonym.

Władysław.

Rozumiem, przypomniała ci system planetarny!

Wacław.

Ach, tak jest, i, mam ci się przyznać, od tej chwili chodzę jak ogłupiały.

Władysław.

Znać to, znać.

SCENA IX.

Ciż, Józef (*wchodzi po lewej*).

Józef.

Wielmożna pani się dowiaduje czy pan Władysław jest w domu, gdyż zaraz tu przyjdzie z panią Majorową i panną Agatą. Wielmożna pani powiada że ma z panem do pomówienia, prosi także pana Wacława, żeby się nie oddalał.

Władysław (*na stronie*).

To grad zapowiedziany. (*głośno*) Powiedz ciotce że czekam na jej rozkazy.

Józef.

Idę zaraz. (*n. s. odchodząc do drzwi po lewej*) Oj źle będzie z nami, źle!

Wacław.

Cóż znaczy to solennie zapowiedziane przybycie?

Władysław.

Mnie się zdaje że się domyślłam. (*na stronie*) Wszak to na mnie się skrupi.

Wacław.

Ja bynajmniej nie zgaduję, chociaż teraz sobie przypominam, że zanim tu wszedłem, zastałem w saloniku

ciotkę Teresę mówiącą z moją matką i ciotką Agatą tak, jak gdyby im jakiś plan przekładała. Skoro mnie spostrzegła, umilkła.

Władysław.

Ha! Wnet się dowiemy. Czekaj tu chwilkę, ja tylko ten szlafrok zdejmę, zaraz wrócę; później pomówimy jeszcze o twoich sprawach sercowych, gdyż od tej chwili ja cię będę prowadził, będę twoim Mentorem. *(wychodzi po prawej).*

SCENA X.

Wacław *(sam p. k. m.).*

Władysław dobrze mówi, on się zna na tём, inaczej trzeba było sobie postąpić; lecz czyż ja umiem, czyż ja mogę się podobać! *(p. k. m.)* Nie, trzeba się wyrzec tych marzeń, stłumić w sobie to uczucie. Wszakże ojciec nie wyda jej za mnie, a ona takiego, jakim ja jestem, kochać nie może! *(p. k. m.)* A jednak ja ją tak kocham!

SCENA XI.

Wacław, pani Odolińska, pani Majorowa, panna Agata.

P. Odolińska *(wchodząc pierwsza po lewej).*

Cóż to? Niema Władysława?

Wacław.

Poszedł wzięść surdut.

P. Odolińska.

Mógł to wcześniej uczynić. *(siada na środku kanapy)*

P. Majorowa.

Nie stanął do apelu! To mi piękny porządek! Gdyby tak u mnie w pułku oficer...

P. Agata.

Wszakże on już nie jest oficerem.

P. Majorowa.

Wszystko jedno, człowiek który raz służył, powinien zawsze i wszędzie znać służbę.

P. Odolińska.

Nie nazwę tego służbą, jednak mnie dziwi...

Wacław.

Mnie się zdaje...

P. Majorowa.

Nie masz w tem głosu. Jesteś cywilistą, nie byłeś nigdy w wojsku. Zresztą rezonowania nie lubię. Subordynacya i basta!

P. Agata.

Dajże mu powiedzieć...

P. Majorowa.

Co on tam wie o subordynacyi! On jest uczony, mędrzec! On, — mój syn! — Ale to nie moja wina! Jego ojciec ś. p. Major Inżynierzyi wiecznie w książkach sie-

dział. Mówiłam, prosiłam nawet do milion.... żeby chłopca nie karmił książkami! Nie, nie nie pomogło i patrzcie jakiego mi zrobił z niego cywilistę!

Wacław.

Przecie teraz i od oficerów nauk wymagają.

P. Majorowa.

Głupstwo! Nowa szkoła! Sensu niema! U mnie oficer, to oficer a nie filozof! Niech tego na koniu siedzi, rąbie się jak kroćset... niech będzie śmiały, przytomny, wesoły, niech się nie boi ani kieliszka, ani dziewczyny, ani samego diabła rogatego! To mi oficer! A jeżeli takim nie jest, rozstrzelać i basta!

SCENA XII.

Ciż, Władysław (*wchodząc w surducie po prawej*).

Kogoż ciocia dzisiaj chce rozstrzelać? (*chce ją w rękę pocałować, ona się tyłem do niego odwraca i idzie po za kanapę do kominka, na stronie*) Oho! Podobno mnie! (*idzie do p. Odolińskiej którą w rękę całuje*) Dobry dzień ciotce... ciotka dobrze spała tej nocy?

P. Odolińska.

Nie po to tu przyszliśmy by o tём rozmawiać. Usiądźcie wszyscy, gdyż mamy z tobą do pomówienia.

P. Majorowa.

Ja wolę stać przy kominku. — Zimą i latem lubię ogień, to mi obóz przypomina. — (*Siadają w następującym*

porządku. *P. Odolińska już siedziała na środku kanapy, p. Agata obok niej na krześle, które jej Władysław przy-suwa, Wacław na fotelu od okna, po prawej. P. Majorowa stoi przy kominku, Władysław w środku sceny)*

Władysław.

Jeżeli ciotka pozwoli, także stać będę.

P. Odolińska.

Usiądź proszę, gdyż to co ci mam powiedzieć, może dłużej potrwa.

P. Majorowa.

Ja wypaliłabym od razu.

(Władysław skłania się w milczeniu i siada w fotelu po prawej, od środka sceny)

P. Odolińska *(do Władysława)*.

Wiesz że twój ojciec, mój ś. p. brat Jenerał nie zostawił ci prawie żadnego majątku, a raczej że go przetrwonił.

Władysław.

Proszę ciotki....

P. Odolińska.

Daj mi mówić, — nie będę, bądź przekonany, wyrzutów robiła pamięci twojego ojca. — Przytaczam tylko fakt. Otóż po jego śmierci ja wzięłam w ręce administracją jego dóbr.... co się dało wyratować, wyratowałam....

Władysław.

Wiem, kochana ciciu i moja wdzięczność...

P. Odolińska.

Nie przerywaj proszę, gdyż nie dla tego mówię, lecz żeby ci przypomnieć że pomimo wszelkich zabiegów, z majątku twego ojca zostało ci bardzo mało, zaledwie dwa do trzech tysięcy rocznego dochodu. To ci się wszakże czuć nie dało, ponieważ uważając cię jako mego jedyne go spadkobiercę, wyznaczyłam ci pensyi dziesięć tysięcy reńskich rocznie.

P. Majorowa.

Co to dla niego! Jednej nocy więcej przegra!

P. Odolińska.

To ci jednak nie wystarczało, gdyż porobiłeś znaczne długi, przewyższające już dzisiaj twój majątek.

P. Majorowa.

Tylko strzępki z niego zostały.

P. Odolińska.

Już by z niego nie było ani śladu, gdybym nie była dotąd zatrzymała administracyi w moim ręku, pomimo że oddawna jesteś pełnoletnim, raz dla tego że byłeś w wojsku, powtóre że wzięwszy dymissyą...

P. Majorowa.

Jak można brać dymissyą!

Władysław.

Ależ ciociu, pokój panował na całej kuli ziemskiej, nudziłem się.

P. Odolińska.

Mniejsza o to, dosyć że wystąpiwszy z wojska nie okazywałeś najmniejszego gustu do gospodarstwa.

Władysław (*na stronie*).

Prawda.

P. Majorowa.

Już to co do tego, siostruniu, ja się z nim zgadzam. Wolalabym od rana do nocy rekrutów musztrować, niż być lreczkosiejem.

P. Odolińska (*do Majorowej*).

Nie będę się względem tego sprzeczała. (*do Władysława*) Dostyć że dzisiaj już czas, żebyś się zastanowił nad swoim położeniem i przyszłością. Ponieważ jednak dotąd tego u ciebie nie spostrzegłam, uważałam za mój obowiązek za ciebie to uczynić.

P. Majorowa.

Jednym słowem trzeba żebyś się ożenił i basta!

Władysław (*wstając*).

Za pozwoleniem...

P. Odolińska.

Proszę cię usiądź i wysłuchaj mnie do końca. (*Władysław siada*) Myślałam właśnie o wyszukaniu ci stosownej partyi, gdy przyjechała tu pani Rozamunda Zamurło....

Wacław (*zrywając się*).

A!

(*Władysław i p. Agata wstają*)

P. Odolińska.

Co to jest?

Wacław (*zmieszany*).

Ja nic....

P. Majorowa.

Jakto nic, wrzasnąłeś jak panienka.

P. Agata.

Tak pobladłeś!

Władysław.

To nic, musiało mu się niedobrze zrobić, właśnie przed chwilą skarżył się na mocny ból głowy.

Wacław.

A tak, tak, ból głowy, trochę mi się w oczach zaćmiło.

P. Majorowa (*wzruszając ramionami, do siebie*).

I to mi mężczyzna! Kubek w kubek jego ojciec! Rozstrzelać i basta!

P. Odolińska (*do Wacława*).

Czy zawrót już minął?

Wacław.

Już, już, zupełnie. (*Władysław, p. Agata i Wacław siadają*)

P. Odolińska.

Mozemy zatém dalej mówić. — Pani Rozamunda, jak wiesz, jest siostrą pułkownika Poryckiego a z nami zkolligacona. Była tu wczoraj u mnie i dała mi delikatnie do zrozumienia, że pułkownik pamiętny na węzły przyjaźni, które go z twoim ojcem łączyły, chętnie wydałby za ciebie swoją córkę jedynaczkę, (*z naciskiem*) pannę mającą półtora miliona posagu.

P. Majorowa.

Słyszysz, córkę pułkownika, jednego z najlepszych jeźdźców w armii!

P. Odolińska.

Widocznie mówiła ona z polecenia swego brata, gdyż przywiozła ci od niego zaproszenie na Wołyń, pod pozorem że byłoby mu miło poznać i widzieć w swoim domu syna najlepszego przyjaciela.

Władysław.

Dziękuję za zaproszenie, ale nie pojedę.

P. Odolińska.

Stanowczo?

Władysław.

Najzupełniej.

P. Majorowa.

Słuchaj do kroćset....

P. Odolińska *(do Majorowej).*

Proszę cię.... *(do Władysława)* W takim więc razie widzę się zmuszoną postawić ci następującą alternatywę. Albo namyśliwszy się usłuchasz życzliwej rady i pojedziesz na Wołyń starać się o rękę córki pułkownika, — w tym wypadku zapłacę twoje długi, wyekwiupuję cię i dam pieniędzy na drogę, żeby ci tam na niczém nie zbywało. Albo jeżeli odmówisz, oddam ci twoją wioskę, którą w oka mgnieniu twoi dłużnicy rozszarpią i nie, zgoła nie ci nie zostanie. Wtedy będziesz miał ode mnie tysiąc reńskich rocznej pensyi i mały legacik po mojej śmierci. Na więcej nie licz.

P. Agata.

Ależ siostraniu....

P. Majorowa.

Ja nie dałabym i tego. Niech sam pracuje, a nie zechce, to rozstrzelać i basta!

Władysław (*do p. Odolińskiej*).

Od woli ciotki zależy usunąć mi swoje dobrodziejstwa, których i tak więcej doznałem niżeli na nie zasłużyłem. Czuję to głęboko, niechaj ciotka będzie o tem przekonana, lecz co się tyczy starania się o córkę pułkownika....

P. Odolińska (*wstając*).

Nie żądam nagłej odpowiedzi, daję ci czas do namysłu.

(*wszyscy wstają*)

P. Majorowa.

Za pięć minut tak, albo nie — i kwita.

P. Agata.

Ależ pięć minut, to niepodobna...

P. Odolińska.

Agata ma rację, możesz się dłużej namyśleć; żądam tylko żebyś mi dał odpowiedź przed odjazdem pani Rozamundy, która ztąd wraca na Wołyń.

Władysław (*żywo, jak gdyby mu jaka myśl przez głowę przeszła*)

Pani Rozamunda wraca na Wołyń?

<http://rcin.org.pl>

P. Odolińska.

Tak jest, po jutrze jedzie wprost do pułkownika.—
Zdaje mi się że ona dla tego tutaj pewne kroki wzglę-
dem nas uczyniła, że tam stara się o pannę Jadwigę
pan Piotr Bałagulski.

(Wacław okazuje mocne wzruszenie, ale się powstrzymuje)

Władysław *(do siebie).*

A, pan Bałagulski się stara....

P. Odolińska.

Widzisz że ci dają pierwszeństwo, korzystaj z tego.
*(Władysław się zamyśla, lecz okazuje grą mimiczną, że
jakiś plan w myśli układa)* Zostawiamy was tutaj. *(do
Wacława)* A ty staraj się wpłynąć na niego, żeby się
seryo zastanowił i poszedł drogą którą rozsądek wska-
zuje. *(Wacław skłania się w milczeniu, p. Odolińska wy-
chodzi po lewej)*

P. Majorowa *(patrząc na Wacława).*

Żeby słówko pisał! Niuńka! Rozstrzelać i basta!
(wychodzi za p. Odolińską)

P. Agata *(do Władysława).*

Mój Władzieńku, zrób jak ci siostra Teresa radzi,
jeżeli ci to przykrości nie robi... Namysł się, moje
dziecko, namysł. *(wychodzi za tamtymi)*

SCENA XIII.

Władysław, Wacław.**Wacław.**

A co Władysławie, czy nie dobrze mówiłem, że niema dla mnie nadziei!

Władysław (*chodząc po scenie zamyślony*).

Cyt, cicho, sza!

Wacław.

Nie odpowiadasz?

Władysław.

Szyyyt!

Wacław.

Miałebyś się namyślać?

Władysław (*stając przed nim*).

Już się namyśliłem. Jadę.

Wacław (*w osłupieniu*).

Jedziesz?

Władysław.

Jadę i ty ze mną.

Wacław.

Przenigdy!

Władysław.

Ani słowa; ty jedziesz ze mną, razem jedziemy na Wołyn, ale ty jako ja, a ja jako ty.

Wacław.

Nie rozumiem.

Władysław.

Przecie to jasne, ty jako... albo czekaj, lepiej ci to wyjaśnię. Jedziemy razem i tam przyjeżdżamy: ty jako Władysław Morzanowski, ja jako Wacław Rówczyński, — Wacław, Władysław — łatwa pomyłka.

Wacław.

Oszalałeś ?

Władysław (*nie zważając*).

Pułkownik nas obu nie zna; ty przejmujesz mój charakter: jesteś miły, lekki, dowcipny, smalisz cholewki do panny.

Wacław (*do siebie*).

On gorączki dostał!

Władysław.

Ja udaję spokojnego, sensata, rozsądnego, uczonego, jedném słowem staję się tobą.

Wacław.

Złą chwilę obrałeś do żartów.

Władysław.

Bynajmniej nie żartuję.

Wacław.

Więc zmysły postradałeś.

Władysław.

Ja zmysły postradałem! — Boże! słyszysz go i jeszcze

nie zagrzmiało! Ratuję go, prowadzę, żenię, a on powiada, że zmysły postradałem! I to mędrzec takie głupstwo powiada!

Wacław (*chcąc odejść*).

Wiesz co Władziu, w takiej chwili nie spodziewałem się tego po tobie.

Władysław (*zatrzymując go*).

Ależ człowiecze, zastanów się, to plan przepyszny.

Wacław.

Puść mnie, proszę.

Władysław.

Słuchajże do licha, kiedy rozsądnie mówię. Oto jest nasze położenie. Ty kochasz się w pannie Jadwidze bez nadziei, ja nie mam gronia przy duszy; grożą mi małżeństwem lub posadą świętego tureckiego.

Wacław.

Cóż z tego?

Władysław.

Jeśli odmówię jechać w konkury, obejmę natychmiast ową posadę, o którą nie dbam wcale; (*uderzając się po kieszonce*) mam już dosyć tego urzędowania. Ty zaś będziesz desperował, uschniesz z miłości, umrzesz, dajmy na to, ale się z panną nie ożenisz.

Wacław.

Ach, tak!

Władysław.

Uważaj do tego, że tam już jest konkurent. Jeżeli

nie pojedziemy i panny gracko nie chwycimy, on się z nią ożeni.

Wacław.

Okropna myśl!

Władysław.

A zatem trzeba jechać!

Wacław.

Pojmowałbym to zresztą, ale dla czego ta przemiana naszych osobistości?

Władysław.

Mówże tu do zakochanego, — on nie a nie nie rozumie. Przecie to jasne jak dzień! Powiedz: za kogo pułkownik chce wydać córkę, — za mnie czy za ciebie?

Wacław.

Niestety, za ciebie.

Władysław.

Za mnie, dla czego? Bo ja jestem synem jego najlepszego przyjaciela, bo sobie to zapewne z moim ojcem za kawalerskich czasów, bez mojej i panny Jadwigi wiedzy, w biwaku ułożyli.

Wacław.

Tak jest zapewne.

Władysław.

Dalej, tylko słuchaj jak rezonuję. Czy nie słyszałeś nigdy o pułkowniku? On usposobieniem, charakterem,

gustami jest kubek w kubek do mego ojca podobny, a że ja pod tym względem także jak dwie krople wody mam być do mego ojca podobnym, z tego wynika że jestem również podobnym do pułkownika.

Wacław.

Nie przeczę, lecz....

Władysław.

Pułkownikowi widocznie się to podobało. Moja ustalona reputacya zapewne doszła jego słuchu, przymioty mojej duszy trafiły do jego serca i powiedział sobie: „Oto jest ten, którego chcę mieć za zięcia!“ To oczywiste!

Wacław.

Być może, ale bądź co bądź twoja myśl jest szaleństwem.

Władysław.

Ale jakże chcesz wyjść z takiego położenia, taki cel osiągnąć, jeżeli nie szaleństwem? Twojemi chrząszczami do ślubu pewnie nie pojedziesz!

Wacław.

Nie, nie, to niepodobna!

Władysław.

Dobrze więc. Siedz tu, siedz i ja będę siedział i oba będziemy siedzieli, ale na lodzie!

Wacław.

Jakże można przypuszczać żeby się to udało; wszakże

zaraz na wstępie sama panna Jadwiga, pani Rozamunda poznają nas i powiedzą pułkownikowi....

Władysław.

Otóż tu właśnie podziwiał całą genialność mojego planu, planu zbudowanego w jednej chwili na pięciu słowach: „pani Rozamunda jedź na Wołyń!“ Znasz ją tak dobrze jak i ja, wiesz co to za romantyczna, między nami mówiąc, przewrócona głowa. Taką ciocię nie codziennie przyjazne bogi kochankom zsyłają! Przyjedź tu wkrótce. Ja się z nią rozmówię, jej fantazję rozpale, przedłożę cały plan, wciągnę ją do naszego spisku, ona pojedzie na Wołyń jako nasza awangarda, uprzedzi pannę Jadwigę, namówi ją żeby milczała, na co ta przystanie, jeżeli ci jest przychylną. W przeciwnym razie poproszę panią Rozamundę, żeby mnie liścikiem przez kozaka na ostatniej stacyi uprzedziła, że nasz plan diabli wzięli, wtedy przyjedziemy ty jako ty, ja jako ja; zobaczymy czy się innym sposobem rzecz nie da zrobić, a nie, to w najgorszym razie zwiniemy chorągiewkę i tu wrócimy. Oto jest cały plan: jeszcze raz powiadam: „kto nie waży, nic nie osiągnie“ — teraz rób jak chcesz. *(Władysław kontent z siebie chodzi po pokoju, zacierając ręce).*

Wacław.

Ha! Wiesz co Władziu... tyś w takich rzeczach mądrzejszy odemnie... gdyby pani Rozamunda na to przystała, przecie to ciotka...

Władysław.

Przystajesz? Doskonale! *(dzwoni).*

Wacław.

Co robisz?

Władysław.

Obaczysz.

SCENA XIV.

Ciż, Józef (*wchodzi w głębi*).

Władysław (*do wchodzącego Józefa*).

Józefie, gdy pani Rozamunda Zamurło tu przyjdzie, wprowadzisz ją, niby przypadkiem, tu do tej biblioteki.

Józef.

Właśnie jej pojazd zajechał przed pałac.

Władysław.

Idź więc co najprędzej, — pamiętaj, tutaj, nie do salonu... a ciotkom nic nie mów, że już przyjechała. Rozumiesz?

Józef.

Rozumiem, to jest... właściwie nie rozumiem...

Władysław.

Dla czego?

Józef (*do Władysława tajemniczo i poufnie*).

Ależ ona stara i malowana.

Władysław (*śmiejąc się*).

A, tak... no, no, o mnie bądź spokojny.

Józef.

Dobrze panie. (*wychodzi w głębi*)

Władysław (*do Wacława*).

A ty idź do mego pokoju i czekaj tam póki cię nie zawołam.

Wacław.

Mnie się przecie zdaje że... to szaleństwo.

Władysław.

O mój kochany, raz przystałeś, teraz się wahać już za późno. Zaczynam działać. (*wypychając go ku drzwiom po prawej*) Bądź zdrow i nie wiele rozmyślaj, bo to się na nic nie przyda, mądrzejszego nic nie wymyślisz. (*Wacław wychodzi do pokoju po prawej, Władysław za nim drzwi zamyka i wraca na przód sceny*) Ileż to biedy z temi mądrymi ludźmi, nim się ich do czego rozumnego nakłoni.

SCENA XV.

Władysław, pani Rozamunda, Józef.

Józef (*otwierając drzwi w głębi*).

Tędy proszę wielmożnej pani.

Władysław (*idąc naprzeciw pani Rozamundy z ukłonem*).

Pani... (*Józef wychodzi w głębi*).

P. Rozamunda.

A, pan Władysław, jakże się cieszę że pana widzę.
Comment vous portez vous cher Monsieur Ladislas.

Władysław (*tajemniczo*).

Wybacz łaskawa pani, że ją tu kazałem wprowadzić.

P. Rozamunda (*zdziwiona*).

Jakto?... Pan... mnie... tu...

Władysław.

Tak jest, pani.

P. Rozamunda.

Nie... pojmuję...

Władysław (*jak wyżej*).

Moje ciotki nie wiedzą, że pani tu jesteś.

P. Rozamunda.

Cóż to ma znaczyć? (*z uśmiechem*) A, rozumiem!

Władysław (*bardzo seryo*).

Nie, pani, — pani nic nie rozumiesz.

P. Rozamunda.

Nic... nie... rozum...

Władysław (*tajemniczo*).

Nie, pani, bo tu chodzi o ważną tajemnicę.

P. Rozamunda.

O tajemnicę!

Władysław.

Od której szczęście dwojga ludzi zawisło.

P. Rozamunda.

Dwojga ludzi?

Władysław.

Którą pani odkryję, jeżeli mi pani przyrzekniesz że jej nie wydasz.

P. Rozamunda *(żywo, z ciekawością).*

Przyrzekam!

Władysław.

Że na wszelkie pytania moje ze szczerością odpowiesz.

P. Rozamunda.

Przyrzekam! Cóż takiego?

Władysław.

Pani byłaś zeszłego lata w Ems?

P. Rozamunda.

Byłam.

Władysław.

Z panną Jadwigą Porycką.

P. Rozamunda.

Tak jest, cóż dalej?

Władysław.

Tam był także mój brat cioteczny Wacław Rówczyński.

P. Rozamunda.

Rozumiem... Pan się obawiasz...

Władysław (*spokojnie*).

Niczego się nie obawiam.

P. Rozamunda.

Jakto?

Władysław.

Wnet pani zrozumiesz. Czy uważałaś pani, że on się kochał w pannie Jadwidze namiętnie, dziko, szalenie!

P. Rozamunda (*na stronie*).

Chce mnie wybadać. (*głośno*) Nie, tego nie spostrzegłam.

Władysław.

Jakto, pani tak pojętna, tak bystra do wszystkiego co jest uczuciem, mogłaś tego nie dostrzedz?

P. Rozamunda.

Zapewne że dostrzegłam, ale żeby to było namiętne, dzikie...

Władysław (*żywo*).

A panna Jadwiga?

P. Rozamunda (*na stronie*).

Aha! (*głośno*) Jakże pan możesz przypuszczać....

Władysław (*na stronie*).

Dyplomatyzuje. (*głośno*) Zaklinam panią mów mi pani prawdę, wszak obiecałaś być szczerą.

P. Rozamunda.

Zaręczam panu że możesz być zupełnie spokojnym.

Władysław (*bardzo spokojnie*).

Ja jestem spokojnym o siebie, (*żywo*) ale o niego...

P. Rozamunda.

Hę?

Władysław.

O niego, pani, o niego! O mego brata, przyjaciela!

P. Rozamunda.

Więc to o pana Wacława chodzi?

Władysław (*spokojnie*).

Przecie nie o mnie. Wszakże ja nie znam panny Jadwigi. (*żywo*) Ale on, — mój biedny Wacław szaleje, waryuje, chudnie, blednie, nie je, nie pije. (*na stronie*) On nigdy nie pije! (*głośno*) Pani, on umrze, on sobie w łeb strzeli!

P. Rozamunda.

O mój Boże!

Władysław.

Pani jedna wyratować go możesz.

P. Rozamunda.

Ja?

Władysław.

Tak jest, pani; tylko powiedz mi najprzód jakie były uczucia panny Jadwigi względem niego?

P. Rozamunda.

Nie wiem czy jako ciotka mogę...

Władysław (*natarczywie*).

Pani! Tu nie ma ciotki, tu chodzi o życie lub śmierć!
Mów pani: kocha go, czy nie kocha?

P. Rozamunda.

Kocha.

Władysław (*z westchnieniem zadowolenia*).

A! odżyłem!

P. Rozamunda (*na stronie*).

Szczególny człowiek!

Władysław (*dramatycznie*).

Teraz na panią kolej, — ratuj pani, ratuj mego brata!

P. Rozamunda.

Mam go ratować? Ale jak? Wszakże pan wiesz...

Władysław.

Wiem że pani z inném poleceniem tu przyjechałaś,
ale właśnie dlatego do pani się udaję, bo teraz pani
los tych dwojga ludzi trzymasz w swoim ręku.

P. Rozamunda.

Ja, panie, nic nie trzymam... mój brat...

Władysław (*coraz dramatyczniej*).

Mylisz się pani, — pani trzymasz tę słabą nitkę,
na której dwoje kochanków wisi nad przepaścią!

P. Rozamunda.

Nad przepaścią!

Władysław.

Czarną, głęboką, bezdenną!

P. Rozamunda.

Ach, to okropne, ale wytłómacz mi pan...

Władysław.

Zaraz, pani! (*na stronie*) Niech odetchnę! (*głośno*)
Opowiem rzecz w krótkości. Mówię bez ogródek. Pułkownik zaprosił mnie do siebie w celu wydania za mnie swojej córki. Jeżeli nie pojedę, ożeni się z nią pan Bałagulski i wtedy mój nieszczęsny brat i panna Jadwiga zginęli.

P. Rozamunda.

Prawda!

Władysław.

Jeżeli zaś pojedę i sam się ożenię, wtedy także zginęli!

P. Rozamunda.

Prawda, prawda; gdyby za pana poszła, to byłoby straszne!

Władysław (*na stronie*).

Dziękuję! (*głośno*) Pojmujesz więc pani że jedyny sposób ich ocalić jest, żeby panna Jadwiga poszła za mego brata.

P. Rozamunda.

Tak jest, tak.

Władysław.

Ale pułkownik nie jest człowiekiem, któryby dał sobie szyki popsuć bezkarnie.

P. Rozamunda.

O, nie!

Władysław.

Trzeba więc użyć podstępów i oto cały plan ułożony przez mego brata. Znajdziesz go pani może trochę dziwacznym... szalonym, lecz miej pani na uwadze, że go robił człowiek dziko zakochany.

P. Rozamunda (*do siebie*).

Dziko zakochany, jak to pięknie brzmi!

Władysław.

Zresztą pamiętaj pani, że bogowie zawsze trzymają z zakochanymi.

P. Rozamunda.

Ach, tak, bogowie trzymają...

Władysław.

Z zakochanymi. Przyjedziemy więc na Wołyń z moim bratem, ale zamieniamy się na role; on weźmie moją konkurentkę i moje nazwisko, ja zaś jego. On będzie się starał podobać pułkownikowi, ja nie bardzo; a gdy się to raz uda, reszta pójdzie jak z płatka.

P. Rozamunda.

Wyśmienicie, — plan wyborny i oryginalny, lecz pan mówił że ode mnie wszystko zawisło; jakąż ja mam w tym rolę odegrać?

Władysław.

Główną; przysposobić pannę Jadwigę żeby się temu nie sprzeciwiała i pomogła nam milczeniem.

P. Rozamunda.

Będzie to trudne, lecz biorę to na siebie.

Władysław.

Również będę panią prosił o tajemnicę względem moich ciotek. Pojmujesz pani że moja ciotka Teresa lub pani majorowa....

P. Rozamunda.

Naturalnie; przecie ja się na prowadzeniu miłośnej intrygi trochę rozumiem.

Władysław.

Nie wątpię o tém.

P. Rozamunda.

A zatém....

Władysław.

Sojusz zawarty.

P. Rozamunda (*podając mu rękę*).

Możesz pan na mnie liczyć.

Władysław.

Pozwól więc pani, żeby bohater sam u stóp twoich podziękę złożył. (*idzie do drzwi po prawej, które otwiera*)

P. Rozamunda (*do siebie*).

Bohater! Nie wiem czy jestem we śnie, czy w dawny świat moich marzeń przeniesiona.

SCENA XVI.

Ciż, Wacław (*wchodzi po prawej*).

Władysław.

Chodź tu bohaterze i sam podziękuj pani, która obiecuje popierać twoje zamiary.

Wacław.

W istocie, łaskawa pani, nie wiem...

Władysław (*cicho do Wacława*).

Nie cofaj się do kroćset....

P. Rozamunda.

Ach, jak to pięknie, panie Wacławie, tak dzi... tak namiętnie się kochać jak pan!

Wacław (*spokojnie, z uszanowaniem*).

Więc pani mi pozwalasz kochać pannę Jadwigę?

P. Rozamunda.

Czy pozwalam! ależ ja się unoszę nad pańską miłością gorącą, szaloną! (*do siebie*) dziką!

Wacław (*jak wyżej*).

W samej rzeczy ja szczerze kocham pannę Jadwigę.

Władysław (*cicho do Wacława*).

Goręcej, goręcej!

P. Rozamunda (*do Wacława*).

Pański plan mnie zachwycił.

Wacław.

Za pozwoleniem, pani powiadasz mój plan...

Władysław.

Tak jest, twój romantyczny, szalony plan, cechujący stan gorączkowy, w którym się z miłości znajdujesz, plan waryata! (*znacząco*) A jednak dobry!

P. Rozamunda.

Ach, jakże pięknem jest takie uczucie! W istocie nie spodziewałam się w naszym prozaicznym stuleciu spotkać miłość, któraby taki pomysł wydać mogła.

Władysław (*cicho do Wacława*).

Słyszysz!

Wacław.

Łaskawa pani....

P. Rozamunda.

Mogę ci też śmiało powiedzieć, panie Wacławie, że mam wszelką nadzieję, iż twoja miłość pomyslnym skutkiem uwieńczoną zostanie.

Wacław.

Ja tylko chciałem....

Władysław (*cicho do Wacława*).

Będiesz ty cicho! (*głośno*) On jest tak przejęty radością, że oniemiał. (*cicho do Wacława*) Ciesz się, no, ciesz się!

Wacław.

Pani....

P. Rozamunda.

Pojmuję pańskie wzruszenie, gdyż za młodu byłam w podobnym położeniu, które, niestety, spełzło na niczym.

Władysław.

No, kiedy mówić nie możesz, ucałuj przynajmniej rączki pani, która tyle dla ciebie łaskawa. *(Wacław zbliża się z wahaniem do pani Rozamundy, która rękę do pocałowania ku niemu wyciąga, Władysław cicho do Wacława)* Całujże, do milion djabłów! *(Wacław całuje w rękę panią Rozamundę, Władysław głośno)* A teraz może pani zechce przejść do moich ciotek.

P. Rozamunda.

W samej rzeczy pani Teresa czeka na mnie.

Władysław.

Idźmy więc, zarazem oznajmimy ciotkom, że w skutek łaskawego pani zaproszenia nas obu, Wacław i ja za trzy dni jedziemy na Wołyń.

P. Rozamunda.

Sądzę że ta wiadomość pańskie ciotki ucieszy.

Władysław.

Czyż możesz pani o tem wątpić! Pozwoli pani sobie rękę podać?

P. Rozamunda.

Do zobaczenia, panie Wacławie!

Wacław.

Sługa pani dobrodziejki.

Władysław (*podawszy rękę p. Rozamundzie, odchodząc na lewo*).

Pakuj się Waciu. (*Władysław i p. Rozamunda wychodzą po lewej*)

Wacław (*p. k. m.*).

Chwyć mnie w szpony i nie puszczaj. Przepadło, teraz niema co się już wahać; trzeba tam iść gdzie on prowadzi. A jednak przez skórę czuję, że się jakieś głupstwo stanie.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Teatr przedstawia elegancki salon na wsi. W głębi troje drzwi szklanych otwartych na ogród. Między nimi gustownie zawieszono trofea z broni palnej i siecznej, wśród której cztery pałasze pojedynkowe. Po prawej w pierwszej kulisie okno, w drugiej drzwi, w trzeciej ukośne drzwi w rogu. Po lewej w pierwszej kulisie kominek, w drugiej drzwi, w trzeciej ukośne drzwi w rogu. W samym środku sceny naprzeciw drugich kulis tak zwany pufc czyli sofa okrągła z oparciem, w środku wazoniki z kwiatami. — Na przodzie sceny po prawej stolik, na nim szachownica, przy nim dwa fotele i krzesło. Na przodzie sceny po lewej kanapa. Przed nią, więcej ku lewej, okrągły stolik bogatym dywanikiem przykryty. Na nim wazon z kwiatami, koszyki z damskimi robotami, albumy, mały damski kałamaryk, pióra stalowe, pugilares z papierem listowym i kopertami, dzwonek i t. p. Pod okrągłym stolikiem po lewej mały taburecik. Między kanapą a kominkiem fotele i jedno krzesło. Oprócz tego w salonie tu i ówdzie parę krzeseł. Przy podniesieniu kurtyny Wacław stoi oparty o boczną poręcz kanapy od środka sceny, ręce na krzyż założone, głowa spuszczone. Władysław chodzi po pokoju.

SCENA I.

Władysław, Wacław.

Władysław.

Ja ci powiadam, że jeżeli dalej takim spokojnym i nieruchliwym będziesz jak dotąd, Pułkownik wresz-

cie wszystkiego się domyśli i cały plan diabli wezmą. Od tygodnia jesteśmy tutaj, panna widocznie za tobą, skoro przystała na namowę pani Rozamundy. Pułkownikowi ani się śni o naszym podstępie. — Panowie Piotr i Krzysztof zawadzają trochę, ale z niemi damy sobie radę, — pani Wanda... no, ale to już się mnie tylko tyczy, wszystko jednem słowem szłoby nieźle, gdyby nie ty.

Wacław.

Cóż ja temu winien, że nie mogę...

Władysław.

Trzeba, trzeba koniecznie; rozruszajże się już raz, do pioruna, jeżeli chcesz mnie udawać. Patrz jak ja się zupełnie twoją rolą przejąłem. Jestem spokojny, przyzwoity, nie lekkiego nie mówię, gram w pikietę lub w szachy z Pułkownikiem, dla panów Piotra i Krzysztofa jestem uprzejmym, słodkim, nawet pomimo że mi diabelnie nerwy drażnią; na panią Wandę... chociaż piekielnie ładna, ani się spojrzę; — krótko mówiąc, staram się być tobą. Rób tak jak ja, to jest zupełnie przeciwnie, a będzie dobrze.

Wacław.

Wszakże ja się ruszam jak mogę.

Władysław.

To mi piękne ruszanie! Przysłuchiwałem się tu kiedyś z boku, jak z panną rozmawiałeś. Niech kto chce zgadnie o czém prawileś. O geologii!!!

Wacław.

Ależ ją to bardzo zajmowało.

Władysław.

Co innego zajęłoby ją diabelnie inaczej! Lecz mniejsza oto, kiedy się jej podobasz a nam to zresztą nie szkodzi, ale zmiłuj się Waciu, uważaj z Pułkownikiem.

Wacław.

Cóż złego zrobiłem? — Jestem grzecznym...

Władysław.

Co tam grzecznym, nie o to chodzi, ale mnie źle udajesz. Każdém niemal słowem, w każdym kroku, każdym ruchem zdradzasz, że ty jesteś ty, a nie ja.

Wacław.

Myślałem że ciebie nieźle naśladowę.

Władysław.

Pięknie, — naprzykład przedwczoraj, gdy nas Pułkownik zaprowadził na błota i kuropatwy; chybiałeś jak krawiec, pudłowałaś tak, że sam Azor się rumienił.

Wacław.

Kiedy lepiej strzelać nie umiem.

Władysław.

Wytrzymaj trochę, wypuść kuropatwę na pewną odległość! Ale nie, skoro się zerwie, ty pęc, pęc z pod pachy... poszła!

Wacław.

To tak z ochoty... i potem one tak prrrr... to dekoncertuje.

MENTOR.

Władysław.

A do kszyków to znowu celujesz i celujesz i palniesz właśnie gdy kszyk już jest w horyzoncie.

Wacław.

Bo chciałbym wiaść dobrze na cel, a on tak leci w zygzag, wężyka... kszyk, kszyk...

Władysław.

Dosyć że musiałem wszystko po tobie dublować; szczęściem że Pułkownik był daleko, takim sposobem twoje pudła poszły na mój rachunek, a moje strzały nappełniły twoją torbę.

Wacław.

Mnie się zdaje że ja jedną kurkę wodną ranilem.

Władysław.

Ranił! Ależ Waciu, dla Boga, nauczże się już raz mówić, bo jeśli za ciebie mogę strzelać, to przecie mówić za ciebie nie mogę!

Wacław.

Cóż tak zdroźnego powiedziałem?

Władysław.

Któż o zwierzynie mówi że ją ranił, — postrzelił, postrzelił!

Wacław.

Niech będzie postrzelił.

Władysław.

W ogóle nie dosyć się ruszasz, nie jesteś dość żywym, przy obiedzie nie pijesz...

Wacław.

Ja nigdy wina nie piję.

Władysław.

Ty nie, ale ja piję. — Władysław pije.

Wacław.

Będę próbował.

Władysław.

Probuji synu, probuj! — Pamiętaj nieustannie, że jesteś Władysławem. Ja przy tobie ciągle jak niańka stać nie mogę, dosyć się i tak poświęcam, na przykład, ile razy gdzie wieczorem, w ciemnym korytarzu lub w ogrodzie jaką pannę służącą, jaką garderobiankę spotkam, zawsze nim ją... pod brodę pogłaszczę, powiadam: „Cicho, to ja, Władysław.“

Wacław (*przestraszony*).

Ależ tutaj Władysław, to ja!

Władysław.

Właśnie, -- robię ci reputacyą.

Wacław.

Ale ty mnie zgubisz!

Władysław.

Gdzież tam! Do panny Jadwigi to nie dojdzie, a w oczach całej służby żeńskiej cię postawi. — Starając się o pannę, zdania fraucymeru lekce ważyć nie można.

Wacław.

To istny szaleniec!

Władysław.

Rób ty tylko jak ten szaleniec, a wszystko będzie dobrze.

Wacław.

Ha! muszę skoro w to wszedłem, ale obaczysz, Władziu, że to się źle skończy.

Władysław.

Cicho, nie lamentuj, oto całe towarzystwo nadchodzi.

SCENA II.

**Władysław, Wacław, Pułkownik, pani Rozamunda,
później P. Wanda, Jadwiga, P. Piotr, P. Krzysztof.**

(Wszyscy ukazują się w głębi po prawej w ogrodzie. Tylko Pułkownik i pani Rozamunda wchodzić środkowymi drzwiami. Tamci zatrzymują się przy środkowym klombie; zdają się rozmawiać o kwiatach, które p. Wanda i Jadwiga wskazują. Panowie Piotr i Krzysztof zrywają je i wiążą z nich bukiety. — Pułkownik — postać szlachetna i elegancka, włosy siwe, dość krótko ostrzyżone, nosi tylko małe wąsy do góry podkreślone. Czarny surdut zapięty, bez wstążeczek orderowych, czarna chustka na szyi, małe kołnierzyki, spodnie popielate).

Pułkownik *(wchodząc).*

Dla czegoż nas panowie po śniadaniu opuściliście?

Władysław.

Miałem z Władysławem do pomówienia o niektórych interesach przed odejściem poczty.

P. Rozamunda.

To bardzo niegrzecznie opuszczać damy przed spacerem. Użalałyśmy się wszystkie na to. *(Siada na kanapie, bierze robotę z koszyka na stole i zaczyna haftować).*

Władysław.

Właśnie dlatego Władysław ciągle mi się zrywał, ledwie zdołałem go tu utrzymać. *(do Pułkownika)* Nie uwierzyłby Pułkownik co to za szalona głowa; bez ustanku prawie mu morały, ale gdzieżtam, to groch na ścianę. To żywe srebro, iskra! *(Tu wchodzi p. Wanda z bukietem w ręku i Jadwiga; za niemi pp. Piotr i Krzysztof. — P. Piotr zajęty Jadwigą wiąże bukiet, który jej ofiaruje, a który ona obojętnie przyjmuje. Pan Krzysztof nie odstępował pani Wandy).*

Pułkownik.

No, tego nie znajduję.

Władysław.

Cicha woda brzegi rwie.

Wanda.

O jakiejże wodzie mowa?

Pułkownik.

O panu Władysławie; pan Wacław twierdzi że jego brat....

Władysław.

Istny ogień, saletra. (*Pułkownik idzie trochę w głąb i rozmawia z panami Piotrem i Krzysztofem*).

Wanda (*siadając na kanapie od środka sceny i biorąc robótkę*).

W istocie? Nie byłabym tego myślała; sądziłabym raczej że pan. . . .

Władysław (*żywo*).

Ja pani? (*miarkując się spokojnie*) Jestem flegmatykiem, mam gusta ciche, spokojne.

Wanda.

Nie znać tego po panu.

Władysław (*żywo*).

Pozory. . . (*spokojnie*) pozory, pani, pozory!

Jadwiga (*do Wacława, który się do niej zbliżył, pokazując mu kwiatek w bukietcie*).

Nieprawda, panie. . . że to nie jest zwykła konwalia?

Wacław.

Nie, pani, to jest: *Convalaria Multiflora*.

Władysław (*na stronie*).

Masz go teraz z łaciną!

(*Jadwiga siada na krześle przy kanapie obok pani Rozamundy i zaczyna haftować. Wacław siada przy niej na krześle od kominka. Pan Piotr i pan Krzysztof przysuwają sobie krzesła tak, żeby p. Piotr siedział trochę w tyle między Jadwigą a Wacławem, p. Krzysztof za p. Rozamundą i Wandą, więcej do ostatniej zwrócony. Pułkownik wraca na przód sceny na prawo.*)

Prawie podczas całej sceny Wacław mówi po cichu z Jadwigą, pan Piotr chce się często wmieścić w rozmowę, ale mu to nie idzie).

P. Piotr (*drwiąco*).

Pan Władysław zdaje się mocny w botanice.

Wacław (*spokojnie i naturalnie*).

Bardzo lubię kwiaty.

Władysław.

Podczas nudów garnizonowych wziął się do botaniki.

Pułkownik.

Przyznam się że mi w najnudniejszych garnizonach nigdy na myśl nie przyszło kwiatami się trudnić.

P. Krzysztof.

W samej rzeczy, dość oryginalne zajęcie dla Rotmistrza.

Władysław (*spogląda ze złością na p. Krzysztofa, potem mówi do Pułkownika*).

Umizgał się wtedy do żony profesora botaniki.

Pułkownik (*śmiejąc się*).

Aha, rozumiem... to był kwiatek dla męża!

Władysław.

Tak jest, dla męża. (*śmiejąc się*)

Wanda.

Ładnie, panowie, zamiast nas bawić, śmiejecie się między sobą.

Pułkownik.

To historyjka garnizonowa.

P. Rozamunda.

O fe! fi done! W takim razie nie jesteśmy ciekawe.

Pułkownik (*do Władysława*).

Niby to się boją, a chciałyby słyszeć; otóż my na złość nic nie powiemy. — Może zagralibyśmy w szachy?

Władysław (*z lekkim westchnieniem*).

Służę panu Pułkownikowi. (*na stronie, idąc ku stolikowi z szachami*) Miła rozrywka tam, gdzie taka jest wdówka! (*Siadają, Pułkownik plecami do dam, Władysław naprzeciw niego, ustawiając szachy na szachownicy i zaczynają grać*)

Wanda.

A, i pan Wacław grywa w szachy?

Wacław (*zapominając się*).

Ja, pani... bardzo lubię...

Wanda.

Pan także? Ja mówiłam o panu Wacławie. Sądziłam że tylko pan Krzysztof jest godnym partnerem dla Pułkownika.

P. Krzysztof (*półgłosem do Wandy*).

Pani jesteś okrutną!

Pułkownik.

Znamy się z panem Krzysztofem, zaś pan Wacław to nowy partner.

(*Wanda okazuje lekkie nieukontentowanie; podczas tej części sceny Krzysztof pocichu mówi do Wandy, która zdaje się mu tylko urywkami odpowiadać*).

P. Rozamunda.

Nie pojmuję w istocie jaką przyjemność można znajdować w szachach. Rozumiałabym już prędzej grę hazardową; tam jest przynajmniej walka ze szczęściem, jest w tém rodzaj poezyi, gdy tu wszystko polega na pewném wyrachowaniu, prawie na matematyce.

Wanda (*do Wacława*).

A propos matematyki: obiecałeś mi pan dokończyć objaśnienia o analizie spektralnej.

Wacław.

Tak jest, pani, zatrzymaliśmy się właśnie na żółtej linii D. (*dalej rozmawiają pocichu*)

Władysław (*na stronie*).

Jest! Teraz wjechał na żółtą linią D!

P. Piotr (*do Jadwigi*).

Jak się pani podoba nowa czwórka, którą przyjechałem.

Jadwiga (*zimno*).

Nie uważałam.

P. Piotr (*do Wacława*).

Ale pan, cóż powiesz o tych koniach? Wszakże ich widziałeś gdy niemi wczoraj powoziłem.

Wacław.

Tak jest, widziałem je i zdawało mi się że wcale nieźle biegły.

Władysław (*na stronie*).

Aj!

P. Piotr (*śmiejąc się*).

Biegli! Ha, ha! czy u panów mówią że zaprzężne konie biegają?

Wacław (*trochę zmieszany*).

Chciałem powiedzieć....

Władysław.

Że dobrze chodziły... Tak jest, to niby prowincjonalizm; u nas w niektórych okolicznościach chłopci tak mówią... a że Władysław często chłopskimi końmi jeździ na polowania, przejął ten sposób wyrażania się.

Wacław.

Tak jest, tak, przejąłem...

P. Piotr.

Biegli, konie biegli! To sławne!

Jadwiga.

Pan Władysław podobno powiedział, że je widział i że dobrze biegły.

P. Piotr.

Biegli, biegły, wszystko jedno!

Jadwiga.

A... tak pan sądzisz?

Wanda (*do p. Rozamundy*).

Uważasz pani jak się małej ząbki przecierają?

P. Rozamunda.

I bardzo.

(P. Piotr niekontent wstaje, idzie do stolika szachów, przypatrzuje się chwilkę grającym, potem przechadza się parę razy po

pokoju, stając przed trofeami w głębi, nareszcie wraca i siada na swoim miejscu obok Jadwigi).

Jadwiga *(do Wacława).*

Pan więc mówiłeś że żółta linia D?...

Wacław.

Żółta linia D jest podstawą.... *(dalej mówi pocichu do Jadwigi).*

Władysław *(na stronie).*

Znowu! Ha! zresztą już wolę żeby siedział na żółtej linii D, niżeli żeby o koniach mówił.

P. Krzysztof *(do Wandy).*

Słowo honoru, pani w amazonce wyglądasz jak Bogini!

Wanda *(na stronie).*

Nieznośny! *(spogląda ukradkiem na Władysława)*

Władysław *(który przejął to spokojnie, na stronie).*

Aj! Co za spojrzenie!

Pułkownik *(do Władysława).*

Mylisz się pan, skaczesz wieżą jakby konikiem.

Władysław.

Przepraszam, roztargnienie.

P. Krzysztof *(do Wandy).*

Jeżeli pani pozwoliś sobie ofiarować, chowam dla pani na przyszłą jesień białego charta, jakiego niema drugiego w okolicy.

Wanda (*zimno*).

Dziękuję panu, mam moją faworytkę strzałkę, jedna mi wystarcza.

P. Krzysztof (*wstając*).

Co mówię w okolicy! Słowo honoru, trzymam zakład o co kto chce, że drugiego takiego niema na całym świecie! Wystawcie sobie moi państwo co mi się temi dniami wydarzyło. (*przychodzi na środek sceny*) Jechałem konno na spacer; Sokół... bo on się Sokół nazywa, biegł przy koniu. Wtém spostrzegam czarnego kota w ogrodzie koło chałupy. Szczuję go Sokołem, który jednym susem sady przez płot i obces wpada na kota. Kot przestraszony wyskakuje na strzechę chałupy, mój Sokół za nim, kot do komina, mój Sokół za nim...

Władysław.

A pan za Sokołem...

P. Krzysztof.

Nie, panie... śmiałem się do rozpuku, aż tu brzęk, wylatuje szyba w oknie chałupy, a przez nią wyskakuje kot, ale kot biały, za nim chart.... ale chart czarny! Zgłupiałem.

Władysław.

To niepodobne!

P. Krzysztof.

Kiedy powiadam że zgłupiałem, to zgłupiałem!

Władysław.

Skoro pan tak twierdzisz, nie przeczę.

P. Krzysztof.

Wystawcie sobie państwo co się stało? Kot wpadł

przez komin na kuchnię i potłukł nastawione garnki; zabierał się już do jedzenia, myśląc że jest bezpiecznym, gdy usłyszał Sokoła w kominie. Przeżony wskoczył do skrzyni z mąką, lecz Sokół który właśnie wypadł z komina, dostrzegł go sokolim wzrokiem i huź na niego! Wszakże wziął za wielki rozpęd i przeskoczył skrzynię. Wtedy kot z mąki szust przez szybę, a mój Sokół sadzą poczerniony szust za nim! Dla tego kot czarny był biały, a Sokół biały był czarny!

Władysław.

Czy nie wpadli potem do jakiego stawu?

P. Krzysztof.

Dla czego?

Władysław.

Tak, myślałem że pan pływałeś za niemi.

P. Krzysztof.

Nie, skończyło się na tém, że dałem dukata przestraszonej babie za szybę i garnki.

Wanda.

A kotowi co?

P. Krzysztof.

Nie, bo mu się nie nie stało: uratował się ucieczką na drzewo.

Władysław.

Więc Sokół nie wylazł za nim?

P. Krzysztof.

Nie, panie, u nas charty po drzewach nie łążą, u panów być może!

Władysław *(żywo)*.

Mój panie!

P. Krzysztof.

Co?

Władysław *(miarkując się, spokojnie)*.

Nic; powiadam: mój panie, to bardzo ciekawe zdarzenie.

P. Krzysztof.

A, tak... *(Siada na swoim miejscu zamieniwszy spojrzenie drwiące z panem Piotrem)*

Wanda *(na str. patrząc na Władysława)*.

Dziwny człowiek! W nim jest wyraźnie dwóch ludzi. *(głośno do Władysława)* Panie Wacławie, czy to prawda że Lwów jest tak przyjemnym miastem w zimie?

Władysław *(żywo)*.

Tak jest pani, mamy prześliczne bale, pikniki z kolacyami. *(przypominając sobie, spokojnie)* Profesorowie mają bardzo zajmujące odczyty.

(Panowie Piotr i Krzysztof parszają śmiechem)

P. Krzysztof.

A to mi piękna zabawa! Ha, ha, ha!

P. Piotr *(do Jadwigi)*.

Co pani na to powiada? Pan Wacław liczy odczyty profesorów do zabaw zapustnych! *(śmieje się)*

Jadwiga.

Dlaczego, — mnie by to bardzo zajmowało.

P. Krzysztof.

Ha! ha! ha! umrę ze śmiechu! Odczyty na zapusty!

Wanda.

Mogą być, przyznasz pan, przynajmniej o tyle ciekawe, ile codzienne opowiadania o przygodach polowania z chartami.

(P. Krzysztof wstaje, przechadza się po pokoju, nareszcie siada zadąsany na pufce)

P. Rozamunda.

Ach dla Boga, dajcież państwo już raz pokój tym chartom, koniom, spektromanii! W istocie nie pojmuję, żeby tam gdzie są dwie młode osoby i czterech młodych ludzi, nikt nie wspomniał o pięknych sztukach, o poezyi, o miłości!

(Wanda spogląda znowu ukradkiem na Władysława, ich spojrzenia się krzyżują)

Pułkownik.

Oho! Pani siostra już swoje zaczyna... *(do Władysława)* Ale cóż pan robisz, bierzesz mego króla!

Władysław *(patrząc na Wandę).*

Przepraszam, chciałem dać szach królowej.

Wanda *(na stronie).*

Jak on to powiedział!

P. Piotr *(do Jadwigi).*

Nie jeden byłby szczęśliwym, gdyby mógł mówić o miłości.

Jadwiga.

Nie wiem czy druga osoba byłaby równie szczęśliwą.

P. Piotr.

Mnie się zdaje, że to najbardziej zależałoby od tej drugiej osoby.

Jadwiga.

Nie rozumiem.

P. Rozamunda (*cicho do Wandy*).

Trzeba ją wybawić. (*głośno*) Zdaje mi się, że czas pomyśleć o naszej toalecie. (*wstaje*)

(*P. Piotr i P. Krzysztof wstają*)

Wanda (*patrząc na zegarek i wstając*).

W samej rzeczy, już trzecia; ale ja się prędko ubieram, więc wstąpię jeszcze do Jadwisi. (*na stronie, spojrzawszy na Władysława*) Muszę ją wybadać względem pana Waclawa. (*głośno*) Idziesz Jadwisiu?

Jadwiga (*wstając*).

Chodźmy.

P. Rozamunda.

Prosimy panów na nas nieuważać....

(*P. Rozamunda wychodzi narożnemi drzwiami po lewej. Mężczyźni kłaniają się damom prócz Pułkownika, który w grze zatopiony nie wstaje. Panowie Piotr i Krzysztof odprowadzają p. Wandę i Jadwigę do pierwszych drzwi na lewo. Władysław stojąc, ze swego miejsca daje znaki Waclawowi, który stoi nieporuszony patrząc na Jadwigę, żeby panie także odprowadził;*

Wacław to wreszcie spostrzega i chce poskoczyć ale za późno spotyka panów Piotra i Krzysztofa wracających ode drzwi. Władysław siada)

P. Krzysztof.

No, panie poszły się ubierać, to my chodźmy teraz do stajni.

Pułkownik.

My tam później za panami przyjdziemy, skoro skończymy partya. Zdaje mi się że już niedługo potrwa.

P. Piotr.

A zatęm do widzenia.

(Panowie Piotr i Krzysztof wychodzą w głębi po prawej).

SCENA III.

Pułkownik, Władysław, Wacław.

Wacław *(do siebie).*

Co za dobroć, łagodność w każdym jej słowie, jak rozwinięta intelligencya!

Pułkownik.

Szach królowi.

Władysław.

Zastawiam się konikiem.

Pułkownik.

Biorę go królową, szach i mat,

Władysław (*p. k. m.*).

Niema co mówić, jest mat oczywisty. (*wstają od gry*)

Pułkownik.

Teraz jeżeli panowie chcecie iść do stajni za tamtemi, służę, a może skorzystalibyśmy z nieobecności mojej siostry, która dymu nie znosi, żeby sobie tu cygara zapalić.

Władysław.

Jesteśmy zupełnie do usług pułkownika.

Pułkownik (*podając im cygara*).

Proszę panów. (*zapalają cygara*) Nie mogę panom dosyć wyrazić jak mnie to cieszy widzieć was w moim domu.

Władysław.

To my przeciwnie wdzięczni pułkownikowi za tak serdeczne przyjęcie.

Pułkownik.

Kogoż przyjmowałbym serdecznie, jeżeli nie syna mego najlepszego przyjaciela (*ściska za rękę Wacława, obraca się do Władysława*) i jego siostrzeńca.

Wacław (*trochę zmieszany*).

Może pan pułkownik być przekonany...

Pułkownik.

Mnie o frazesa nie chodzi, mówię co czuję; z wami mam serce na dłoni i pewny jestem, że wy względem mnie tak samo.

Władysław (*na stronie*).

Milcz sumienie.

Pułkownik.

Ale wiecie co mnie coraz bardziej uderza im lepiej was poznaję; to jest dziwne podobieństwo pana Wacława do swego wuja generała. (*do Władysława*) Nie tylko w rysach twarzy, ale mową, ruchami tak mi go pan przypominasz, jak gdybym się patrzył na niego, (*do Wacława*) a w panu, który jesteś jego rodzonym synem, nie dostrzegam najmniejszego podobieństwa.

Wacław.

Zapewne... że to... dosyć szczególne....

Władysław.

On do matki podobny, podobnusięki.

Pułkownik (*do Władysława*).

Jakże pan to możesz wiedzieć, kiedy jego matka jeszcze dawno przed generałem umarła.

Władysław.

Z portretu, panie pułkowniku, z portretu.

Pułkownik.

A tak, być może, ja mało ją znałem; o ile sobie jednak przypominam, była więcej w guście... na przykład, pani Wandy.

Władysław (*z roztrzepaniem*).

To musiała być śliczną!

Pułkownik.

Oho! Coś nasz filozof się zapala. Ha! czemu nie? Chcesz, będę cię swatał.

Władysław.

Nie... nie, nie, nie, panie pułkowniku, już to ja do małżeństwa niestworzony.

Pułkownik.

Dla czego? Kobieta młoda, ładna, bardzo majątna, przytém uczciwa.

Władysław (*zapominając się*).

Tego koniecznie szukam.

Pułkownik.

Hę?

Władysław (*miarkując się*).

Nie szukam w ogóle żadnej kobiety. (*sentymentalnie*)
Moją jedyną kochanką jest nauka!

(*Wacław parska śmiechem*)

Pułkownik (*obracając się do niego zadziwiony*).

A to co?

Wacław.

Przepraszam. (*śmiejąc się, na stronie*) Co za miedziane czoło!

Władysław.

Widzi pułkownik co to jest mieć z dawnym birbantem do czynienia: śmieje się ze mnie że kobiet unikam, że nigdy na żadną nie spojrzę.

Pułkownik (*śmiejąc się*).

Ależ bo za daleko posuwasz tę bojaźń. Można jak ty być człowiekiem bardzo seryo, a przytém lubić się czasem zabawić z kobietami.

Władysław (*zapominając się*).

Ach, jak ja to lubię! (*miarkując się*) ale zdaleka, bardzo zdaleka....

Wacław (*na stronie, wstrzymując się od śmiechu*).

Wyjdę, bo nie wytrzymam. (*głośno*) Pułkownik pozwoli że pójde parę listów napisać.

Pułkownik.

Proszę, proszę, bez ceremonii, rób jak u siebie. Ale może wejdiesz do biblioteki, tam znajdziesz wszystko czego potrzeba do pisania, bo wątpię żebyś to miał z sobą. Ty podobno nie bardzo piśmienny człowiek.

Wacław.

Bardzo dziękuję. (*na stronie, śmiejąc się*) Jego jedyną kochanką jest nauka. (*wychodzi narożnemi drzwiami po prawej*)

SCENA IV.

Pułkownik, Władysław.

Pułkownik.

Więc stanowczo nie dasz się namówić?

Władysław.

Nie, panie pułkowniku, nie, — małżeństwo a ja, to dwie rzeczy tak sprzeczne, tak od siebie oddalone.

Pułkownik.

Szkoda, bo ładna byłaby z was para. — Mnie się nawet zdawało że kilka razy na nią tak spojrzaleś...

Władysław.

Ja?... Gdzieżbym coś podobnego śmiał zrobić!

Pułkownik (*śmiejąc się*).

A wiesz ty, mój kochany mędrco, że ty jesteś wyborny z twoją nieśmiałością! Dobrze że Władysław cię nie słyszy, bo miałby znowu powód śmiać się z twojej enoty. On podobno nie taki bojaźliwy?

Władysław.

On? ho, ho, ho!

Pułkownik (*seryo*).

Wszakże spodziewam się, że teraz....

Władysław.

O, teraz, to co innego!

Pułkownik.

Słuchaj, pomówmy z sobą otwarcie. Wiesz że mojem najgorętszem życzeniem jest wydać moję Jadwisię za Władysława, raz dla tego, że to był niegdyś ułożony projekt z jego ojcem, powtóre, bo taki charakter mi się podoba. Z birbantów, gdy mają serce, — a nie wątpię że je posiada, bo jest synem jenerała, — bywają najlepsi mężowie, gdy się raz wyszumiają. Jenerał był

birbantem, ja byłem birbantem i on był dotąd birbantem. Dziś stara się o Jadwisię. Jak widzisz uspokoił się, spoważniał i zdaje mi się, że się jej podoba; lecz w miarę jak się decydująca chwila zbliża, różne we mnie powstają obawy. Najprzód pytam się sam siebie, czy starając się to małżeństwo do skutku doprowadzić, nie zważałem więcej na wspomnienia przyjaźni i własny gust, niżeli na charakter Jadwisi. Ona jest usposobienia zastanawiającego się, spokojnego, lubi nauki, jedném słowem to jest osoba seryo, nie wiem zatem czy byłaby z nich dobrana para.

Władysław.

Za to mógłbym zaręczyć.

Pułkownik.

Dalszą moją obawą jest ta raptowna zmiana w charakterze Władysława. Nie znałem go dawniej osobiście, ale on miał zbyt głośną reputacją, bym nie wiedział że był hulaką najczystszej wody. Otóż myślę czy ten jego dziwny spokój nie jest udanym w chęci przypodobania się Jadwidze, lub czy nie jest skutkiem tylko chwilowego zakochania, — bo przecież on się kocha?

Władysław.

Jak kot, panie pułkowniku.

Pułkownik.

Właśnie dla tego się obawiam czy po ślubie, lub po jedném, dwóch leciech małżeństwa nie obudzi się w nim dawna natura tak szybko, tak gwałtownie przytłumiona.

Władysław.

Natura birbanta w nim się pewno nie obudzi.

Pułkownik.

W tych ojcowskich troskach udaję się w pełnem zaufaniu do ciebie, człowieka tak pewnych zasad, tak statecznego, ażebyś mi szczerze powiedział, czy myślisz że on się zupełnie ustatkuje?

Władysław.

On, — z pewnością.

Pułkownik.

Zatém przekonany jesteś, że będzie dobrym mężem?

Władysław.

Za niego bardziej ręczę, niżeli mógłbym ręczyć za siebie.

Pułkownik.

Dziękuję ci, zaspokoileś mnie zupełnie, a teraz nie chcę cię dłużej nudzić. Do widzenia, jeszcze raz ci dziękuję. *(ściska go za rękę i wychodzi pierwszemi drzwiami po prawej)*

SCENA V.

Władysław *(sam)*.

Biedne ojczyisko, żal mi go się zrobiło! A to jednak taki sam był birbant jak ja! No proszę, co to się

z ludzi robi... Może i ja kiedyś.... Nie, nie, nie chcę... Ale go nie oszukałem, wszakże wszystko co o Wacławie powiedziałem jest prawdą, z wyjątkiem że on nie jest Władysławem. *(z zadowoleniem wskazując na siebie)* Władzio, to ja. Za tamtego mogę śmiało ręczyć, za tego nie! *(p. k. m.)* Hm, — ta wdówka!... Cóż z tego, kiedy zaraz swaty.... małżeństwo, — nie, to nie dla mnie. W takie sprawy nie wdawaj się Władziu.... niebezpieczne. *(p. k. m.)* A jednak! — Nie, nie, jakbym się do tego wziął po swojemu, poznaliby mnie od razu i cały plan runąłby do stu diabłów. *(p. k. m.)* Ależ bo ona mi się podoba!... aż w nosie kręci! — Ha ho! Panie Władys.... panie Wacławie, pójdźmy się przejść po świeżem powietrzu, to waszeci uspokoi.

(wychodzi w głębi na lewo).

SCENA VI.

Wanda *(sama).*

(Wychodzi z pierwszych drzwi po lewej, nie spostrzegwszy wychodzącego Władysława)

Jadwisia mi się wypowiedała... A więc tak się rzeczy mają... Więc to ten jest ów sławny pan Władysław! — Teraz wszystko rozumiem. Tę żywość która się przebija przez spokój przybrany, to zapominanie się, to ogniste spójrzenie i nagły zwrót do roli sensata... Więc to on! I ja niedomyślna, nie odgadłam tego od razu, — chciałam go ośmielić, *(ciszej)* kokieto-

wałam nawet troszeczkę! Jak to musiało go bawić! — O, lecz ja mu tego nie daruję, muszę mieć odwet! — Kokietowałam go, to dobrze, teraz będę jeszcze więcej kokietować. -- Zabawię się jego kosztem i pomszczę zarazem wszystkie jego ofiary! Tak, to nawet jest moim obowiązkiem jako kobiety. Trzeba go kokietować! (*p. k. m.*) Lecz ostrożnie, powiadają że on niebezpieczny! Ba, wszakże on teraz skrępowany.... On nie jest on, ale nieśmiały, uczony, cnotliwy pan Wacław. (*sposstrzegając w głębi wchodzącego Władysława*) A, otóż i on! (*udaje że czegoś szuka przy stoliku po lewej*).

SCENA VII.

Wanda, Władysław.

Władysław (*wchodząc, do siebie*).

Już się uspokoilem. (*sposstrzegając Wandę*) Jest! To prawdziwe nieszczęście! Uciekajmy! (*chce odejść do ogrodu*)

Wanda (*niby go sposstrzegając, spokojnie*).

A, to pan, panie Wacławie...

Władysław (*na stronie*).

Masz teraz! (*głośno*) Ja pani wracam z ogrodu.

Wanda.

Chodziłeś pan się przypatrywać kwiatom?

Władysław.

Nie.... to jest tak... chodziłem się przypatrywać... kwiatom.

Wanda.

Piękne?

Władysław.

Bardzo.

Wanda.

Dopomóżże mi pan szukać.... nie mogę znaleźć
mojej włóczki.

Władysław (*szukając*).

Nigdzie jej nie widzę.

Wanda.

Przecie jestem pewną że ją tu zostawiłam.

Władysław.

Może pani Rozamunda lub panna Jadwiga ją wzięły.

Wanda.

Które się panu najlepiej podobają?

Władysław.

Co które? włóczki?

Wanda.

Nie, kwiaty.

Władysław.

A, kwiaty... mnie pani... *Convaliflora Multiplicaris*.

Wanda (*odwracając się by śmiech ukryć*).

Miałam ją tu przed chwilą.

Władysław.

Convaliflorę?

Wanda.

Nie, włóczkę.

Władysław.

Włóczkę. *(na stronie)* Hm, miałżeby to być pretekst?

Wanda.

Cóż, nie znalazłeś pan?

Władysław.

Nie, pani.

Wanda.

To dajmy temu pokój, później się znajdzie. *(siadając na kanapie niby od niechcenia)* Czy pan długo myślisz w tych stronach bawić?

Władysław *(na stronie).*

Oczywiście był pretekst. *(głośno)* Nie wiem pani... to będzie od wielu rzeczy zależało.

(przysuwa sobie krzesło i siada obok niej)

Wanda.

A tak, rozumiem, pan jesteś tutaj Mentorem pana Władysława.

Władysław.

Ja Mentorem, bynajmniej!

Wanda.

Nie wypieraj się pan, — wszakże to widoczne, pan czuwasz nad nim jak Minerwa nad Telemakiem.

Władysław.

Zareczam pani...

Wanda.

Daremnie się pan wypierasz... Czyż nie znamy pana Władysława... z reputacyi; on, taki światowy, lubiący się bawić, trochę lekkomyślny...

Władysław (*zapominając się*).

Ja, on lekkomyślny! (*miarkując się*) czyż można powiedzieć...

Wanda.

Pojmuję że go pan bronisz, wszakże jesteś tu dla tego; bo jakkolwiek zaprzeczasz, wiemy doskonale że panów ciotki chcą go ożenić, pana mu dały żeby tu jakiego maleńkiego szaleństwa nie zrobił, lub gdzieindziej się po drodze nie zakochał.

Władysław.

Ależ on szczerze zakochany.

Wanda.

Jakże pan to możesz wiedzieć? Wszakże pan w ogóle miłości nie pojmujesz.

Władysław (*żywo*).

Ja pani! (*miarkując się*) pojmuję i bardzo, dla czego nie miałbym pojmować?

Wanda.

Bo pan temi dniami sam mówiłeś, że się nigdy nie kochałeś.

Władysław (*z przymileniem*).

Być może że dotąd....

Wanda.

Ze pan kochać się niezdolny.

Władysław *(żywo)*.

Tego nie powiedziałem! *(na stronie)* O, niebezpieczna!

Wanda *(poprawiając sobie włosy tak żeby Władysława uwagę zwrócić na swoje rękę)*.

Jakto, taka niestałość zdania u pana? To mnie dziwi.

Władysław *(na stronie)*.

A jaką ma rękę! *(głośno)* Dla czego pani zwiesz niestałością to, co może byłoby tylko nawróceniem.

Wanda.

Nawrócenie mędrca!... to byłoby trudném.

Władysław *(nachylając się ku niej)*.

Jak dla kogo. *(odsuwając się, na stronie)* Ż'e ze mną!

Wanda.

Skoro pan powiadasz że to nie byłoby trudném, nie byłoby w tém wielkiej zasługi... ani wielkiej chwały.

Władysław.

Więc pani myślisz że gdybym się zakochał...

Wanda *(patrzac po ziemi)*.

Jeśli to tak łatwo.

Władysław.

Pani znowu szukasz swojej włóczki.

Wanda.

Nie, patrzałam czy niema tu taburecika.

Władysław (*zrywa się i podaje jej taburecik pod nogi*).

Proszę pani. (*na stronie*) Co za nóżka!

Wanda.

Dziękuję panu. — Nieprawda, panie, że Jadwisia bardzo ładna?

Władysław.

Zapewne, ale... (*zatrzymuje się patrząc na nią*)

Wanda.

Oho, już jest ale.

Władysław (*miarkując się*).

O, bardzo nieznaczące, chciałem powiedzieć: ale... nie w moim guście.

Wanda.

Więc pan masz swój gust... Sądziłam że dla pana kobiety wcale nie istnieją!

Władysław (*na stronie*).

Ona wyraźnie wyzywa... a niechże cię...

Wanda.

Lecz skoro tak nie jest, powiedz mi pan jaki jest pański gust.

Władysław.

Ja, pani... (*na stronie*) Trzymaj się Władziu!

Wanda (*śmiejąc się*).

Sam pan nie wiesz.... a to doskonałe.

Władysław *(na stronie)*.

Glupią gram rolę.

Wanda.

Może panu dopomódz? Więc odpowiadaj pan. Które się panu lepiej podobają: brunetki czy blondynki?

Władysław *(zły)*.

Ja, pani, lubię to co ładne.

Wanda.

To bardzo ogólnikowe, ale przecie wolisz pan małe, delikatne, średniego wzrostu, czy wysokie? *(wstaje i przechodzi po przed niego na prawo)*

Władysław *(wstając, na stronie)*.

Boże! jaką ona ma figurę!

Wanda.

Cóż pan nic nie odpowiadasz?

Władysław *(na stronie)*.

Ba! Trzebaby być gapiem. *(głośno z zapalem)* Nie, pani, bo patrzę.

Wanda *(na stronie)*.

Aha!

Władysław.

I podziwiam!

Wanda.

Komplement? Jak na uczonego wcaie nieźle wy-
stosowany, lecz ja tego nie żądałam.

Władysław.

Mówię tylko co czuję. *(na stronie)* Chciałaś tego, poczekaj!

Wanda.

Ach!

Władysław *(żywo).*

Co pani jest?

Wanda *(pokazując na szynion).*

Szpilka tu, tu, okropnie mnie kole... Panie Wacławie, poratuj mnie. *(nadstawia się tak, żeby mógł widzieć jej szyję)*

Władysław *(zaglądając pod szynion).*

Gdzie? Nie widzę...

Wanda.

Tu, tu...

Władysław *(na stronie).*

Ach, co za pieprzyk. Nie wytrzymam. *(całuje ją w szyję)*

Wanda *(odskakuje prawdziwie przestraszona i zastania sobie oczy rękami)*

A!

Władysław *(na stronie).*

Teraz nie dajmy jej się opamiętać. *(głośno)* Pani, Wybacz! Lecz ja panią kocham, ubóstwiam! Oszukiwałem panią udając obojętnego, bo od pierwszego dnia! od pierwszej chwili gdy panią spostrzegłem, wre we mnie namiętność gwałtowna, niepohamowana...

Wanda (*przyszedłszy do siebie, ze łzami w oczach i w głosie*).

Panie Władysławie. Jestem ciężko, boleśnie ukarana, ale zasłużyłam na to. Wiedziałam że pan jesteś panem Władysławem i kokietowałam pana, chcąc się zabawić z pańskiej przybranej roli Wacława. Moja więc wina, jeśli może za daleko żart posunęłam, lecz sądziłam że mam z człowiekiem dobrze wychowanym do czynienia. Omyliłam się, żałuję tego i żegnaj pana. (*odchodzi do pierwszych drzwi na lewo, zakrywając oczy chustką*).

SCENA VIII.

Władysław (*sam*).

Władysław (*który stał oniemiały, p. k. m.*).

Wylażała mnie i to porządnie... ale bo czego kokietowała i pokazała mi pieprzyk na szyi... to nie moja wina... pieprzyki zawsze mnie gubiły... Bądź co bądź wylażała mnie uczciwie, to jej z serca poszło, bo płakała i była obrażoną! — Otóż to mi się podoba, to jest uczciwa kobieta, to żona dla mnie! Tak jest, takiej mi potrzeba! — Prześliczną była w gniewie i rozżalona! Bądź spokojną, ożenię się z tobą! — Sam nie pojmuję, że mi to od razu na myśl nie przyszło. — A gdyby nie chciała? Diabła tam która nie zechce, — przeproszę i ożenię się. (*p. k. m.*) Jednak mnie to wzruszyło... zły jestem na siebie i gdyby mi się tak teraz kto nawinał...

SCENA IX.

Władysław, P. Piotr, P. Krzysztof (*wchodzą w głębi*).

P. Krzysztof.

Cóż, nie dotrzymałeś pan słowa, nie przyszedłeś do stajni.

Władysław (*szorstko*).

Słowa nie dawałem, a nie przyszedłem bo mi się nie podobało.

P. Piotr.

Żałuj pan, bo przejeżdżano właśnie konie pułkownika... wcale nieźle biegały!

Władysław.

Mój panie, mój brat mógł się mówiąc pomylić, ale ja wszelkie drwinki sobie wypraszam.

P. Krzysztof (*drwiąco*).

Któżby sobie to śmiał pozwolić z takim uczonym jak pan! Koń nie jest godnym pańskiej uwagi; pan zapewne pracujesz nad wynalazkiem jakiego nowego balonu.

Władysław.

Pan go pewnie nie wymyślisz.

P. Krzysztof.

Mój panie! Jak pan to rozumiesz?

Władysław.

Jak się panu podoba.

P. Piotr.

Pan ze mną także trochę wysoki ton przybrałeś.

Władysław.

Zniżyć go nie myślę.

P. Krzysztof.

To obraza.

P. Piotr.

To wyzwanie.

Władysław.

Powiedziałem panom, bierzcie to jak chcecie, a jeżeli wam się nie podoba, — służę.

P. Piotr.

Będziemy prosić...

P. Krzysztof.

Natychmiast.

Władysław.

I owszem.

P. Krzysztof.

Ja pierwszy.

P. Piotr.

Przepraszam, pierwszy byłem obrażony.

Władysław.

Ciągnijcie panowie węzełki; drugi będzie pierwszemu sekundował i odwrotnie.

P. Krzysztof.

Pytanie czy po mnie będzie przeciw komu sekundo-
dować.

Władysław.

To się wnet pokaże.

P. Piotr.

A więc chodźmy do ogrodu. Tu są pałasze, możemy
je zaraz wziąć z sobą.

Władysław.

Za chwilę panom służę, muszę sobie znaleźć se-
kundanta.

P. Krzysztof.

Może pułkownik, lub brat pański.

Władysław.

O mnie się panowie nie troszczcie, nie będziecie
na mnie długo czekali.

P. Piotr.

Idźmy.

P. Krzysztof.

Idźmy.

*(Panowie Piotr i Krzysztof biorą każdy po jednym pałaszu
z trofeów i wychodzą w głębi na lewo).*

SCENA X.

Władysław (*sam*).

Zkąd tu naprędce wziąć sekundanta? Pułkownika we własnym domu prosić mi nie wypada, zresztą po moim sposobie bicia się, mógłby łatwo poznać że jestem ułanem a nie botanikiem; zaś Wacław tyle się na sekundowaniu rozumie, co kura na pieprzu.... kogo by tu.... (*spostrzegając w głębi wchodzącego Grzegorza*) O! mam czego mi potrzeba!

SCENA XI.

Władysław, Grzegorz.**Władysław.**

Grzegorzu, proszę na słówko.

Grzegorz

Do usług wielmożnego pana.

Władysław.

Wszak służyliście z pułkownikiem, nieprawda?

Grzegorz (*prostując się*).

Do usług, Grzegorz Skalka, wachmistrz pierwszego szwadronu, drugiego pułku ułanów.

Władysław.

Słuchajcie, mam małą rozprawę z panami Piotrem i Krzysztofem... chcecie mi służyć za sekundanta?

Grzegorz.

Taki honor....

Władysław.

Dziękuję. — Bierzmy więc pałasze i chodźmy za niemi. *(robi parę kroków w głąb i zatrzymuje się)* Ale, ale. *(przyprawdzając Grzegorza na przód sceny, tajemniczo)* Tylko o jedną rzecz was będę prosił.

Grzegorz.

Co pan rozkaże?

Władysław.

Cokolwiekbądź się stanie, zameldujecie pułkownikowi po skończonej rozprawie, ale nikomu, rozumiecie, nikomu nie powiecie, nawet pułkownikowi, że to ja się biłem, lecz mój brat Władysław.

Grzegorz.

Pan rotmistrz?

Władysław.

Tak jest, rotmistrz Władysław. Musicie mi na to dać słowo.

Grzegorz.

Słowo wachmistrza Skalki.

Władysław.

(podając mu rękę, którą ten nieśmiało i z uszanowaniem bierze).

Teraz chodźmy. *(biorą z pomiędzy trofeów dwa pałasze i wychodzą w głąbi na lewo).*

S C E N A XII.

P. Rozamunda, *później* Pułkownik.

P. Rozamunda (*wychodząc z narożnych drzwi po lewej*).

Zdawało mi się słyszeć jakby szczełk broni... tak się przeleżałam... szczęściem tu niema nikogo, omyliłam się.

Pułkownik (*wychodząc z pierwszych drzwi po prawej*).

A, to ty siostruniu.... ale cóż to, zdajesz mi się zmienioną?

P. Rozamunda.

Myślałam że tu jest pojedynek.

Pułkownik.

Zkądże znowu! Zawsze twoje romantyczne przywidzenia. Któżby się tu miał bić? Władysław pisze listy w bibliotece, pan Piotr i pan Krzysztof poszli oglądać konie, Waclaw... no, ten nie wiem gdzie jest, ale o niego można być spokojnym. (*śmiejąc się*) Więc chyba ja, a mnie przecie widzisz przed sobą.

P. Rozamunda.

Zdawało mi się słyszeć brzęk pałaszów.

Pułkownik (*oglądając się*).

A... w samej rzeczy, niema pałaszów... Już wiem, zapewne Grzegorz je wziął do odczyszczenia.

P. Rozamunda.

Widzisz że mnie mój słuch nie omylił.

Pułkownik.

Ale już jesteś zaspokojoną. Bardzo się cieszę, siostriuniu, że mam chwilkę do pomówienia z tobą; rozmówiłem się właśnie z Wacławem.

P. Rozamunda *(na stronie)*.

Z Władysławem, o mój Boże!

Pułkownik.

Cóż ci jest? znowu się zmieszalaś?

P. Rozamunda.

Ja... wcale nie... tak ci się zdaje.

Pułkownik *(na stronie)*.

Oho, już ma coś na sumieniu! Pewno jakieś romantyczne głupstwo, żeby się tylko Jadwisi nie tyczyło. *(głośno)* Powiedz mi, proszę cię...

P. Rozamunda.

Ale nie... zaręczam... cóż ci powiedział pan Wacław?

Pułkownik.

Wiesz, że to bardzo rozsądny młody człowiek.

P. Rozamunda.

Wiem, wiem... cóż dalej.

Pułkownik *(na stronie)*.

Niezawodnie coś zbroiła. *(głośno)* Mówiłem z nim o Jadwisi i... *(Grzegorz wchodzi w głębi niosąc cztery pałasze)* A widzisz że to Grzegorz brał pałasze.

SCENA XIII.

Pułkownik, P. Rozamunda, Grzegorz.

(Grzegorz idzie wprost do Pułkownika, staje przed nim jak do raportu)

Grzegorz.

Mam honor meldować pułkownikowi, że się odbył pojedynek.

Pułkownik.

Pojedynek!

P. Rozamunda.

A! moje nerwy, spazmy!

Pułkownik.

Kto z kim?

Grzegorz.

Właściwie dwa pojedynki.

P. Rozamunda.

Dwa! umieram!

Pułkownik *(do p. Rozamundy, biorąc ją pod rękę).*

Proszę cię, nie wyprawiaj mi teraz spazmów, idź do swego pokoju i tam rób co ci się podoba; najlepiej siedź spokojnie. *(odprowadza ją do narożnych drzwi po lewej)*

P. Rozamunda *(odchodząc).*

Dwa pojedynki! *(wychodzi).*

SCENA XIV.

Pułkownik, Grzegorz.

Pułkownik (*wracając do siebie*).

Pewnie jej sprawka, później ją wybadam. (*do Grzegorza*) Kto się bił z kim? mów!

Grzegorz (*z pewnym wahaniem*).

Pan Władysław z panem Piotrem i Krzysztofem.

Pułkownik.

I cóż?

Grzegorz.

Pan Władysław ciał pana Piotra po ręce, a pana Krzysztofa (*pokazując cięcie po prawym policzku od ucha do gęby*) tędy.

Pułkownik.

Gdzie oni są?

Grzegorz.

Zabandażowałem ich na prędcie, wsadziłem na bryczkę i pojechali do Żytomierza do chirurga.

Pułkownik.

Jakże można było ich puścić?

Grzegorz.

Sami tego żądali.

Pułkownik.

A gdzie jest pan Władysław?

Grzegorz.

Nie wiem, ale skoro odprowadził tych panów do bryczki, zdaje mi się że potem poszedł ku szklanym drzwiom biblioteki.

Pułkownik.

Dobrze, możesz odejść. *(idąc ku drzwiom biblioteki)*
Muszę przecie zobaczyć.... *(Grzegorz idzie w głąb, zawieszając pałasze na swoim miejscu, potem wychodzi).*

SCENA XV.

Pułkownik, Wacław.

*(Wacław wchodzi powoli narożnymi drzwiami po prawej, zatopiony w czytaniu dużej starej książki. *) Nie widzi pułkownika, który się trochę w głąb sofy)*

Wacław.

Nadzwyczaj ciekawe dzieło, zdaje mi się że to będzie unikat.

Pułkownik *(na stronie).*

Co za zimna krew... w pięć minut po dwóch pojedynkach! *(przystępując do niego)* Panie Władysławie...

Wacław.

A, pan pułkownik, przepraszam że się ośmieliłem wynieść to dzieło z biblioteki.

() Nota: Ta książka powinna być jak największa i najcięższa.*

Pułkownik.

O to się nie gniewam, lecz muszę panu wyrazić żal, który mam do pana z powodu tego zajścia.

Wacław.

Jakiego zajścia?

Pułkownik.

Nie przecz pan proszę, gdyż to mogłoby tylko mój żal powiększyć. Dosyć mi przykro że kłótnia zaszła w moim domu, lecz pojedynek mógł i powinien być odbyć się gdzieindziej.

Wacław (*upuszczając książkę z zadziwienia*).

Pojedynek?

Pułkownik.

Mniejsza o słowo: pojedynki, jeżeli pan wolisz.

Wacław.

Ależ ja nic nie wiem... na honor... (*machinalnie podnosi książkę, starannie ją obciera z kurzu i kładzie na stoliczku*)

Pułkownik.

Jakto? Jeszcze? Pan chcesz mi w oczy przeczyć, że ranileś panów Piotra i Krzysztofa?

Wacław.

Ja ranilem.... chciałem powiedzieć postrzeliłem panów Piotra i Krzysztofa?

SCENA XVI.

Ciż, Władysław (*wbiega narożnemi drzwiami po prawej*).

Władysław.

Waciu, szukam cię wszędzie! (*sposstrzegając pułkownika miesza się*)

Wacław (*na stronie*).

Pewnie on!

Władysław (*bardzo zmieszany, do Wacława*).

Checiałem ci powiedzieć..... lecz proszę cię na chwilkę.... Pan pułkownik pozwoli....

Pułkownik (*do siebie, obserwując ich*).

A, a, a!

Władysław (*do Wacława*).

Chodź na momencik... (*cicho*) Chodźże do diabła!

Wacław.

Idę już, idę. (*do pułkownika*) Za pozwoleni-m pułkownika.

Pułkownik.

Proszę panów, proszę.

Władysław (*ciągnąc Wacława za rękę*).

Wnet go tu nazad przyszlę. (*Władysław i Wacław ukłoniwszy się śpiesznie wychodzą w głębi po prawej*).

SCENA XVII.

Pułkownik (*sam*).**Pułkownik** (*sens kończąc*).

Skoro mu dam instrukcyą. — Tak jest, niezawodnie.... wszystko odgaduję.... i ta nieświadomość Władysława, a raczej Waclawa, i pomieszanie tamtego, który oczywiście tu wpadł by go przestrzedz, i niepokój mojej siostruni, wszystko mi teraz jasne jak gdyby mi się przed oczyma rozwidniło, ale dla wszelkiej powności... (*dzwoni*) Zaraz się przekonamy. (*Grzegorz wchodzi w głębi*).

SCENA XVIII.

Pułkownik, Grzegorz.**Pułkownik** (*gdy Grzegorz stanął przed nim w postawie żołnierza*).

Panie wachmistrzu Skalka, od jakiego to czasu waszeć kłamiesz przy raporcie?

Grzegorz (*mocno zmieszany*).

Ja, panie pułkowniku....

Pułkownik.

Proszę wprost odpowiadać. Kto się bił z panem Piotrem i Krzysztofem?

Grzegorz.

Pan Waclaw.

Pułkownik.

Czego więc skłamałeś?

Grzegorz.

Żądał ode mnie słowa, że powiem iż to pan rotmistrz Władysław się bił; dałem mu słowo... ale ja przed panem pułkownikiem... przy raporcie kłamać nie mogę.

Pułkownik.

Trzeba było o tém wcześniej pamiętać.

Grzegorz.

Trudno było go zdradzić... a żeby pan pułkownik był widział jak on się bił!

Pułkownik.

Hm.... co, dobrze?

Grzegorz.

Jak anioł, panie pułkowniku! Pana Piotra to obciął od razu, za ledwie się skrzyżowali; zaraz go świsnął po łapie tak, że mu pałasz z ręki wyleciał.

Pułkownik (z zajęciem).

Pałasz wyleciał od razu?

Grzegorz.

W ten moment, (naśladując cięcie) tak, fiut i już leżał.

Pułkownik.

Proszę! musiał dobrze ciąć... a z panem Krzysztofem?

Grzegorz.

Z panem Krzysztofem trudniejsza była sprawa. Długo się rąbali, aż iskry leciały z pałaszów.

Pułkownik *(coraz bardziej się zapalając).*

Iskry!

Grzegorz.

Iskry, panie pułkowniku. Aż nareszcie pan Krzysztof jedzie mu okrutnym cięciem w bok. Chryste Panie! myślę sobie, przetnie go na dwoje, i tuj, tuj już chciałem odbić cięcie palaszem, który dobyty w rękę trzymałem, ale gdzieżtam, jeszcze nie pomyślałem a już się pan Wacław zastawił i jak lunie rypostą na odlew pana Krzysztofa po fizygnomii, aż się tamten zachwiał i trzy kroki w tył zatoczył.

Pułkownik.

Tak go chlusnął!

Grzegorz.

Zupełnie tak jak niegdyś pan pułkownik tego leitnanta od dragonów, co to się umizgał do pani...

Pułkownik.

Dobrze już, dobrze.... Na lewo w tył, marsz!
(Grzegorz robi lewo w tył i wychodzi w głębi po prawej).

SCENA XIX.

Pułkownik *(sam).*

Pułkownik *(zacierając ręce).*

Iskry leciały... no proszę... chlusnął go na odlew!
Co to za miły, serdeczny chłopiec! Istny ojciec! *(p. k. m.)*

Ale znać nie chce mojej Jadwisi! Szkoda! *(p. k. m.)* Więc to był spisek! I pani siostra naturalnie w to wlaźła i Jadwisię wciągnęła... To mi trochę przykro... lecz nie dziw, sierota bez matki... Ojcu zwierzyć się nie tak łatwo... Zapewne i pani Wanda w tём była... Chcieli sobie wszyscy zażartować ze starego. Lecz hola! moi państwo, poczekaście!... teraz na mnie kolej, — dojadę ja wam wszystkim... *(p. k. m.)* Tak, tak będzie najlepiej! *(idzie do stolika po lewej, siada i pisze)* Sprawię wam niespodziankę, o jakiej wam się nie śni!... Hola! hej! jest tam kto? *(dzwoni, Grzegorz wchodzi w głębi).*

SCENA XX.

Pułkownik, Grzegorz.

Pułkownik.

Niech kozak Semen zaraz siada na konia i jedzie do Żytomierza, zkaąd ten telegram natychmiast wyprawi do Lwowa. Rozumiesz?

Grzegorz.

Rozumiem.

Pułkownik

Niech wstąpi przytём do Moszka, gdzie pewnie panowie Piotr i Krzysztof zajęchali i dowie się odemnie o zdrowiu tych panów; niech powie, że jutro ich odwiedzę.

Grzegorz.

Rozumiem, panie pułkowniku.

Pułkownik.

Śpiesz się i niech się Semen śpieszy, galopem!

Grzegorz.

Będziemy się śpieszyli. *(wychodzi w głębi po prawej)*

Pułkownik.

A teraz, nowa gra się zaczyna!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III

Teatr przedstawia ten sam salon co w drugim akcie. Przy podniesieniu kurtyny p. Rozamunda, p. Wanda, Jadwiga i Wacław siedzą po lewej. Wacław na krześle przy kominku, obok niego w krześle Jadwiga, przy niej na kanapie p. Wanda i p. Rozamunda. Damy haftują. Władysław na pół stojąc klęczy jednem kolanem na puffie, wsparty na rękę i obrócony ku p. Wandzie, w której widoku zdaje się zatopiony. Pułkownik siedzi w krześle przy stoliku po prawej ku damom obrócony, w rękę trzyma gazetę.

SCENA I.

**Pułkownik, Władysław, P. Rozamunda, P. Wanda,
Jadwiga, Wacław.**

Pułkownik.

Jadwisiu, dajże już pokój panu Władysławowi z twojemi pytaniami scyntyficznemi. Nie pojmuję dlaczego się zawsze z tém do niego udajesz. On wojskowy, był Rotmistrz. Jeżeli tak spragnioną jesteś nauki, dlaczego się nigdy o nie nie pytasz pana Wacława? Ten to jest właściwie uczony, filozof! Patrz jak się zatopił gdzieś w wyższych sferach!

Władysław (*jakby ze snu przebudzony*).

Ja... nie... bynajmniej... (*wstaje i zbliża się nieśmiało do Wandy po za kanapę*)

Jadwiga.

Nie śmiałabym trudzić pana... Wacława.

Pułkownik.

I dlatego dręczysz biednego Rotmistrza!

Władysław (*do Wandy*).

Nie raczyłabyś pani...

Wanda (*odwracając się od niego*).

Proszę pana... (*zaczyna po cichu rozmawiać z Jadwigą, Władysław wraca do puffa, na którym siada w samym środku sceny i głęboko się zamyśla, wzdychając od czasu do czasu*)

P. Rozamunda (*do Pułkownika*).

Jadwisia nie dręczy nikogo. Rozmawialiśmy właśnie o Dantem, lecz ty nie uważałeś, bo skoro o poezyi mowa, zatapiasz się w gazetach albo drzemiesz.

Pułkownik.

Prawda że tą razą nie uważałem; czytałem właśnie bardzo ciekawy artykuł o reorganizacji kawalerji. (*do Wacława*) To coś dla ciebie, panie Władysławie.

Wacław (*zmieszany*).

Dla mnie?... A tak, tak... zapewne... to bardzo zajmujące.

Pułkownik.

Czytałeś? I cóż powiadasz o nowych reformach?

Wacław.

Ja... właściwie... jeszcze nie czytałem...

P. Rozamunda *(do Pułkownika)*.

Przestańże, proszę, mówić o twojej kawaleryi, nas to bynajmniej nie obchodzi.

Pułkownik.

A, za pozwoleniem siostruniu. Ja ci nie wymawiam jeżeli ze swoją poezją i romantycznością czasem może za daleko się zapędzasz. Podczas gdy rozmawialiście o Dantem nie zawadzałem nikomu, czytając sobie spokojnie moją gazetę, lecz teraz gdy artykuł skończyłem, pozwól żebym z panem Władysławem trochę o naszym zawodzie pomówił. Cóż to paniom może szkodzić? Mówcie sobie o waszych strojach, a nam dajcie mówić o kawaleryi.

Wacław.

Już przeszło rok jak wystąpiłem...

Pułkownik.

Właśnie dlatego chciałem cię o niektóre rzeczy spytać, które mi są niejasne. Bo przyznam ci się że w ostatnich latach byłem gospodarstwem tak zajęтым, że w wojskowości jestem nieco zacofanym. Ot na przykład małej rzeczy już nie pamiętam: czy robią jeszcze, jak za moich czasów, trójkami czy czwórkami?

Wacław *(patrząc na Władysława, który tego nie widzi)*.

Gdy służyłem... Hm! *(na stronie)* Zeby choć na palcach pokazał! *(głośno)* U rzymian Cohorta... Hm! hm!

Pułkownik.

Coś cię w gardle drapie, zakatarzyłeś się.

Wacław (*kaszłąc*).

Tak jest, mocny katar spadł mi na piersi. (*na stronie*) Żeby się spojrział! (*głośno*) Na takie upaty...

Pułkownik.

Pojmuję, najłatwiej zaziębić się można... więc nie mów skoro cię dusi, mamy czas kiedy indziej wrócić do tego przedmiotu.

Wanda.

Panie Pułkowniku, obiecałeś nam wczoraj spacer.

Pułkownik.

Tak jest, pani i dotrzymam słowa kiedy każecie. (*wstając*) Zaprowadzę panie do nowych sadzawek, które w ogrodzie urządzam do zarybienia. To ztąd niedaleko, o parę kroków, nie zmęczycie się panie. Chciałbym przytém zasięgnąć rady pana Wacława względem zaprowadzenia piscicultury.

Wacław (*półgłosem, z zajęciem*).

Co, piscicultury? (*tonem prelekcyjnym*) Ryby...

(*Kobiety dają mu znak żeby milczał*)

Pułkownik.

Nie wątpię że pan Wacław jest bardzo mocnym w pisciculturze. (*do Władysława*) Jak się najlepiej i z pewnością ryby mnożą? Panie Wacławie!

Władysław (*jakby ze snu przebudzony, wstając*).

He, co? Czwórkami, panie Pułkowniku, czwórkami!

Pułkownik.

Ha, ha, co to jest być mędrcem! Tak się w myślach zatopiłeś, że jak przez sen słyszałeś moją rozmowę z panem Władysławem i teraz odpowiadasz na zapytanie, które jemu przed kwadranssem zadałem. — Czworkami zatem teraz robią...

P. Rozamunda *(wstając)*.

Znowu zaczynasz, wiesz co, kochany braciszku, to nie do wytrzymania. Już lepiej chodźmy do ogrodu, tam pokażesz nam swoje sadzawki.

Pułkownik.

Służę paniom. *(szukając kapelusza, do siebie półgłosem)*
Gdzież kapelusz podziałem? *(Idzie trochę w głąb niby szukając kapelusza, lecz obserwując wszystkich z pod oka)*

P. Rozamunda *(wziąwszy parasolkę, która za nią leżała na kanapie, cicho do Władysława)*.

Pan się zgrabnie gdzieś zgubisz.

Wanda *(do Jadwigi)*.

Nie wiem gdzie parasolkę podziałam.

(Władysław chwytą parasolkę leżącą na puffie i podaje ją Wandzie, która ją bierze z niechęcią i odwracając głowę)

Jadwiga *(cicho do Wacława)*.

Życzyłabym sobie parę słów z panem pomówić.

Wacław *(tak samo)*.

Właśnie o to samo panią prosić chciałem.

Jadwiga.

Zatrzymamy się więc tu chwilę.

Pułkownik (*wracając z poza puffa na przód sceny z kapeluszem w rękę, do Władysława*).

Panie Wacławie, podajże rękę pani Wandzie.

Wanda (*zbliżając się szybko do Pułkownika, którego bierze pod ramię*).

O nie, nie, ja się trzymam Pułkownika.

Pułkownik (*do Wandy, odchodząc z nią w głąb*).

To zbyt wiele szczęścia dla starego.

(*Pułkownik i p. Wanda wychodzą w głąb po lewej*)

P. Rozamunda (*podając rękę Władysławowi*).

Idźmy więc razem. (*cicho*) Na pierwszym zakręcie pana puszcze. (*wychodzi z Władysławem za Pułkownikiem i p. Wandą*).

SCENA II.

Jadwiga, Wacław.

Jadwiga.

Nie dziw się pan i nie bierz mi za złe, że żądałam tej rozmowy, lecz chciałam pana usilnie prosić, żebyś pan obmyślił środek wyjścia z tego położenia względem mego ojca. — Szczerze przyznam się panu, że od pierwszej chwili było mi bardzo przykrém a teraz stało się już nieznośnem.

Wacław.

Najzupelniej pani zdanie podzielam i sam pierwszy chciałem panią prosić, byś mi pozwoliła przestać już

grać rolę Władysława i pod własnem imieniem starać się o pani rękę.

Jadwiga.

Czy mogłeś pan wątpić że zezwolę? Ach, pan nie wiesz jak mi ta tajemnica przed ojcem na sercu ciąży!

Wacław.

A mnie, pani! Wstydzę się tego podstępu: to udawanie kogo innego, ten ciągły przymus, duszą mnie jak zmora!

Jadwiga.

Cóż ja mam powiedzieć! Oszukiwać najlepszego ojca, przed nim się rumienić, nie mieć odwagi podnieść oczu na niego.

Wacław.

Nieustannie na siebie uważać...

Jadwiga.

Truchleć przy każdym słowie...

Wacław.

Nie być nigdy sobą, czuć się niezgrabnym, śmieszonym, mieszać się, plątać co chwilę, wreszcie tak odplacać serdeczną gościnność pani ojca.

Jadwiga.

O, nie, dłużej nie mogę zapoznawać tylu dobrodziejstw, tyle miłości, — to musi ustać.

Wacław.

Trzeba temu koniec położyć.

Jadwiga.

Jak mnie pan rozumiesz! (*podając mu rękę*) Dziękuję panu.

Wacław (*biorąc ją nieśmiało za rękę, którą chce pocałować, ale się wstrzymuje*).

Droga panno Jadwigo!

Jadwiga.

Wierz mi pan, gdyby nie namowy ciotki, która mi przedstawiła, że bez tego będę musiała zostać żoną pana Władysława lub pana Piotra, nie byłabym nigdy na to przystała.

Wacław.

Cóż mnie do tego kroku zniewoliło, jeżeli nie ta sama myśl wpojona mi przez Władysława, który mi się jako Mentor narzucił? Właściwie to wszystko jego jest winą.

Jadwiga.

Zapewne, on winien wszystkiemu, lecz my to naprawimy i dziś jeszcze papie wszystko wyznamy.

Wacław.

Tak jest i to niezwłocznie.

Jadwiga.

Zaraz.

Wacław.

Natychmiast.

Jadwiga.

Lecz jakże to zrobić... od czego zacząć?

Wacław.

Może pani... przymileniem.

Jadwiga.

Sądziłabym przeciwnie, że pan...

Wacław.

Nie, mnie się zdaje że to od córki lepiej będzie przyjętém.

Jadwiga.

Nie, nie, pan...

Wacław.

Przepraszam...

Jadwiga (*trochę zniecierpliwiona*).

Zdaje mi się że ja, z mojej strony, już dosyć dla pana zrobiłam.

Wacław.

Niewątpliwie, dobra panno Jadwigo... lecz...

Jadwiga (*zniecierpliwiona*).

Przecie się pan o mnie starasz, a nie ja o pana!

Wacław.

Wybacz, droga, kochana pani. Wierzaj mi, jeżeli się obawiam gniewu Pułkownika, nie o siebie mi tu chodzi, nie o siebie się lękam, lecz o utratę najdroższych moich nadziei.

Jadwiga.

Więc może w istocie lepiej byłoby, żebym ja...

(*Pułkownik wchodzi w głębi po lewej, staje i słyszy ostatnie słowa*)

Wacław.

Przyznajmy się oboje razem.

Jadwiga.

Tak jest, razem.

SCENA III.

Jadwiga, Wacław, Pułkownik.

Pułkownik (*na stronie*).

Jeżeli ja do tego dopuszczę. (*głośno*) Wy jeszcze tutaj?

Jadwiga i Wacław (*razem*).

A! (*rozskakują się*)

Pułkownik (*niby niezważając*).

Dlaczego nie przyszlście do sadzawki?

Jadwiga (*zmieszana*).

My, proszę papy...

Pułkownik.

Rozamundę i panią Wandę jeszcze tam zostawiłem, ale pan Wacław gdzieś mi się zgubił, przyszedłem zobaczyć czy go tu niema.

Wacław.

Chcieliśmy właśnie...

Pułkownik.

Iść za nami?

Jadwiga.

Nie, chcieliśmy...

Wacław.

Czekaliśmy właśnie... czekaliśmy.... *(na stronie)*
Coś mnie dławi!

Jadwiga.

Wyglądaliśmy z niecierpliwością...

Pułkownik.

Kogo, nas? Czy może już dano drugie śniadanie?

Jadwiga.

Nie... ale radziłyśmy... *(na stronie)* Nie mogę!

Wacław.

Tak jak panna Jadwiga powiada... życzyli... życzylibyśmy sobie... *(na stronie)* Język mi się w trąbkę zwija.

Pułkownik *(który się to na jedno z nich, to na drugie z razu niby z zadziwieniem, potem z dobrodusznym uśmiechem patrzył).*

Domyślał się o co wam chodzi, a co tak trudno wypowiedzieć. — Porozumieliście się między sobą. — No, tém lepiej... wszak wiecie że to się z mojem życzeniem zupełnie zgadza.

Wacław.

Jestem Pułkownikowi.... niezmiernie obowiązującym... moja wdzięczność... ale... tylko...

Jadwiga.

Tylko... ale...

Pułkownik.

Chcecie mieć moje oficjalne zezwolenie. Dobrze, dobrze, wszakże ja nie jestem z tych ojców, którzy przedewszystkiem na formy zważają, zwłaszcza z toba, panie Władysławie. Gdyby z kim innym, byłbym może ostrzejszym.

Jadwiga.

Właśnie oto... proszę papy...

Wacław.

Tak, oto właśnie, proszę Pułkownika, chcieliśmy...

Pułkownik.

Mnie prosić żebym wam wyznaczył dzień zaręczyn? Jacy mi niecierpliwi!.. No, no, bądźcie spokojni, to się zrobi, lecz dzisiaj nie mam czasu o tём myśleć, muszę ułożyć warunki intercyzy i przesłać je pani Odolińskiej do przeczytania i zatwierdzenia.

Wacław *(na stronie).*

Masz teraz!

Jadwiga *(na stronie).*

O mój Boże!

Wacław.

Bardzo dziękujemy Pułkownikowi, ale...

Jadwiga.

Ale...

Pułkownik.

Co? Jeszcze nie dość? Czegoż wam więcej potrzeba?

Ty, panie Władysławie, kochasz moją Jadwisię, ty, Jadwisiu, sprzyjasz panu Władysławowi, porozumieliście się, ja zezwoliłem, dzień zaręczyn oznaczymy, skoro odpowiedź pani Odolińskiej nadejdzie, macie więc pewność że się pobierzecie, — ciescie się z tego kiedy was to cieszy, a mnie dajcie teraz pokój, bo mam głowę tą intercyzą zajęta, nie mam czasu słuchać waszego szczebiotania. (*sposstrzegając wchodzącą w głębi po lewej p. Rozamundę*) Chcecie szczebiotać o miłości, oto macie moją siostrunię, przed nią możecie ile wam się podoba. Ona mistrz do tego.

SCENA IV.

Ciż, P. Rozamunda.

Pułkownik (*do p. Rozamundy*).

Chodź tu, kochana siostruniu, przypatrz się i ciesz się swoim dziełem, bo po największej części twoim zdrowym radom to zawdzięczam, że marzenie mego życia spełnionem zostało, że syn mojego najlepszego przyjaciela kocha moją córkę, a ona mu jest wzajemną!

P. Rozamunda (*zmieszana*).

Ależ kochany bracie... ja nic...

Pułkownik.

Tak jest, tobie to oni i ja nasze dzisiejsze szczęście zawdzięczamy. Ty byłaś dla Jadwisi drugą matką, ty, się nią opiekowałaś, ty jej wpoilaś te zbawienne zasady, że tylko idąc zawsze prostą drogą, powodując się

radą i życzeniem ojca, można stałe i pewne szczęście osiągnąć.

Jadwiga (*na stronie*).

Męki! (*cicho do Wacława*) Powiedzże pan...

Wacław (*cicho do Jadwigi*).

Nie mogę...

P. Rozamunda (*do Pułkownika*).

Kochany bracie... w istocie zbyt przeceniasz mój wpływ.

Pułkownik.

O nie, nie, moja droga, dobra siostruniu, bądź przekonaną, że umiem ocenić twoje rozsądne, poczciwe postępowanie. (*do Wacława*) Panie Władysławie, jeżeli komu masz tu najbardziej dziękować, to jej; więc podziękuj, panie Władysławie, swojej przyszłej ciotce, tak jak ja mojej najukochańszej siostruni serdecznie dziękuję. (*całuje czule w rękę p. Rozamundę, na stronie*) Masz za swoje. (*głośno*) A teraz bądźcie zdrowi i szczęśliwi, idę zająć się wami, idę pisać intercyzę i list do pani Odolińskiej.

(*wychodzi do narożnych drzwi, na prawo*).

SCENA V.

P. Rozamunda, Jadwiga, Wacław.

P. Rozamunda (*p. k. m.*).

A to co?

Wacław.

Nieszczęście! Nie domyśla się niczego, nie da sobie nic powiedzieć i kontent że się jego życzenie spełniło.

Jadwiga.

O, nie, mylisz się pan, ja znam papeę; on się albo czegoś domyśla, albo nas odgadł i chce ukarać.

P. Rozamunda.

W samej rzeczy on był dziwnym. Jeszcze nigdy go tak czułym nie widziałam.

Jadwiga.

Z pewnością się domyśla.

Wacław.

Mnie się nie zdaje; mówił z taką prostotą tak dobrodusznie, tak serdecznie i to mnie właśnie najbardziej martwi.

P. Rozamunda.

Tak jest, pan Wacław ma słuszość. — Przestraszyliśmy się daremnie, on się niczego nie domyśla, wszakże słyszałaś co do mnie mówił... jak chwalił mój rozsądek...

Jadwiga.

Właśnie dla tego.... *(prawie z płaczem)* Wszystko stracone....

Wacław.

Stracone!

P. Rozamunda.

Gdzieżtam! Imaginacya! Przecie i ja znam mego brata. Gdyby nasz podstęp przypuszczał, cały dom chodziłby

do góry nogami, a widzieliście jak był grzecznym, uprzejmym, nawet mnie w rękę pocałował.

Jadwiga (*do Wacława*).

Czemu się pan nie przyznałeś? — Teraz papa będzie myślał że to ja nie chciałam.

Wacław.

Nie mogłem; (*wskazując na gardło*) tu mnie coś cisnęło.

P. Rozamunda.

Co wy mówicie! Przyznać się... a to mi piękna rzecz!... co ja wtedy pocznę?

Wacław.

Jakże inaczej wyjść z fałszywego położenia. Wszakże i tak się to kiedyś wyjawić musi.

P. Rozamunda.

Kiedyś! Dobrze, ale nie tak raptownie, wtedy gdy mnie tu już nie będzie!... Teraz na to nie przystaję... nie pozwalam!

Wacław.

Niech nam więc pani inną drogę wskaże.

P. Rozamunda.

Przyznawać się nigdy nie trzeba, to sensu niema... A chcecie koniecznie... dobrze, ale ja się wynoszę.

Wacław.

Jakto? Pani nas chcesz opuścić?

P. Rozamunda.

Myślisz pan może że będę czekała, aż się Pułkownik o wszystkim dowie?... Nie, mój panie, nie, przedtém wyjadę... jeżeli się uda... wrócę!

Wacław (*na stronie*).

Dziękuję, i jabym to potrafił!

P. Rozamunda.

Lecz zastrzegam sobie formalnie, żeby o żadném wyznaniu mowy nie było póki ja tu jestem, a gdybyście przy tém obstawali, proszę mi wcześniej powiedzieć, żebym miała czas moje rzeczy zapakować.

Wacław (*do Jadwigi*).

Cóż teraz pocniemy?

Jadwiga.

Ja powiadam że papa wie wszystko.

P. Rozamunda.

Ta, ta, ta, nic nie wie! (*spostrzegając wchodzącego Władysława w głębi po prawej*) Zresztą niech pan Władysław powie co o tém myśli.

Wacław.

Prawda, on plan układał, niechaj teraz radzi.

SCENA VI.

(Władystaw wchodzi błądy, zamyślony, mina zdesperowana; — chodzi i mówi powoli jakby nieprzytomny; wchodząc lekko się skłania damom, potem idzie ku stolikowi po prawej. — Na początku tej sceny p. Rozamunda i Jadwiga idą trochę w głąb. P. Rozamunda mówi po cichu do Jadwigi, jak gdyby jej coś perswadowała. Jadwiga płacze)

Wacław.

Władysławie, powiedz: przyznać się, czy się nie przyznać.

Władystaw *(obojętnie)*.

To mi wszystko jedno! *(wzdycha, siada przy stoliku, podpira głowę obu rękami i zatapia się w myślach)*

Wacław.

Ale nam nie wszystko jedno! Ty cały plan ułożyłeś, obiecałeś być moim doradcą, Mentorem, teraz mów, radź co mamy robić.

Władystaw.

Daj mi pokój, żadnego Mentora nie znam, o żadnym planie nic nie wiem, daj mi pokój.

Wacław.

Ależ ty... twój plan... ty... ja...

Władystaw.

Czego mnie prześladujesz? Ułożyłeś sobie plan, to dobrze, wykonaj go, a mnie daj pokój! *(wzdycha)*

Wacław.

A to wyborne, teraz powiada że to ja plan ułożyłem... Władziu! — mój Władziu!...

Władysław (*do siebie*).

Od tygodnia jednego słowa do mnie nie przemówiła.

Wacław (*tupiąc nogą*).

Władziu, do kroćset... (*zwracając się do dam*) O, przepraszam! Lecz pomóżcie mi panie, bo on nie nie mówi, nie nie słyszy, on jest zupełnie bezprzytomny.

Jadwiga (*uśmiechając się przez tzy*).

To Wanda temu winna!

P. Rozamunda.

Panie Władysławie, trzeba żebyśmy koniecznie uradzili jak pański plan mamy dalej prowadzić! (*Władysław nic nie odpowiada*)

Wacław.

Władysławie, pani Rozamunda mówi do ciebie!

Władysław (*jakby ze snu przebudzony*).

Do mnie? Co?... przepraszam... nie uważałem.

P. Rozamunda (*uśmiechając się*).

Powiadam że skoro już raz zaczęliśmy, wypada nam porozumieć się względem dalszego prowadzenia pańskiego planu.

Władysław (*zamyślając się*).

To plan Wacława, odstąpiłem mu go.

Wacław (*żywo*).

Dziękuję, nie przyjmuję!

P. Rozamunda.

Mniejsza o to czyj plan, ale trzeba radzić!

Władysław.

Ach tak jest, radź pani, radź, dla Boga! Od tygodnia chodzę, przepraszam, błagam, proszę, nic nie pomaga, nie chce ze mną mówić, odwraca się ode mnie!

P. Rozamunda.

Pułkownik?

Władysław.

Gdzieżtam, pani Wanda! (*spostrzegając panią Wandę wchodzącą w głębi po prawej*) A! (*cofa się trochę na bok na prawo i wpatruje się w nią jak w obraz*)

SCENA VII.

Ciż, Wanda (*mocno wzruszona*).

Wanda.

Co się tu stało?

Wszyscy (*prócz Władysława*).

Dla czego?

Wanda (*do p. Rozamundy*).

Gdy się rozeszliśmy przy sadzawce, poszłam jeszcze sama na spacer w koło ogrodu. Wracając kiedy prze-

chodziłam po przed bibliotekę, pułkownik wyszedł do mnie rozpromieniony, zaczął mi mówić o małżeństwie Jadwisi z panem Władysł. . . z panem Morzanowskim, jako o rzeczy już ułożonej, ale mówił tak niejasno, tak zawile, że nie mogłam wyrozumieć czy on rozumiał pana Wacława czy pana Morzanowskiego.

Jadwiga (*przechodząc do Wandy*).

Ach Wandziu, ja jestem bardzo nieszczęśliwą!

Władysław (*wzdychając, na stronie*).

A ja? . . .

Wacław (*do Jadwigi*).

Uspokój się pani!

P. Rozamunda.

W istocie tu można głowę stracić między wami: jedni mówią tak, drudzy inaczej, trzeba się przecie porozumieć.

Wacław

(*spójrzawszy w głąb gdzie pułkownik paląc cygaro przechodzi scenę ogrodem od prawej ku lewej*).

Pułkownik!

Wszystcy (*prócz Władysława*).

A! (*zbijają się w kupkę*)

P. Rozamunda (*żywo*).

Mówmy o czem inszém! powiadasz więc, Wandziu, że zimę przepędzisz w Warszawie. . .

Wacław (*patrząc w głąb*).

Już przeszedł

P. Rozamunda.

Tu nie można radzić spokojnie, chodźmy do mego pokoju.

Wanda.

Chodźmy.

Władysław (*zbliżając się nieśmiało do Wandy*).

Pani! (*Wanda przechodzi na drugą stronę Jadwigi, Władysław z ruchem rozpaczy wraca do stolika po prawej*)

Jadwiga (*cicho do Wandy*).

Dajże się już raz przebłagać!

Wanda (*tak samo*).

Nie mogę!

Jadwiga.

Cóż on ci takiego zrobił?

Wanda.

Ty tego jeszcze rozumieć nie możesz...

Jadwiga.

Patrz, jaki on biedny.

Wanda (*spójrzawszy mimowoli na Władysława*).

Prawda, pobladł.

Jadwiga.

Przebacz mu, przebacz.

P. Rozamunda (*która mówiła po cichu do Władysława*).

Cóż, idziemy?

Jadwiga.

Idziemy, ciociu, idziemy.

Wacław.

Służę paniom. — Chodź Władziu.

(P. Rozamunda, Jadwiga i Wacław idą do drzwi narożnych po lewej i wychodzą. P. Wanda idzie za nimi z pewnym wahaniem).

SCENA VIII.

Władysław, Wanda.

Władysław *(składając ręce)*.

Pani, przez litość!... *(Wanda się zatrzymuje nie patrząc na niego)* Pani, jedną chwilę, pozwól żebym cię przeprosił, przebłagał!

Wanda.

Zdaje mi się, że nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Władysław.

O! nie, pani! bo ja względem ciebie ciężko zawi-
niłem, poznaję to, żałuję i póty nie odżyję, póki mi
pani nie przebaczysz!

Wanda.

Wszakże panu już powiedziałam, że ja w tém mniej
winy panu przypisuje niżeli sobie.

Władysław.

O, racz mnie pani wysłuchać! Prawda że byłem rozpustnikiem, ladaco, birbantem, prawda że się umizgałem na prawo i na lewo, lecz w tém uczucia nie było. Bawiło mnie to, często się udawało, więc żyłem z dnia na dzień, nie pytając o więcej.

Wanda.

I chciałeś mnie pan do rzędu tych osób policzyć, z którymi się udawało.

Władysław.

Nie wspominaj mi tego pani! Zawiniłem względem ciebie, obraziłem cię, lecz wtedy dopiero całą twoją wartość poznałem, od tej chwili nie żyję tylko tobą!

Wanda.

Jeszcze! (*chce odejść*)

Władysław.

Zostań pani! Nie chciej mnie źle zrozumieć. Drugi raz pewnie pani nie obrazę. W tym jednym tygodniu przeżyłem lata, poznałem przez cierpienie czém jest prawdziwa miłość.

Wanda.

Przestań pan, proszę.

Władysław.

Ależ dla Boga, cóż w tém jest złego, jeżeli pani wyznaje żeś pani we mnie obudziła uczucie dotąd mi nieznanne, że ze mnie innego człowieka zrobiłaś.

Wanda.

Ależ panie Władysławie....

Władysław.

O, tak jest, tak, bo ja panią kocham całym sercem, całą duszą, całym moim istnieniem, ja pragnę całe moje życie pani poświęcić! — Ach pani, błagam cię, zaklinam, powierz mi swoje szczęście!

Wanda (*na stronie*).

O, jakże on do serca przemawia!

Władysław.

Cóż? Pani milczysz. Więc nie twego serca wzruszyć nie zdoła? Ja nie żądam śpiesznej odpowiedzi,—ale przebacz mi, wystaw na jaką chcesz próbę, daj iskierkę nadziei że kiedyś, kiedyś, gdy na to zasłużę, zostaniesz moją żoną!

Wanda.

Żoną! Więc pańskie zamiary....

Władysław.

Są najczystsze. Czyż mogłaś pani nawet przypuszczać, żeby inna myśl powstała w sercu tobie jedynie oddanem.

Wanda (*na stronie*).

A, tak, to co innego. (*głośno, bardzo przyjaźnie*) Ale mi pan przecie zostawisz trochę czasu do namysłu.

Władysław.

Co słyszę! Pani!... Pani mi nie odmawiasz?

Wanda *(spuszczając oczy)*.

Nie.

Władysław.

O pani! droga, kochana pani, dokończ! Wszakże widzisz że moje życie na twoich ustach zawisło.

Wanda *(podając mu rękę)*.

Cóż mam robić, pan jesteś tak wymownym... *(pułkownik przechodzi w głębi w ogrodzie od lewej ku prawej, zatrzymuje się i patrzy na nich)*

Władysław.

Pani! Wando, moja Wando! Czy ja śnię, czy żyję?.. Ja umrę z radości. *(całuje ją w rękę)*

Pułkownik *(na stronie)*.

Coś tu diable gorąco idzie. — Poczekajcie moje gołąbki! Wnet ja wam przeszkodzę. *(wychodzi na prawo)*

Wanda.

Więc to pana cieszy?

Władysław.

Czy mnie cieszy! Niebo się przede mną otworzyło! I to po tylu dniach zwątpienia, rozpaczy! O, bo ty nie wiesz ile ja wycierpiałem!

Wanda.

Biedny!... Lecz pan zasłużyłeś na to.

Władysław.

Zasłużyłem, zasłużyłem! O, jakże ja ci za to dziękuję że mnie tak uczciwie złąjałaś!

Wanda (*śmiejąc się*).

Może powtórzyć?

Władysław.

O nie, nie, raz wystarczy, ale to mi oczy otworzyło, to mi wskazało, gdzie moje szczęście, mój raj!

Wanda.

Więc pierwszej?...

Władysław.

O, nie mówmy o tём, jak o zmorze, o złém wspomnieniu! Chodź, usiądźmy tutaj, mówmy tylko o naszej przyszłości.

Wanda (*dając się prowadzić ku kanapie, na której siadają*).

Lecz tamci czekają...

Władysław.

Co nas tamci, co nas cały świat obchodzi! My będziemy tylko w sobie, dla siebie żyli. Ja całe moje życie przepędzę u nóg twoich, patrząc w twoje oczy, ubóstwiając cię jak nadziemską istotę!

Wanda.

Całe życie u nóg moich, możeby się to panu wreszcie sprzyrzyło.

Władysław.

O nie, nigdy, byleś mnie także kochała, bo przecie mnie kochasz, musisz mnie kochać!

Wanda.

Przynajmniej tak mi się zdaje.

Władysław (*w uniesieniu*).

Moja droga, kochana Wando, Wandziu, Wandeczko!
(*chce ją w pół objąć i pocałować*)

Wanda (*odsuwając się*).

No, no, no, no, bardzo proszę!

Władysław.

Wszakże jesteśmy narzeczeni.

Wanda.

Tak, lecz na to jeszcze czas będzie. (*Pułkownik wchodzi narożnemi drzwiami po prawej, z dużym listem w niezapieczętowanej kopercie w ręku*)

Władysław.

Więc przynajmniej o rączkę proszę.

Wanda.

Że pan ciągle o coś prosić musisz! (*daje mu rękę, którą on z uniesieniem całuje*).

SCENA IX.

Ciż, Pułkownik.

Pułkownik.

Hm, hm, może przeszkadzam!

Wanda (*zrywając się*).

A!

Władysław (*wstając*).

Nie... my...

Pułkownik.

Tylko tak, rozmawialiśmy. — No, niema w tém nic złego, zresztą ja nic nie widziałem.... tylko mi się tak..! coś... zdawało, omyliłem się... oczywiście!

Władysław.

Ach panie pułkowniku, jakże jestem szczęśliwym! Pani Wanda przystaje.

Pułkownik (*z udanem zadziwieniem*).

Nie może być!

Wanda (*z wesołym wyrzutem*).

Panie pułkowniku!

Pułkownik.

Ha, ha, ha! (*do Władysława*) Wszakże ci już przed tygodniem mówiłem że cię będą swatał... ale...

Władysław (*cicho do Pułkownika*).

Zmiłuj się.

Pułkownik.

Ale, jak uważam obszedłeś się bez moich swatów. No, zawsze dobrze się stało. (*do Wandy*) To mnie cieszy i mogę szczerze pani powinszować. Bierzesz człowieka tak rozsądnego... tak statecznego.

Wanda (*na stronie, trochę zmieszana*),

Co on mówi?

Władysław.

Dajmy, pułkowniku, pokój tym pochwałam...

Pułkownik.

O nie, nie! Co prawda to nie grzech, trzeba każdemu oddać co się komu należy. Tak jest, pani, przy jego rozwadze, spokoju, zasadach wysoko moralnych, masz pani z nim szczęście życia zapewnione. Ach! gdybym mógł to samo o mojej Jadwisi powiedzieć!

Władysław.

Przecie...

Pułkownik.

Ona idzie za Władysława, sławnego birbanta, trzpio-ta, sowizdrzała.

Wanda (*na stronie*).

Ach!

Władysław.

Ależ panie pułkowniku!...

Pułkownik.

Tak jest, niestety, pędzwichra pierwszej klasy! — Trzeba takiej przyjaźni, jak ta która mnie z jego ojcem łączyła, żeby się na ten krok odważyć. Lecz ja będę nad niemi czuwał, nie spuszczę go z oka, będę pilnował każdego jego kroku.

Wanda.

Jakto?

Władysław.

To przesadzone....

Pułkownik.

Nie, nie, bynajmniej... zwłaszcza przed ślubem na krok go ztąd nie puszczę. Wszakże on podobno oprócz niezliczonej ilości mężatek, już dwie panny i trzy wdowy zbałamucił.

Wanda (*na stronie*).

A, mój Boże!

Władysław.

Nie wierz pani temu. (*na stronie*) Czy go diabli nadali!

Pułkownik.

To jest o tyle zbałamucił że obiecał się żenić, był prawie po zaręczynach, wyjechał dla jakiegoś interesu, gdzie indziej się zakochał i tyle go widziano.

Wanda (*na stronie*).

Słabo mi się robi.

Władysław.

Ależ to potwarz, to nieprawda!

Pułkownik.

Prawda, najprawdziwsza prawda, niestety! Lecz nie mówmy o tém. Przychodzę do ciebie, panie Waławie, z wielką prośbą, więcej niżeli z prośbą, z żądaniem.

Władysław.

Proszę rozkazywać. (*na stronie*) Uf! przecie skończył.

Pułkownik

(pokazując list który w ręku trzyma).

Oto jest list do pani Odolińskiej, oraz warunki intercyzy; od ich przyjęcia zależy dzisiaj małżeństwo Władysława z Jadwigą. A że w tej intercyzy są niektóre punkta delikatne, które ci objaśnię, mając zaufanie w tobie jednym panie Waławie, jako w człowieku pełnym zastanowienia, oraz i praktycznym, proszę cię byś sam do Lwowa pojechał, pani Odolińskiej to przedłożył i cały ten interes załatwił.

Wanda *(przechodząc śpiesznie do Władysława i prawie się tułąc do niego).*

Pan nie pojedziesz!

Władysław *(cicho do Wandy).*

Droga Wando! *(głośno)* Panie Pułkowniku, zapewne żebym najchętniej... lecz teraz... sam widzisz...

Pułkownik.

Widzę i żałuję że państwo na parę dni rozłączę, lecz nie mogę od tego odstąpić. Władysława pod żadnym warunkiem ztąd nie puszcę, a od zgrabnego przeprowadzenia tego interesu jego małżeństwo z Jadwisią zależy. Sam więc przyznasz że ty jeden, jako jego brat stryjeczny, niejako opiekun, Mentor, możesz i powinieś się tego podjąć. Spodziewam się że mi pani tego za złe nie weźmie a na ciebie liczę panie Waławie.

Wanda.

Ale....

Pułkownik (*do Władysława*).

Im prędzej odjedziesz, tém lepiej dla interesu i tém prędzej do pani powrócisz. Możebyś więc jutro o świcie, albo jeszcze lepiej dziś na noc wyjechał. — (*wskazując na list*) Ja tu jeszcze parę punktów dodam, które mi właśnie na myśl wpadły, a ustną instrukcją później ci udzielę. — Jeszcze raz was oboje, moi państwo, najmocniej przepraszam, lecz inaczej być nie może. — (*na stronie*) Teraz wypląćcie się z tego.

(*wychodzi narożnemi drzwiami na prawo*)

SCENA X.

Władysław, Wanda.

Wanda (*bardzo niespokojna*).

Pan nie pojedziesz, nieprawda?

Władysław (*zakłopotany*).

Cóż mam robić! — muszę.

Wanda.

Kiedy ja niechęć.

Władysław.

Odmówić niepodobna!

Wanda.

Odmów, proszę.

Władysław.

Nie mogę. <http://rcin.org.pl>

Wanda (*prosząc*).

Panie Władysławie....

Władysław.

Droga Wando, to mi serce rozdziera, ale...

Wanda.

Więc pan odmawiasz pierwszej mojej prośbie?

Władysław.

Rozważ sama...

Wanda (*urazona*).

Dobrze, więc jedź pan.

Władysław.

Moja najdroższa, najukochańsza, nie gniewaj się —
wszakże widzisz że jestem w rozpacz.

Wanda.

Wkrótce się pan pocieszysz.

Władysław.

O, nie! przysięgam ci!

Wanda (*prawie z płaczem*).

Panu to łatwo. Pułkownik mówił...

Władysław (*biorąc ją w pól*).

To nieprawda, uspokój się mój najdroższy aniele,
ja tylko ciebie jedną kocham i wiecznie kochać będę.

Wanda (*płacząc*).

Teraz pan tak mówisz, a jak pojedziesz... (*do siebie*) Trzy wdowy...

Władysław.

Jakże nie mam jechać? Słyszałaś co Pułkownik powiedział, że małżeństwo Wacława od tego zawisło.

Wanda (*z radością*).

Nie, on tego nie powiedział, on mówił małżeństwo Władysława.

Władysław.

Prawda! Z czémże ja zresztą tam pojedę?

Wanda.

Co ciotkom powiesz?

Władysław.

Jakże ułożę intercyzę na moje imie, kiedy ja się z tobą żenię?

Wanda (*klaszcząc w ręce*).

To doskonale, pan nie pojedziesz, jechać nie możesz.

Władysław.

Zapewne że nie mogę... ale tutaj trzeba rzecz wyjaśnić — trzeba Pułkownika wyprowadzić z błędu.

Wanda.

Więc mu pan powiedz.

Władysław.

A cóż się wtedy stanie z Wacławem i Jadwigą?

Wanda.

O mój Boże, o nich zapomniałam!

Władysław.

Pytanie czy Pułkownik wtedy zezwoli.

Wanda.

Gotów się rozgniewać, on bardzo gwałtowny!

Władysław.

A jednak nie widzę innego sposobu, — trzeba się przyznać.

Wanda.

Lecz pierwszej trzeba Jadwisię uprzedzić.

Władysław.

I Wacława!

Wanda.

Tak jest, chodźmy do nich.

(robią parę kroków ku narożnym drzwiom po lewej, któremi Wacław wchodzi).

SCENA XI.

Władysław, Wanda, Wacław.

Wacław.

Te panie mnie przysyłają.

Władysław.

Przybywasz w porę, czas nagli, trzeba powziąć stanowcze postanowienie.

Wanda.

Trzeba wszystko Pułkownikowi wyjawić.

Wacław.

Myśmy właśnie przeciwnie uradzili.

Wanda.

To być nie może, nie wiecie co zaszło.

Wacław.

Cóż takiego?

Wanda.

Zaraz powiem, tylko zawołaj pan tutaj te panie.

Władysław.

Właśnie nadchodzą.

SCENA XII.

Ciż, P. Rozamunda, Jadwiga.

(wchodzą narożnemi drzwiami z lewej).

Wanda.

Chodźcie panie, chodźcie co najprędzej! każda minuta droga!

P. Rozamunda.

Co? co się stało?

Wanda *(mówi prędko).*

Był tu Pułkownik, chce wysyłać do pani Odolińskiej Władysława.

Wacław, p. Rozamunda, Jadwiga *(razem).*

Władysława!

Wanda (*uśmiechając się*).

Tak jest, mojego narzeczonego.

Wacław.

Czy być może?

Jadwiga.

Jakto? z tego wielkiego gniewu?

Wanda (*do Jadwigi*).

Później ci to wyjaśnię, ale tu nie o to chodzi. Pułkownik żąda żeby on dziś jeszcze wyjechał do Lwowa układać jakąś in... in...

Władysław.

Intercyzę. Mnie cały ten interes powierza, powiada że od tego zależy wasze małżeństwo.

Jadwiga.

Zginęliśmy!

Wacław.

Tam do diabła!

Władysław.

Klniesz, to postępnij. — Ale tu trzeba radzić co nam robić wypada.

P. Rozamunda.

Wszakże od godziny nic innego nie robimy.

Wacław.

My tam uradziliśmy żeby jeszcze jakiś czas zwlekać z wyznaniem.

P. Rozamunda.

Dopóki nie wyjadę.

Wanda.

To niepodobna, — pan Władysław musiałby jechać.

Wacław.

Mniejsza o to!

Władysław.

Przepraszam, wcale nie mniejsza!

Jadwiga.

Nie w tém leży trudność!

Wanda.

To rzecz główna.

P. Rozamunda.

Moje rzeczy jeszcze niezapakowane.

Wacław.

Trzeba działać z zastanowieniem.

Jadwiga.

Papę przygotować.

Władysław.

Wypalić od razu!

SCENA XIII.

Ciż, Pułkownik (*wchodzi narożnemi drzwiami po prawej, staje i przysłuchuje się*).

Wacław.

Trzeba...

Jadwiga.

Niemożna...

Wanda.

Koniecznie...

P. Rozamunda.

Niepodobna...

Władystaw.

Być musi...

P. Rozamunda.

Być nie może...

Wanda.

Ale tak...

Jadwiga.

Ale nie...

Wacław (*biorąc się za głowę*).

Wieża Babel!

Pułkownik.

Cóż to, kłótnia?

Wszyscy (*prócz Władystawa*).

A!

P. Rozamunda.

Jakże nas przestraszyłeś!

Pułkownik.

Zapytałem tylko czy się państwo klóćcie.

Władysław.

Gdzieżtam!.... dyskussya.... między paniami
o... koronkach brabanckich.

Pułkownik.

Hm, to bardzo ważna sprawa. — Nad tém wypada się zastanowić. Dobrze, złożymy sessya, ja będę prezydował i rozstrzygał zarazem, bo ja się doskonale znam na koronkach... brabanckich.

P. Rozamunda.

Dzieciństwo, to między nami.

Wanda.

Kwestya toaletowa...

Pułkownik.

Przepraszam, gabinetowa! Od tego nie odstąpię. Za-
tém posiedzenie otwarte; którą z pań pierwszą mam
zapisać do głosu.

Jadwiga.

Proszę papy...

Pułkownik.

Ty chcesz pierwsza mówić? Słusznie, jak na ra-
dzie wojennej: najmłodsza pierwsza ma głos. (*słychać
za sceną trzaskanie z bicza*) O, ale nam ktoś przeszkodzi.
(*Zbliża się niby od niechcienia do okna, które otwiera; spój-*

rzawszy, na stronie) To moja niespodzianka! *(głośno)*
 Jakiś kocz podróżny, panie Wacławie, zobacz kto to
 zajechał na dziedziniec? *(Władysław i Wacław rzucają*
się równocześnie do okna)

Władysław i Wacław *(razem).*

Ciotki! *(odskakując od okna i jakby nieprzytomnie szu-*
kając wyjścia w różnych kierunkach, chodzą po scenie tak,
ażeby zamieszanie powiększyć)

Wanda, Jadwiga, P. Rozamunda *(razem).*

A! *(Wanda i Jadwiga uciekają do pierwszych drzwi*
po lewej)

P. Rozamunda *(padając na kanapę).*

Ach! moje spazmy.

Władysław *(chwytając się za szczękę).*

Ach, co za przeciąg!... Szalony ból zębów! *(wy-*
biega do pierwszych drzwi po prawej)

P. Rozamunda.

Ach! ach!

Wacław *(dostając chustkę do nosa).*

Krew z nosa... przepraszam... *(wybiega w głębi*
na lewo)

P. Rozamunda.

Umieram! mdleję! *(zrywając się na równe nogi)* Nie!
 U siebie zemdleję. *(wybiega narożnemi drzwiami po lewej).*

SCENA XIV.

Pułkownik (*sam*).

Ha! ha! ha! Oto im bombę puściłem! (*ogłędając się*)
Tylu zabitych ile rannych, ale nikt nie zginął! Ha! ha!
ha! wnet się wszyscy znajdują! Lecz idźmy przywitać
te panie. (*idzie ku głębi, którędy wchodzi: p. Odolińska,*
p. Majorowa i p. Agata).

SCENA XV.

Pułkownik, pani Odolińska, pani Majorowa, panna Agata.

P. Odolińska (*wchodząc*).

Kochany pułkowniku, jakże ci jestem wdzięczną!

Pułkownik (*całując ją w rękę*).

Łaskawa pani, ja to przepraszam że śmiałem panie
tu zawezwać.

P. Majorowa (*podając mu rękę*).

Kolego, sługa.

Pułkownik.

Dawno się nie widzieliśmy.

P. Majorowa.

To nie, zawsze jesteś jary; na koniu jeździsz?

Pułkownik.

Naturalnie. *(do Agaty)* Panno Agato, sługa najniższy.

P. Agata.

Ach drogi Pułkowniku, uszczęśliwiłeś nas. Cóż Władzio?

Pułkownik.

Dopiero tu był, wnet go panie obaczycie. *(klaszcząc w dłonie)* Hola! hej! *(wchodzi Grzegorz i Mykita)*

SCENA XVI.

Ciż, Grzegorz, Mykita.

Pułkownik

(do Grzegorza, wskazując mu pierwsze drzwi po prawej).

Idź do pana Wacława, powiedz że jego ciotki i ja prosimy, żeby tu natychmiast przyszedł *(ciszej)* bez wymówek, rozumiesz?

Grzegorz.

Rozumiem, panie pułkowniku. *(wychodzi pierwszemi drzwiami po prawej)*

Pułkownik *(do Mykity).*

A ty, Mykito, znajdziesz w ogrodzie pana Władysława, to samo mu powiesz i przyprowadzisz go tu. *(Mykita wychodzi w głębi po lewej, Pułkownik do dam)* Wybaczcie panie że mi się moi goście trochę porozbiegali, zaraz ich pozbieram.

P. Odolińska.

Ach pułkowniku, żebyś wiedział, jak mnie twój telegram uszczęśliwił.

P. Majorowa.

Ale nas forsownym marszem sprowadziłeś.

P. Agata.

Gdy przeczytałam że jedynym warunkiem do szczęścia Władzia jest nasze przybycie na zaręczyny, oczom moim wierzyć nie chciałam!

Pułkownik.

Miałem do tego ważne powody. Lecz pozwólcie panie bym najprzód moje damy zawołał. (*idzie do narożnych drzwi po lewej*)

P. Odolińska.

Widzicie że silną wolą zawsze się cel osiąga.

P. Majorowa.

Tak jest, subordynacya i kwita!

Pułkownik (*który drzwi p. Rozamundy otworzył*).

Siostruniu, chodźże te panie przywitać...

SCENA XVII.

Ciż, pani Rozamunda (*w płaszczu podróżnym i kapeluszu na głowie*).

Pułkownik.

Cóż to? tyś w podróżnym stroju?

P. Rozamunda.

Ja myślałam... chciałam wyjechać na spacer... nie wiedziałam...

Pułkownik (*na stronie*).

Chciała dać drapaką!

P. Rozamunda.

Witam kochane panie.... jakże się niezmiernie cieszę....

P. Odolińska.

Przeciwnie, to my, co tyle pani zawdzięczamy. (*panie się witają*)

Pułkownik (*otwierając pierwsze drzwi po lewej*).

Jadwisiu! Pani Wando! Nie kryjcie się! Ranny ubiór nie nie szkodzi, bardzo wam do twarzy! Proszę! (*z naciskiem*) bardzo proszę!

SCENA XVIII.

Ciż, pani Wanda, Jadwiga.

Pułkownik (*prezentując p. Wandę*).

Pani Wanda Łoniewska, moja sąsiadka i przyjaciółka mojej córki. (*cicho do p. Odolińskiej*) Ma dwa miliony gotówką!

P. Odolińska (*bardzo uprzejmie do p. Wandy*).

Bardzo miło mi poznać przyjaciółkę tak zacnego domu.

Wanda (z głębokim ukłonem).

Pani...

Pułkownik.

A oto moja Jadwisia!

P. Majorowa.

Ładna, na honor, ładna!

Pułkownik.

Narieczona pana Władysława.

P. Odolińska.

Kochane dziecko. *(całuje ją w czoło)*

(Pani Majorowa silnie za rękę ściska Wandę, potem Jadwigę. Obie zlekka okazują że ich ręka zabolata).

SCENA XIX.

Ciż, Władysław. Wacław.

(Władysław ukazuje się w pierwszych drzwiach po prawej, za nim Grzegorz, który zaraz wychodzi w głębi po prawej. Wacław wchodzi w głębi po lewej, za nim Mykita, który ukazawszy się chwilę wychodzi po prawej. Oba wchodzi powoli i nieśmiało).

Pułkownik *(spostrzegając ich).*

No! Przecie przybywają i nasi panowie!

P. Agata *(biegnąc do Władysława).*

Mój drogi, kochany Władziu!

Pułkownik (*udając wielkie zadziwienie*).

Co, Władzio? Co to jest? Co to znaczy?

P. Odolińska.

Jakto, co takiego?

Pułkownik (*wskazując Władysława*).

To Władysław! (*wskazując na Wacława*) Więc tamten?....

P. Majorowa.

Cóż tamten! To mój syn Wacław!

(Scena milcząca. Pani Odolińska, pani Majorowa i panna Agata patrzą po sobie i po wszystkich w osłupieniu. P. Rozamunda, Jadwiga, pani Wanda, Władysław i Wacław stoją ze spuszczonei oczami. Pułkownik patrzy po wszystkich z początku ze zmarszczonemi brwiami, bardzo groźnie, wreszcie okazuje że mu się śmiać chce)

Pułkownik (*na stronie*).

Co za miny powarzone! (*parskając śmiechem*) Dłużej nie wytrzymam. (*śmieje się*)

P. Odolińska (*jeszcze z większém zadziwieniem*).

Pułkowniku, co to wszystko znaczy?

P. Majorowa.

Niech zginę jeżeli rozumiem co się tu dzieje!

P. Agata.

To jakaś sztuczka Władzia!

P. Majorowa (*groźnie*).

Sztuczka! Rozstrzel....

Pułkownik.

Tak jest, to sztuczka Władzia! Wybaczcie panie że śmiechu powstrzymać nie mogłem, lecz ci oto panicze chcieli wywieźć w pole starego lisa, ale podobno stary lis ich w pole wyprowadził.

Wszyscy (*prócz pani Odolińskiej, pani Majorowej i panny Agaty*).

On wiedział!

Pułkownik.

Od pierwszej chwili.

P. Odolińska (*bardzo seryo*).

Lecz my radebyśmy wiedzieć, bo tu jest jakaś mistyfikacya.

P. Majorowa (*w gniewie*).

Mistyfikacya! Kroć....

Pułkownik.

Nie gniewajcie się panie, ja wszystko wyjaśnię... dając moją córkę panu... Wacławowi.

Wacław (*przyskakując do niego*).

Ach panie pułkowniku!

Jadwiga (*całując go w rękę*).

Kochany papo!

P. Majorowa.

Co, mojemu cywiliście?

Pułkownik.

Tak pani, on zdobył pozycya!

P. Majorowa (*do Wacława*).

Uściskaj mnie chłopcze. (*ściska go*)

P. Odolińska.

Za pozwoleniem, cóż będzie z Władysławem?

Pułkownik.

Władysława na moją odpowiedzialność wyswatałem (*wskazując na Wandę*) z panią Łoniewską.

P. Odolińska (*na stronie*).

Dwa miliony! (*bardzo uprzejmie do Wandy*) I pani?..

P. Majorowa.

Przyjmujesz tego szaleńca?

Wanda.

Powierzam mu moje szczęście.

P. Agata.

I nie zawiedziesz się pani.

Władysław.

Za to rękę honorem. (*całuje w rękę Wandę*)

Pułkownik.

Teraz powiedzcie mi panie czy dobrze wszystko ułożyłem?

P. Odolińska.

Kochany pułkowniku, nie mogę tylko ci podziękować.

P. Majorowa (*podając mu rękę*).

I ja, do kroćset!...

Wszyscy (*cisnąc się około Pułkownika*).

I ja! i ja! i ja!

Pułkownik.

No, no, no, bo mnie udusicie, a na to nie zasługuję, gdyż poszedłem tylko drogą wskazaną mi przez (*wskazując na Władysława*) Mentora.

K O N I E C.

CONSILIUM FACULTATIS,

KOMEDYJKA

W JEDNYM AKCIE, PROZĄ.

PRZEDSTAWIONA PORAZ PIERWSZY WE LWOWIE

dnia 22 Marca 1871.

ZYGMUNTOWI

SARNECKIEMU

W DOWÓD PRZYJAŹNI

AUTOR.

OSOBY.

PAN KASPER BOLBECKI.

MAŁGORZATA, jego żona.

ANUSIA, ich córka.

ZDZISŁAW MORZYCKI.

WŁADYSŁAW SZOCKI.

DOKTOR RZESZKO.

WALUŚ, służący

JOASIA, służąca

} u państwa Bolbeckich.

Rzecz dzieje się na wsi u pana Bolbeckiego.

CONSILIUM FACULTATIS.

Teatr przedstawia salon wiejskiego domu, w głębi dwoje drzwi, między niemi stolik. Po prawej, w pierwszej kulisie drzwi szklane do ogrodu — w drugiej drzwi do pokoju pana Kaspra, w trzeciej szafa, w niej talerze, butelka wina, szklanki, noże, grabki, łyżki i t. p. Na przodzie sceny małe biurko, na niem kałamarz, papier, pióra, i t. p. — przed niem krzesło. Po lewej w pierwszej kulisie kominek, w którym się pali, przed nim mała kanapka i okrągły stolik. Na nim karafka z wodą, para szklanek i kalendarz. W drugiej kulisie drzwi do pokoju pani Małgorzaty, w trzeciej drzwi do pokoju Auusi. Para krzeseł. Przy podniesieniu kurtyny Waluś śpi ze szkandelą w ręku, siedząc na kanapie.

SCENA I.

Waluś, Joasia.

Joasia (wbiegając z pokoju pana Kaspra).

Waluś... Waluś!... Gdzież ta szkandela?
(*sposztrzegając że Waluś śpi*) Waluś!!...

Waluś (przebudzony zrywa się i biegnie ku drzwiom szklanym)

He!... co?... Kataplazm!... zaraz!...

Joasia.

Ależ... nie kataplazm — lecz szkandelę... szkan-
delę dawaj co prędzej!

Waluś (*zaspany*).

Szkandele?... Jaka szkandele?... Ja żadnej szkandeli nie widziałem.

Joasia.

Ta — ta, którą w ręku trzymasz! — Obudźże się raz śpiochu!

Waluś (*jakby we śnie*).

A — tak! — szkandele...

Joasia.

Zanieś ją żywo! Pan od kwadransa na nią czeka.

Waluś (*otwierając powoli szkandele*).

Kiedy zgasła!

Joasia.

Nałóż żaru! — tylko prędko — prędko — bo pan klnie — aż się szyby trzęsą!

Waluś (*nakładając szczypcami z kominka żaru do szkandeli*).

Klnie? — to nic nowego. — Ach! Panno Joasiu! Panno Joasiu! — Panna nie wiesz co to jest być sierpiącym!

Joasia.

Ty — cierpiący?... jeszcze czego!

Waluś.

Ach! i jak sierpiąsy! — Panna nie uwierzysz — a jednak... o teraz... w tej chwili... (*ziewa*) tak mi się spać chce, że ledwie się na nogach trzymam.

Joasia (*śmiejąc się*).

Ty to nazywasz być cierpiącym!

Waluś.

A jakże — mnie się ciągle — ale to ciągle — albo spać chce, albo jeść, tak jak naszemu panu. A gdzież tu człowiek kiedy wyspać się może w tym domu.

Joasia.

Ależ ty śpisz cały dzień.

Waluś.

Ot — w dzień mrugnę czasem okiem, ale za to w nocy... Ach! co to za noce!... Zaledwie z wieczora się położę — już pan woła...

P. Kasper *(za sceną)*.

Waluś! szkandele, do kroćset diabłów!... dawaj szkandele!

Waluś.

Zaraz! zaraz!... *(do Joasi)* Otóż to tak prawie noc w noc — co tylko się zdrzemnę, pan krzyczy: „Waluś! szkandele! Waluś — rumianku! — Waluś, grzej kaszę! — Waluś, rozcieraj krzyże! Waluś to — Waluś owo!“ — A do tego jak pan czasem za łeb chwyci, to aż włosy trzeszczą... tak jak tamtej nocy.

Joasia.

Jakże cię nie miał za łeb chwycić, kiedyś mu wrzącą kaszę na brzuch położył.

Waluś.

A któż tam może wiedzieć jakiej potrzeba? Nakażywał żeby kataplazm był ciepły — położyłem mu ciepły... a jak ta kasza pachniała!

Joasia.

Fe! — kataplazm... wstydzilibyś się... Ot — nie myślałbyś wciąż o jedzeniu, a pośpieszył się raczej.

Waluś.

Tak — śpieszyć się! — zawsze się śpieszyć!... ła-two to mówić... kiedy ja ledwie nogami płaczę, i sam się lada dzień położę...

P. Kasper *(za sceną)*.

Waluś! — łotrze przekłety! — dawaj szkandele, bo ci łeb urwę!

Waluś.

Słyszysz panna Joasia? „Ja ci łeb urwę“... a ja taki sierpiąsy! *(krzyczy ku drzwiom)* Zaraz panie — zaraz — tylko się zagrzeje. *(do siebie)* A ja taki sierpiąsy!

Joasia.

Już to, między Bogiem a prawdą, mnie się zdaje żeś ty taki chory jak i nasz pan. Oba nic — ale to nic zgoła nie robicie, tylko jecie i śpicie; naturalnie że potem...

P. Kasper *(za sceną)*.

Waluś! — hultaju! — łotrze! kości ci połamię!...

Waluś.

Teraz kości połamię!...

SCENA II.

Anusia, Joasia, Waluś.*Anusia (wchodząc z pokoju Kaspra).*

Waluś! — prędkiej! — Słyszysz że papa się niecierpliwi; to mu może zaszkodzić.

Waluś (na stronie).

Raczej mnie zaszkodzi. *(do drzwi wychodząc)* Niose już, — niose! *(wychodzi do pokoju p. Kaspra)*

Anusia.

Czy mama śpi jeszcze?

Joasia.

Dotąd pani nie dzwoniła.

Anusia.

Biedna mama! — prawie całą noc czuwała przy papie — ledwie nad ranem ją namówiłam żeby poszła odpocząć.

Joasia.

Już to przyznać trzeba, że mieliśmy znowu noc burzliwą.

Anusia.

Papa tak cierpiał!

Joasia.

. Zapewne; — ale, z przeproszeniem panienki, mnie się zdaje że to inaczej być nie może...

Anusia.

Jakto?

Joasia.

Niech no panienka porachuje co to wczoraj pan zjadł przy wieczerzy. Marynatę z węgorza, wieprzowinę z kapustą, pierogi z powidłami — i pół melona.

Anusia.

Tak — zapewne — może to trochę za wiele.... ale przecie nieboszczyk doktor Hugo tak ścisłej diety nie nakazywał.

Joasia.

Bo sam przy panu doskonale zajadał, a trzeba było wstać bardzo rano żeby go zupełnie trzeźwym obaczyć. Zalewał on też pana miksturami, i karmił pigułkami — Boże zlituj się! *(na stronie)* Wołu by zabił!

P. Kasper *(za sceną)*.

Aj!... pieczesz mnie! — pieczesz — bałwanie!...

Waluś *(za sceną)*.

Aj!... aj!... aj!... puść pan!... puść!... *(słychać łomotanie w pokoju pana Kaspra)*.

SCENA III.

Anusia, Joasia, Waluś, *(później)* p. Kasper.

(Waluś wpada ze szkandełą w rękę, przebiega scenę i wybiega drzwiami po lewej w głąb. — P. Kasper w szlafroku, białych

flanelowych spodniach i pantoflach, z matą poduszką, jaśkiem zwaną, w rękę, wbiega i rzuca ją za Walusiem, tak ażeby trafił we drzwi już zamknięte)

Anusia.

Co to jest? — co on papie zrobił?

P. Kasper

(podnosząc poduszkę, którą bierze pod lewe ramie i macając się po prawém udzie)

Bałwan!... co zrobił? upiekl mnie szkandela!... cymbał!... O!... A teraz idę spać! — nie budzić mnie — chyba doktor przyjechał. *(wychodzi do swego pokoju)*

Joasia.

Założę się że Walus zasnął wygrzewając panu łóżko.

Anusia *(spoglądając na zegar).*

Dziwi mnie że jeszcze doktora nie widać.

Joasia.

Posłano po niego bryczkę do Przemyśla, jeszcze przed trzecią zrana, zapewne go niema w domu.

Anusia.

Przyznam ci się moja Joasiu, że jestem trochę niepokojną względem tego nowego doktora, który się tu z Tarnowa sprowadził; — nie znamy go — nie wiemy czy zdatny....

Joasia.

Bądź co bądź — będzie on zawsze zdatniejszym od starego doktora Hugo.

Anusia.

Być może, ale papa miał w tamtym zaufanie.

Joasia.

Za wiele zaufania. *(na stronie)* Uwierzył że chory. *(słysząc za sceną turkot powozu — Joasia patrząc przez szyby drzwi szklanych)* Panienko! panienko! — Pan doktor przyjechał! — A jaki on młody! — a jaki przystojny! — To będzie mąż dla panienki.

Anusia *(z nieukontentowaniem).*

Co ty pleciesz!

Joasia.

Biegnę go tu wprowadzić. *(wybiega w głębi po prawej).*

SCENA IV.

Anusia *(sama).*

Młody — przystojny. O! ja biedna, nieszczęśliwa! — Właśnie tego się obawiałam. Jak długo żył poczciwy, stary doktor Hugo, truchlałam o przyszłość, ale miałam przynajmniej spokój — a teraz... ten doktor młody, przystojny -- jak go ojciec obaczy...

SCENA V.

Anusia, Joasia, Zdzisław.

Joasia *(wprowadzając Zdzisława).*

Tędy proszę pana doktora! tędy!

Zdzisław.

Dziękuję — ale ja nie jestem...

Joasia.

Oto panienka! *(kłania się i wybiega do pokoju p. Kaspra)*

Zdzisław *(sposstrzegając Anusię).*

Ach! ach! Panno Anno! jakże jestem szczęśliwy!

Anusia.

Co?.... Pan!.... Pan Zdzisław.... O mój Boże!
Ach!.... *(bierze się za serce na pół omdlała)*

Zdzisław *(przyskakując do niej i biorąc ją za rękę, którą całuje).*

Pani! — ach pani! — to wzruszenie... ileż szczęścia mi zwiastuje!

Anusia.

Wybacz pan! — lecz pańskie przybycie tak niespodziewane...

Zdzisław.

Jakto? pani o mnie pamiętałaś i mogłaś wątpić...

Anusia.

O, nie, nie wątpiłam — lecz gdy się ostatni raz rok temu u ciotki widzieliśmy, pan mówiłeś że dopiero gdy będziesz miał stanowisko w świecie zapewnione, przybędziesz...

Zdzisław.

Żeby pani rodziców prosić, błagać na kolanach, by mi panią... by mi ciebie, droga Anusiu, za żonę dali.

Anusia.

A więc teraz....

Zdzisław.

Zostałem Inżynierem pierwszej klasy przy kolei Przemysko-Łupkowskiej.

Anusia (*smutno*).

Inżynierem!

Zdzisław.

Tak jest — mam doskonałą posadę.

Anusia.

Niestety!

Zdzisław.

Jakto? — „niestety!“ Wszakże ta posada przynosi mi cztery tysiące reńskich rocznej pensyi i teraz mogę śmiało....

Anusia.

Ach! mylisz się panie Zdzisławie — mylisz, niestety!

Zdzisław.

Co? — ja nie mam czterech tysięcy?...

Anusia.

Nie o tём mówię — lecz że mój ojciec ułożył sobie nie wydać mnie tylko za doktora.

Zdzisław.

Ależ to szaleństwo!... O!... przepraszam...

Anusia.

Będąc bardzo słabowitym, chce mieć zięcia doktora.

Zdzisław.

A!... a!... to się nie godzi! — Ja mu powiem...

Anusia.

Zlituj się pan, uważaj że to jest człowiek osłabiony.

Zdzisław.

Czy chcesz pani bym się dla tego wyrzekł nadziei?

Anusia (*smutno*).

Ja jej nie mam.

Zdzisław.

Co? czy dobrze słyszałem — ty! — ty panno Anno która w tej chwili okazałaś mi takie wzruszenie — tyle uczucia — możesz spokojnie przyjmować myśl rozstania się na zawsze? Więc to wzruszenie było udaném, Pani mnie nie kochałaś! — Pani zażartowałaś sobie ze mnie.

Anusia.

Panie Zdzisławie! Czy zasłużyłam na takie podejrzenie?

Zdzisław.

Wszakże mi pani sama odbierasz nadzieję — przystajesz na to, być żoną innego!... Doktora!...

Anusia.

O! nie, panie Zdzisławie! jesteś w błędzie. Moją powinnością jest być posłuszną ojcu, więc nie pójdę za męża wbrew jego woli, ale być żoną innego....
raczej umrę!

Zdzisław (*chwytając ją za rękę, którą całuje*).

Anusiu! — drogi — kochany aniele! — nie — ty nie umrzesz — bo cię kocham nad życie! — ty będziesz... musisz być moją!

Anusia.

To co ci przyrzekłam, dotrzymam święcie, więcej nie. A teraz oddal się ztąd! oddal co najprędzej!

Zdzisław.

Jakto? — chcesz żebym się oddalił? — teraz gdy mi się niebo otwiera? — O! nie — szczęście daje mi odwagę, ja tu zostanę — ja ciebie od ojca wyproszę, wyblagam, zdobędę.

Anusia.

Ależ to niepodobna! — mój ojciec chory, przytęm trochę... trochę... uparty... Nie będzie chciał nawet mówić z tobą.

Zdzisław.

Co? — niema sposobu widzenia się z nim?

Anusia,

Powiadam ci że jest chorym — lada chwila oczekujemy tu doktora Rzeszkę.

Zdzisław.

Rzeszkę!... brawo!... wiwat!... wygraliśmy!... wygrali!..

Anusia.

Co?... co?... mów! — jakaż myśl?!...

Zdzisław.

Tak jest! tak! myśl paradna! przepyszna! genialna!

Anusia.

Ale przecie...

Zdzisław.

Posłuchaj mnie! — Byłem wczoraj u państwa Doreckich w Nowosiólkach dla przejrzenia robót przy kolei. Zostałem tam mego dawnego przyjaciela doktora Rzeszkę. Mówił mi że chce tu być w przyszłym tygodniu, żeby się twoim rodzicom przedstawić, gdyż teraz musi jeszcze parę dni zabawić u Doreckiego, którego stryj jest niebezpiecznie chory; będę więc przez tych parę dni tu uchodził za doktora Rzeszkę.

Anusia.

Ależ to myśl szalona!

Zdzisław.

Zbawienna, powiedz raczej. — Podczas tych kilku dni twój ojciec mnie pozna, podobam mu się, zawojuję go — i wszystko będzie dobrze!

Anusia.

Mówisz jak gdybyś zmysły postradał: wszakże mój ojciec chory, jakże chcesz udawać doktora nie znając medycyny?

Zdzisław.

Moja w tém głowa.

Anusia.

Wreszcie możesz mu zaszkodzić.

Zdzisław.

Gdzież tam. Wyobrazisz sobie jak żywo mnie wszystko obchodzi, co się waszego domu tyczy. Więc

u Doreckich, którzy przecie są waszemi najbliższymi sąsiadami, dopytywałem się o najdrobniejsze szczegóły usposobienia twoich rodziców, ażeby wiedzieć jak im się przypodobać. — Otóż mówili mi — ale się nie gniewaj — że twój ojciec — chory na imaginacją — a raczej trochę... na zbyt dobry apetyt...

Anusia.

Właściwie... i mnie się tak zdaje.

Zdzisław.

Widzisz zatem że skoro mu nic nie jest — kurować go nie będę, więc i zaszkodzić mu nie mogę.

Anusia.

Kiedyż bo on się chce kurować bez ustanku.

Zdzisław.

Już ja mu to jakoś wyperswaduję.

Anusia.

Lecz cóż mama na to powie? Ona nigdy nie zezwoli.

Zdzisław.

My też jej nic nie powiemy; — wszakże wiem że ona zawsze się turbuje zdrowiem ojca; trzeba więc żeby także miała mnie za doktora.

Anusia.

Nie — nie — to niepodobna! to istne szaleństwo!

Zdzisław.

Więc lepiej żebym odjechał? żeby nasza miłość, nasze nadzieje na niczem spełzły, albo przynajmniej na nieograniczony czas odłożonemi zostały?

Anusia.

Tego nie mówię... lecz...

Zdzisław.

Żebyśmy się znowu parę lat nie widzieli?

Anusia.

Ale...

Zdzisław (*z uśmiechem*).

Czyż nie uważałaś że nawet służąca wzięła mnie za doktora gdy tu wchodziłem?

Anusia (*uśmiechając się*).

Prawda, Joasia tytułowała cię doktorem.

Zdzisław.

To przeznaczenie przemówiło przez usta tej niewinnej dziewczyny. (*biorąc Anusię za rękę*) Zaufaj więc, droga Anusiu, przeznaczeniu, mojej miłości i mojemu rozsądkowi.

Anusia.

Sama nie wiem czy cię mam wsłuchać.

(*słychać za sceną chrząkanie z lekkim kaszlem p. Kaspra*)

Zdzisław.

Cyt, zdaje mi się że to twój ojciec nadchodzi.

Anusia.

Ledwie żyję!

SCENA VI.

Cięż, P. Kasper.

(P. Kasper bardzo gruby i czerwony, włosy szpakowate kędzierzawe, wąs zawieszisty, — w szlafroku, lecz pod spodem całkiem ubrany. Mówi słabym głosem, ale mocnym stęka)

P. Kasper *(wchodząc po prawej)*.

Ę... mówiła mi Joasia... ę... że pan doktor Rzeszko przyjechał... ę... gdzież jest?...

Zdzisław *(z ukłonem)*.

Do usług pana dobrodzieja... Doktor Rzeszko.

P. Kasper.

Ę... miło mi poznać pana konsyliarza... ę... Anusiu chodź tu... ę... niech się na tobie oprę. *(Anusia i Zdzisław zbliżają się do niego, biorą go z obu stron po pod rękę i prowadzą do kanapy. P. Kasper suwa nogami)*

Zdzisław.

Proszę pana dobrodzieja.

P. Kasper.

Ę... ledwie się na nogach trzymam... ę... tam... do kanapy... ę... oj... Anusiu, przynieś mi jaśka. *(Anusia wychodzi do pokoju p. Kaspra i zaraz wraca z poduszką. P. Kasper na w pół rozciąga się na kanapie)* Uf! jakże się zmęczyłem!

Zdzisław *(na stronie)*.

Czyżby on był chorym w istocie?

P. Kasper.

Przybywasz w porę konsyliarzu... ę... a może już i za późno...

Zdzisław.

Ale gdzieżtam...

Anusia.

Wszakże papie teraz lepiej.

P. Kasper (*silnym głosem*).

Diabła starego mi tam lepiej! (*słabym głosem*) Oj, jestem chory, bardzo chory, konsyliarzu... trzeba się będzie wynosić.

Zdzisław.

Ba, ba, ba, co za myśli...

Anusia (*do Zdzisława*).

Papa tylko tak mówi....

P. Kasper (*silnym głosem*).

Kiedy powiadam że trzeba się wynosić, to trzeba i basta! -- Czego mi się sprzeciwiasz?

Zdzisław.

No, no, no, powoli... nie irytujmy się.

P. Kasper (*przechodząc w słabszy głos*).

Hm, bo ta, ta... zawsze swoje słowo wściubić musi... (*do Anusi*) Ale bo też po co tu stoisz i wtrącasz się do konsultacyi; poszłabyś lepiej się wyspać do swego pokoju. (*głaszcząc ją pod brodę*) Biedne dziecko, od trzeciej zrana przy mnie siedziała. Idź Anulku, idź, wypocnij sobie. Jak to biedactwo pobladło...

Anusia.

Możeby papa pozwolił zostać?

P. Kasper *(żywo)*.

Kiedy powiadam idź spać, to idź spać i basta. Ja się tu z doktorem rozmówię. No, pocałuj mnie ma-
leńka. *(Anusia całuje go w czoło, kłania się Zdzisławowi
który jej ukłon oddaje. Gra mimiczna między niemi: ona
jak gdyby polecała ojca jego opiece, on jak gdyby ją za-
pewniał że będzie roztroprnym. Anusia wychodzi do drugich
drzwi po lewej).*

SCENA VII.

P. Kasper, Zdzisław.

P. Kasper.

Powiadam ci tedy, konsyliarzu, że ze mną bardzo
źle, bardzo...

Zdzisław.

Obaczymy to...

P. Kasper.

Nie mam apetytu...

Zdzisław *(zadziwiony)*.

He?

P. Kasper.

Powiadam że nie mam apetytu... to jest niby... tam
czasem coś, ot tak przetracę... ale żeby mi tak smako-

wało, tego nie powiem... ot tak, skosztuję jednej potrawy, drugiéj...

Zdzisław (*zapominając się*).

Trzeciéj...

P. Kasper.

Czasem nawet i czwartéj, ale bez smaku, dalibóg bez smaku.

Zdzisław.

Ileż razy pan dobrodzieju na dzień jadasz?

P. Kasper.

Jak się uda, panie konsyliarzu dobrodzieju, jak się uda. Tak zwyczajnie, to rano, między dziewiątą a dziesiątą wypiję kawę; już to wtedy prawda że zjem pięć, sześć rogalków i parę kromek chleba z masłem, ale to tylko wtedy gdy chleb świeży jest w domu; — potem koło jedenastej, napiję się wódki i przetrączę jakiego rozbratla albo sznycla. — Około pierwszej żona każe dać wódeczki i trochę kawioru, sardelek, konfitur... tak tylko dla zaostrzenia apetytu przed obiadem; — no, potem obiad o drugiej i już nic nie jem, tylko około piątej napiję się kawy i zjem trochę owoców z kwaśną śmietaną. — Tak zostaję już naczeczko aż do ósmej, bo my wieczерzę o ósmej jadamy, żeby wczesniej pójść spać... pojmujesz pan, będąc chorym...

Zdzisław.

Pojmuję, pojmuję doskonale...

P. Kasper.

Nieprawda że to zdrowo wczesnie iść spać?

Zdzisław.

Naturalnie!... A jakże u pana dobrodzieja z pragnieniem?

P. Kasper.

Ęęę...

Zdzisław.

Ęęę?

P. Kasper.

Jak piję piwo, to mam smak do wina węgierskiego, jak piję węgierskie, to chciałbym czerwonego francuzkiego; — jak piję francuzkie, to mi się niby chce szampańskiego, bo to musujące, panie, musujące... ale zebym tak miał smak prawdziwy, to nie... Ot tak jedno co mi czasem smakuje i to tylko niby, to kieliszek starki, tak koło jedenastej, ale drugi przed obiadem już mi nie tyle smakuje.

Zdzisław.

Drugi już nie tak smakuje? No proszę!

P. Kasper.

Tak samo i ze snem; skoro się prześpię po śniadaniu, mogę być pewnym że mi się po obiedzie drzemka nie uda. A niechże czasem, przypadkiem obie się udadzą, co bardzo rzadko, chyba na wielki upał, albo na deszcz, wtedy bądź zdrów z nocą!

Zdzisław.

Nie może być!

P. Kasper.

Oho! Wtedy więcéj jak ósm, dziewięć godzin nie odeśpię żeby tam nie wiem co!

Zdzisław.

To w istocie nie do uwierzenia!

P. Kasper (*z westchnieniem*).

A jednak tak jest, niestety! Tak jest, tak, konsyliarzu, wynoszę się, niema co mówić, ja się wynoszę! (*wstając*) O! ale cóż to za przeciąg między temi drzwiami a kominkiem, możnaby się paraliżu nabawić. Wiesz co konsyliarzu, pójdźmy raczej do mego pokoju, tam wypocznę trochę i opowiem ci jeszcze niektóre szczegóły, które tutaj... (*wskazując na publiczność*) pojmujesz...

Zdzisław.

A tak, tak, naturalnie.

P. Kasper (*na stronie*).

Znakomity lekarz! Oto, żeby mi się udało złapać go sobie na zięcia! (*głośno*) Podaj mi rękę doktorze... widzisz, ledwie lazę!

Zdzisław.

Służę panu dobrodziejowi.

(*podaje mu rękę, wychodzą razem po prawej*).

SCENA VIII.

P. Małgorzata (*wchodzi pierwszemi drzwiami po lewej*).

Zdaje mi się że za długo spałam, a może to już czas dać lekarstwo mojemu staremu. Prawda że tam Anusia jest przy nim. (*patrząc na zegar na kominku*) Pół do jedenastej. To być nie może, musiał się zegar popsuć. (*nadstawiając ucha do zegara*) Idzie, to szczegółna! Ale jakoś cicho w domu, może pozasypiali, muszę ci-chutko zajrzeć... (*idzie na palcach ku drzwiom p. Kaspra, słysząc za sceną od drzwi szklanych turkot powozu. P. Małgorzata zatrzymuje się*) Ktoś zajeżdża; nieznośny turkot, jeszcze mi Kasprunia obudzą. (*idzie do drzwi szklanych*) Zapewne doktor... ale jakiś młody, taki mleczak doktorem! Ha! dziś cały świat przewrócony do góry nogami! Niechże tu kto potrafi mieć zaufanie! No, no, już to ja mu brykać nie dam: poradzić go się, poradzę względem Kasprunia, ale będę się trzymała recept pocziwego Hugocia.

SCENA IX.

P. Małgorzata, Władysław.

Władysław (*wchodząc w głębi i kłaniając się*).

Pani...

P. Małgorzata (*na stronie*).

Wyraźnie dzieciak, (*głośno*) Panie do...doktorze...

Władysław

Przepraszam panią... to jest przepraszam ciocię...
bo już teraz ciocię poznaję; ja nie jestem doktorem,
lecz cioci siostrzeńcem, ja jestem Władysław Szocki.

P. Małgorzata.

Jakto, pan... ty...

Władysław.

Jestem Władziem...

P. Małgorzata (*wyciągając do niego rękę*).

Ty... ty jesteś Władziem!

Władysław.

Tak jest, kochana ciociu!

P. Małgorzata.

A moje dziecko, niechże cię uściskam, wycaluję!
Nigdy, nigdy nie byłabym cię poznała! Tyle lat cię
nie widziałam! Takim, takim byłeś chłopczykiem.

Władysław.

Wyrosłem, ciociu, nieprawda?

P. Małgorzata.

A przecie powinnabym cię poznać, tak mi mego
biednego brata przypominasz.

Władysław.

Ależ ojciec wcale nie biedny, zdrow, dobrze mu się
powodzi i on mnie tu właśnie przysyła...

P. Małgorzata.

Ach, mój Boże, zapomniałam!...

Władysław.

Niech się ciocia wcale nie troszczy: ojciec chce już raz tę dawną waśń z wujem zakończyć i dlatego mnie tu przysyła, żebym się wujowi przedstawił i prosił by wszelkie zatargi na zawsze w niepamięć poszły.

P. Małgorzata.

Ach, jak mnie to cieszy!... Ale teraz jakże to zrobić? Mój mąż słaby, samo wspomnienie imienia mojego brata zawsze go w gniew wprowadza, tem bardziej obawiam się tego teraz, gdy wskutek choroby jest mocno rozdrażnionym. On nie da sobie mówić o tem, nie będzie chciał nawet widzieć się z tobą; to go zirytuje i gotów to jeszcze odchorować!

Władysław.

Niech go ciocia powoli przygotuje.

P. Małgorzata.

Tak jest, masz słuszość, powoli, bardzo powoli i oględnie. Daj mi tylko, tylko trochę czasu do namysłu, niechaj myśli pozbieram, bo w tej chwili z niepokojem i radością że cię widzę, jestem tak wzruszoną że drzę cała.

Władysław.

Kochana ciociu!

P. Małgorzata.

Pocziwe dziecko! Zrobimy to, zrobimy, tylko powoli... A teraz, dopokąd on śpi, mówże mi o sobie, o ojcu... Tyle lat was nie widziałam; tak jestem spragnioną mieć o was wiadomość...

Władysław.

Ojciec zdrów, zawsze w dobrym humorze, gospodarstwo idzie mu dobrze przy mojej pomocy. — Bo trzeba cioci wiedzieć, że rok temu ukończyłem szkołę agronomiczną w Altenburgu i od tego czasu razem gospodarujemy. Ja to nawet namówiłem ojca i to, przyznam się cioci w sekrecie, nie bez trudności, żeby się z wujem pogodził.

P. Małgorzata.

Jakiś ty pocziwy!

SCENA X.

Ciż, Waluś.

(Waluś wchodzi w głębi z filiżanką rumianku, w którą dmucha)

Waluś.

Rumianek dobrze mi zrobi. *(spostrzegając Władysława)* A, pan doktor! *(stawia filiżankę na stole w głębi, przybiega z radością do Władysława i całuje go w rękę)* Całuję rączki pana doktora, zaraz pana uprzedzę, a potem będę dla siebie prosił, bo ja także sierpiąsy, zaraz, zaraz... *(wybiega do pokoju p. Kaspra).*

SCENA XI.

P. Małgorzata, Władysław.

Władysław (*ostupiały*).

A to co?

P. Małgorzata.

Co on robi?

Władysław (*za Walusiem*).

Stój, czekaj!

P. Małgorzata.

Waluś! Waluś!

Władysław.

Przepadło, poszedł mnie zaanonsować.

P. Małgorzata.

O mój Boże!

Władysław.

Tam do licha! Wuj mnie zaraz każe przywołać i cała rzecz się wyjaśni, gotów wpaść w pasyą, wyłajać mnie i odesłać z kwitkiem! Co tu robić? co tu robić?

P. Małgorzata.

Sama tracę głowę!

Władysław.

Ale jakimże sposobem ten bałwan mógł mnie wziąć za doktora?

P. Małgorzata.

Bo oczekujemy dziś doktora, którego jeszcze nie znamy.

Władysław.

Co, wuj nie zna doktora, na którego czeka?

P. Małgorzata.

Nikt z nas go nie zna.

Władysław.

Wyśmienicie! Wie ciocia co? ja się wujowi przedstawię jako nowy doktor.

P. Małgorzata.

Oszalałeś?

Władysław.

Wcale nie, niech ciocia będzie spokojną, ja żadnego głupstwa nie zrobię, a zawsze trochę czasu do przygotowania wuja zyskamy.

P. Małgorzata.

Ależ ty nie masz wyobrażenia o medycynie!

Władysław.

Tem bardziej mogę udawać homeopatę, powiem zresztą że nie mam przy sobie apteczki.

P. Małgorzata.

Lecz on ma apteczkę.

Władysław.

To nie nie przeszkadza, wszakże ciocia wie że ho-

meopatya jeżeli nie pomoże, to pewnie zaszkodzi, chcia-
łem powiedzieć: jeżeli nie zaszkodzi, to pewnie nie
pomoże.

P. Małgorzata.

Prawda, nieboszczyk doktor Hugo to zawsze mawiał,
ale jednak...

Władysław (*widząc wchodzącego p. Kasptra*).

Już za późno.

SCENA XII.

Ciż, P. Kasper, Waluś.

P. Kasper (*wchodząc po prawej*).

Głupiś, to być nie może, wszakże pan Rzeszko jest
u mnie.

Władysław (*cicho do p. Małgorzaty*).

Rzeszko z Tarnowa! To mój przyjaciel! Niech cio-
cia będzie spokojną!

P. Kasper (*do Władysława*).

Przepraszam pana dobrodzieja, tu jest jakaś po-
myłka tego gapia; z kim mam honor?...

P. Małgorzata (*na stronie*).

Nóg nie czuję pod sobą.

Władysław (*trochę zmieszany*).

Ja, panie dobrodzieju... jestem doktorem... także
doktorem... także Rzeszkciem...

SCENA XIII.

Ciż, Anusia.

Anusia (*wchodząc drugimi drzwiami po lewej, na stronie*).

A, mój Boże!

P. Kasper (*zdziwiony*).

Jakto, dwóch doktorów Rzeszków?

Anusia (*na stronie*).

Zginęliśmy!

Władysław.

To jest tak... nie... właściwie jestem kuzynem pana Rzeszki z Tarnowa... jestem Rzeszkiem z Jarosławia...

P. Kasper.

A, tak, to co innego. (*oglądając się*) Ale gdzież tamten?

Waluś (*patrząc przez otwarte drzwi do pokoju p. Kaspra*).

A o, o! Okno otwiera!...

P. Kasper (*do drzwi*).

Panie Rzeszko! Panie Rzeszko z Tarnowa!

Władysław (*na stronie*).

Radbym się przejść na spacer!

SCENA XIV.

Ciż, Zdzisław.

Zdzisław (wchodząc mocno zmieszany, na stronie).

Wolałbym teraz siedzieć na lokomotywie!

P. Kasper.

Ha, ha, mamy tu pańskiego kuzyna, drugiego doktora Rzeszkę!

Zdzisław i Władysław

(spójrzawszy na siebie, razem na stronie).

To nie Rzeszko!

P. Małgorzata *(na stronie).*

Ćmi mi się w oczach!

P. Kasper.

Cóż to, panowie się nie witacie?

Zdzisław.

Przepraszam... ja... nie jestem Rzeszkiem z Tarnowa.... ale jego imiennikiem.... ja.... jestem.... Rzeszkiem z Przemyśla.

P. Kasper.

Więc panowie Rzeszkowie się nie znacie?

Władysław.

Nie mam honoru. *(Anusia przybliżyła się do Zdzisława, z którym pocichu mówi)*

P. Kasper.

Ha, ha, ha, to osobliwsza! Dostyc' że się dwóch Rzeszków zjechało, jestem między samemi Rzeszkami, w rękach samych Rzeszków! To mnie cieszy, bo im więcej doktorów, t'ém lepiej dla chorego. Przyznam się że już sama myśl, że mam przy sobie dwóch doktorów, sprawia że się czuję znacznie lepiej, (*głaszcząc się po brzuchu*) już się nawet apetyt odzywa. Słuchajno Waluś, niechno Błażej mi tego bigosu odgrzeje... może i panowie doktorowie pozwolą... słuchaj! niech zresztą i kapłona weźmie na rożen... Słuchaj! a przedt'ém dasz nam starki. (*idzie za Walusiem w głąb mówiąc z nim pocichu*)

Władysław (*cicho do p. Małgorzaty*).

Wszystko idzie dobrze, niech ciocia będzie spokojną.

P. Małgorzata (*cicho do Władysława*).

Zdrętwiałam i oniemiałam.

P. Kasper (*do Walusia*).

Tak, z maselkiem i cytrynką, rozumiesz?

Waluś (*jakby nosem zapach ciągnął*).

Rozumiem. (*wychodzi w głąbi po lewej*)

Zdzisław (*cicho do Anusi*).

Tylko przytomności.

Anusia.

Zlituj się pan, ostrożnie!

P. Kasper (*wracając na przód sceny*).

Śniadanko będzie (*posyłając całusa palcami*) dosko-

nałe! Ale tymczasem możeby ci panowie małe consilium złożyli, żeby czasu nie tracić, bo jak anglik powiada, czas to zdrowie, nie, pieniądz to zdrowie — nie, nie... pieniądz to czas... no, jakże u licha?

Zdzisław.

Czas to pieniądz.

P. Kasper.

A tak, tak, zaplątałem się, czas to zdrowie, tak, tak, a więc nie traćmy pieniędzy.

Zdzisław.

Przyznam się panu...

Władysław.

Muszę pana uprzedzić, że ja jestem homeopatą.

P. Kasper.

Co, homeopatą! Allopata i homeopata razem! To mi się jeszcze nie wydarzyło! Doskonale! Niech się zdania ścierają, na tem pacjent dobrze wyjdzie. A zatém proszę panów, proszę... lecz najprzód, Małgosiu, Anusiu, pokażcie panom doktorom recepty doktora Hugo. *(p. Małgorzata idzie machinalnie do biurka po prawej, Anusia do stolika po lewej. Obie dostają z szuflad po kilka ogromnych pakietów związanych recept. P. Małgorzata oddaje je Zdzisławowi, Anusia Władysławowi)*

Anusia (do Władysława).

Proszę pana.

Władysław (biorąc recepty).

Dziękuję pani.

P. Małgorzata (*do Zdzisława, podając mu recepty*).

Oto recepty doktora Hugo z ostatniego roku.

Zdzisław (*biorąc recepty*).

Z ostatniego roku. (*na stronie*) I ja mam to czytać?

Władysław (*do p. Kaspra*).

Muszę się panu dobrodziejowi przyznać, że w tej chwili nie będę mógł być bardzo pomocnym, albowiem nieszczęście mi się w drodze wydarzyło, zgubiłem moją apteczkę.

P. Kasper.

Mam panie, mam!... Anusiu, przynieś panu doktorowi moją apteczkę. (*Anusia wychodzi do pokoju p. Kaspra*)

Zdzisław (*patrząc na ogromną plikę recept, którą trzyma w ręku*).

I pan to wszystko wyżyłeś?

P. Kasper.

Co do kropli.

Zdzisław (*na stronie*).

On to połknął!

Władysław.

Winszuję!

P. Kasper.

O, ja wiem że pan tego, jako homeopata nie lubisz, ale bądź pan spokojnym, już i kilka homeopatycznych apteczek tędy przeszło. (*klepie się po brzuchu*)

Zdzisław *(na stronie).*

Żelazne zdrowie! *(Anusia wraca i podaje homeopatyczną apteczkę Władysławowi)*

Anusia.

Oto apteczka.

Władysław.

(który obu rękami trzyma recepty, wskazując oczami stolik po lewej).

Niech pani z łaski swojej tutaj położy.

P. Kasper *(siadając w środku sceny).*

A teraz nie traćmy czasu; oto jestem, siedzę, radźcie proszę, a wy kobiety możecie sobie pójść.

P. Małgorzata *(cicho do Zdzisława).*

Ja bym pana prosiła, niech pan tę kurację weźmie na siebie.

Zdzisław.

Ja pani?...

Anusia *(cicho do Władysława).*

Niech pan, z łaski swojej, od swojej kuracji nie odstępuje.

Władysław.

Za pozwoleniem...

(Zdzisław i Władysław kłaniają się pani Małgorzacie i Anusi, które wychodzą: pierwsza pierwszemi, druga drugimi drzwiami po lewej).

SCENA XV.

Władysław, P. Kasper, Zdzisław.

Pan Kasper wyciąga obie ręce na krzyż do macania pulsu. Zdzisław i Władysław nie patrząc na niego, stoją zatopieni w widoku swoich recept. Chwila milczenia. P. Kasper zmęczony opuszcza obie ręce i patrzy po nich, miesza się widocznie.

P. Kasper.

He? Co? Milczycie, może źle ze mną? No, mówcież panowie.

Zdzisław (*jakby ze snu przebudzony*).

Nie, gdzież tam... pan zdrow jesteś.

P. Kasper.

Co? ja zdrow?

Zdzisław.

To jest niezupełnie.

Władysław.

Tak, nie całkiem. (*oba biorą go za puls*)

Zdzisław.

Hm, hm...

Władysław (*na inny ton*).

Hm!...

P. Kasper (*niespokojny*).

Cóż panowie spostrzegacie?

Zdzisław.

Ja, za pańskim pozwoleniem napiszę receptę. (*idzie do biurka, przed którem siada, na stronie*) Zje diabła aptekarz co odczyta, zawsze czasu zyskam. (*pisze*)

Władysław.

Ja spreparuję panu lekarstwo. (*na stronie*) Gałeczki wysypię na ziemię, dam mu czystej wody i kwita.

P. Kasper (*do siebie*).

Szczególna rzecz, jak na mnie poty biją!

Władysław.

(*biorąc flaszczkę z apteczki i przypatrując się jej — na stronie*).

Aconit... to na poty... wszak to szkodzić nie może. (*wysypuje wszystkie gałeczki do szklanki; biorąc drugą flaszczkę*) Chamonilla, rumianek.. to niewinne. (*sypie do szklanki*) Rheum, to podobno Rumbabarum... bardzo skuteczne. (*sypie do szklanki*) Nux.... nux vomica, hm... vomica? I cóżby się złego stało, chociażby vomica skutkowała? (*sypie do szklanki, i nalewa wody*) Skoro tamte recepty wyżył, mogą mu to dać wypić bezpiecznie. (*Głośno, podając panu Kasprowi szklankę*) Pal pan!

P. Kasper

(*który wciąż to na jednego spoglądał, to na drugiego, obcierając chustką pot z czoła*).

Ależ panie.... konsyliarzu.... jakto.... tak od razu... bez narady... Panowie, to jakoś tak prędko... tak gwałtownie... ten pisze receptę, ten podaje lekarstwo... bez narady, może jedno drugiemu się sprzeciwi....

Zdzisław (*pisząc*).

Nie nie szkodzi, możesz pan śmiało wypić co doktor daje. (*Władysław podaje szklanke Kasprowi — Pan Kasper odsuwając ją ręką*)

P. Kasper.

Ale przecież ja bym rad żebyście się choć trochę naradzili... kiedy już tu jesteście... co to szkodzi...

Zdzisław.

Obejdzie się.

Władysław

(*stawia szklanke na stole i nakrywa ją kalendarzem*).

W samej rzeczy, nie potrzeba...

P. Kasper.

Kiedy ja panów bardzo proszę... może to panom zawadza, że ja słyszałbym co panowie między sobą radzić będziecie, ale ja jestem trochę głuchy, zresztą mówcie panowie po łacinie... ja nie nie rozumiem... na honor... zaledwie tam gdzieś niegdzieś jedno słówko ze szkół; ale tak, żebym wiedział o co chodzi, to nie, da libóg nie... a więc proszę panów, radźcie po łacinie... jak gdyby mnie nie było, jak gdyby mnie nie było...

Zdzisław.

Może pan kolega zechce swoje zdanie najprzód objawić. (*na stronie*) Zgodzę się z nim we wszystkim.

Władysław.

Przeciwnie, panu koledze odstępuję pierwszeństwo.

Zdzisław.

Proszę kolegę.

Władystaw.

Bardzo proszę.

(oba milczą)

Władystaw.

Cóż?

Zdzisław.

Czekam.

Władystaw *(dość żywo).*

Wszakże pana prosiłem...

Zdzisław *(podnosząc głos).*

A ja pana...

P. Kasper.

Jest, teraz się za łby wezmą! Ależ zlitujcie się panowie nad biednym człowiekiem, nie ceremoniujcie się.... niechaj którykolwiek zacznie.... *(spuszczając głowę w ogłupieniu)* po łacinie...

Zdzisław *(na stronie).*

Zarznął mnie. *(głośno)* Hm!

Władystaw.

Ego... *(na stronie)* Ja bo już dalibóg nie nie pamiętam.

P. Kasper.

No, mówcież już raz panowie, mówcie!

Zdzisław *(na stronie).*

Ha, cóż robić, huż Piper na wodę! *(głośno, z pewnem wahaniem)* Ego... credo... censeoque febram stomachialem abdominalialem intermittentem esse... *(patrzy z pod*

oka na Władysława, badając jakie to na nim wrażenie zrobiło)

P. Kasper (*przed siebie*).

Fe... fe... febram... stomachialem... abdominialem... intermittentem.

Władysław (*na stronie*).

A to co za łacina? Czy on ze mnie żartuje? Obaczymy! (*głośno*) Mihi videtur organicas functiones nervorum atacatas fuere.

P. Kasper (*w osłupieniu przed siebie*).

Acacatacas!

Zdzisław (*na stronie*).

Fuere, — czy on mnie odgadł, czy drwi? — Poczekajno! (*głośno*) Ego credo moribundum...

P. Kasper (*zrywając się*).

Co? Moribundum? ja... ja... jestem moribundus!

Zdzisław (*bardzo zmieszany*).

Ale nie... nie... chciałem powiedzieć moribundum... chory... słabujący... niby pacjent... niby pan...

P. Kasper.

A tak, uf! (*chwije się na nogach, siada i obciera pot z czoła*)

Władysław (*na stronie*).

O, o, moribundum, moribundum, drwi wyraźnie.

Zdzisław (*na stronie*).

Plącę się... darmo, trzeba wyjść z tego głupiego położenia. (*głośno*) Jeżeli łaskawy pacjent pozwoli,

prosiłbym o chwileczkę rozmowy sam na sam z panem konsyliarzem.

Władystaw (*na stronie*).

Odgadł mnie, a to przebiegła sztuka! Niema co robić, trzeba kapitulować! (*głośno*) Właśnie o to samo chciałem prosić.

P. Kasper (*znowu zaniepokojony*).

Czy może... może... jestem niebe... niebe... niebezpiecznie chorym?

Zdzisław.

O, bynajmniej!

Władystaw.

Bądź pan zupełnie spokojnym.

P. Kasper.

Czy tylko pewnie?

Zdzisław.

Zaręczam pana.

Władystaw.

Skoro doktor zaręcza.

P. Kasper.

Wierzę panom, wierzę, tylko nie długo zostawiajcie mnie samego, bo to tak jakoś przykro. (*do siebie, wstając*) Dziwna rzecz jak osłabłem.

Zdzisław.

Uspokój się pan, uspokój...

Władysław (*na stronie*).

Skoro tamten ręczy, (*głośno*) wszystko będzie dobrze.

(*Oba go odprowadzają do drzwi po prawej*).

P. Kasper.

Tylko niedługo, nieprawda...ę...ę...

(*wychodzi do swego pokoju*).

Władysław.

Za chwilę pana przywołamy.

SCENA XVI.

Władysław, Zdzisław.

(*Zdzisław i Władysław wracają naprzód sceny i mówią*)

Razem.

Panie doktorze, jakkolwiek to trudno, muszę panu wyznać że nie jestem do... (*zatrzymują się oba mocno zdziwieni*)

Zdzisław.

Jakto?

Władysław.

Pan...

Zdzisław.

Nie...

Władysław.

Ja...

Zdzisław.

Wszak...

(oba parszają śmiechem).

Zdzisław *(przestając się raptem śmiać, na stronie).*

Może on tu jest dla Anusi!

Władysław *(śmiejąc się dalej).*

A to sławne!

Zdzisław.

Wybacz pan że w tém szczególném położeniu zapytam pana, dlaczego się pan za doktora udawałeś?

Władysław.

Mógłbym panu podobném zapytaniem odpowiedzieć, lecz nie mając z czém się kryć, powiem panu że jestem siostrzeńcem pana Kaspra Bolbeckiego. Przyjechałem tu by go pogodzić z moim ojcem, gdyż się pogniwiali i od ośmiu lat się nie widują. Zastawszy go chorym, bałem się stając przed nim niespodzianie, sprawić mu szkodliwe wzruszenie; tymczasem służący mnie jako doktora zaanonsował i tak zostałem doktorem bez egzaminu i dyplomu. Jestem Władysław Szocki. Teraz czekam od pana równie szczerego wyznania.

Zdzisław.

A ja z równą szczerością panu się zwierzę. Jestem Zdzisław Morzycki, Inżynier przy kolei Przemysko-Łupkowskiej. Zeszłego roku poznałem pannę Annę...

Władysław.

A, tak, -- więcej mi nie potrzeba, za resztę ręczy mi otwartość która się w pańskich słowach i twarzy maluje. — Więc licz pan na mnie, ile będę mógł być panu pomocnym, o tyle będę.

Zdzisław (*podaje mu rękę*).

Serdecznie panu dziękuję.

Władysław.

A cóż teraz z pacjentem zrobimy?

Zdzisław.

Wszakże pan tam coś spreparowałeś.

Władysław.

A pan coś zapisałeś.

Zdzisław.

Ja zrobiłem parę hieroglifów.

Władysław.

A ja zmieszałem tu aconit, chamomillę, rumbarrum i nux vomicę; mnie się zdaje że to są same ingrediencye tak niewinne!

Zdzisław.

Hm... zdawałoby się... ale przecie...

Władysław.

Może lepiej dać im pokój.

Zdzisław.

Ja panu powiem. Mówiono mi w sąsiedztwie, że całą chorobą pana Bolbeckiego jest poprostu, że on jest

łakomy, a przytém leniwy; sędzę zatém że gdybyśmy go porządnie wygłodzili, a potém wzięli na spacer, byłoby to i mądrze i bezpiecznie... a w medykamenta się nie wdawajmy.

Władysław.

Słusznie; diabli wiedzą co tam w tych gałeczkach siedzi. A zatém tylko dyeta.

Zdzisław.

Jak najostrzejsza.

Władysław.

I spacer....

Zdzisław.

Ogromny.

Władysław.

Brawo! doskonale! Dzień piękny, spacer mu nie zaszkodzi, a przytém będziemy mieli sposobność okazać mu się w korzystnym świetle. Pan mu wskażesz korzyści które mu kolej przez jego majątek prowadzona przyniesie, a ja palnę mu naczeczko rozprawkę o agronomii.

Zdzisław.

Wybornie, — przegłodzimy go i przegalopujemy należycie.

SCENA XVII.

Ciż, P. Kasper.**P. Kasper** (*we drzwiach swego pokoju*).

Czy już można?

Władysław.

Prosimy, prosimy...

P. Kasper (*niespokojny patrząc na nich*).

Cóż, jakże?... mój stan... niebezpieczny?

Zdzisław.

Ale gdzieżtam, niema cienia niebezpieczeństwa!

P. Kasper (*uradowany*).

W istocie?

Władysław.

Z pewnością.

P. Kasper (*z westchnieniem zadowolenia*).

A, — to miło słyszeć!

Zdzisław.

Na teraz nie panu nawet nie przepisemy.

P. Kasper

Szkoda, możeby cośkolwiek...

Władysław.

Nie, — będziemy tylko wymagać trochę dyety.

P. Kasper *(krzywiąc się)*.

Dyety!

Zdzisław.

Umiarkowanej, umiarkowanej.

P. Kasper *(do Zdzisława)*.

Wszakże pan wiesz że ja prawie nic nie jem.

Zdzisław.

Wiem, wiem, panie dobrodzieju.

SCENA XVIII.

Ciż, Waluś.

(Waluś wchodzi w głębi po lewej, niosąc na tacy flaszkę wódki, parę kieliszków i chleb pokrajany, staje przed p. Kaspresem)

P. Kasper.

No, skoro zaspokoiłście mnie panowie że niema niebezpieczeństwa, zaraz mi się lepiej zrobiło. Może napilibyśmy się trochę wódeczki przed śniadaniem?

Zdzisław *(powątpiewając patrzy na Władysława)*.

Hm, hm!

Władysław.

Hm, hm! <http://rcin.org.pl>

(P. Kasper bierze flaszkę z wódką i kieliszek z tacy i nalewa sobie. Waluś stawia tacę na stoliku po lewej, idzie w głąb i przynosi stół stojący między drzwiami na środek sceny; dostaje z szafy talerze, kieliszki, butelkę wina i t. p. i szybko stół nakrywa, potem wychodzi w głąb po lewej i zaraz wraca z tacą na której jest półmisek bigosu i kapton pieczony. Półmiski stawia na stole i przysuwa trzy krzesła).

P. Kasper *(do Zdzisława).*

W ręce pana dobrodzieja.

Zdzisław *(biorąc mu kieliszek z ręki).*

Za pozwoleniem pana dobrodzieja, wódeczce damy pokój. *(do Władysława, który wziął flaszkę z drugiej ręki P. Kaspra)* In manus vestras, docte collega. *(pije i podaje kieliszek Władysławowi)*

P. Kasper.

Ależ doktor Hugo...

Władysław *(biorąc kieliszek).*

Kurował niedługo. *(nalewa sobie kieliszek wódki)* Ja zaś, jako homeopata, używanie wódki uważam za bardzo szkodliwe, ba, nawet niebezpieczne! *(pije)*

P. Kasper.

Przecie....

Zdzisław.

Sic facultas exemplo docet.

P. Kasper

(widząc wchodzącego Walusia z półmiskami).

Ha, cóż robić, poddaję się, ale może panowie raczycie ze mną podzielić przekaske?

Władysław.

Cum gaudio et amenitate.

P. Kasper.

Proszę panów.

(Siadają, P. Kasper w środku, Zdzisław po prawej, Władysław po lewej stolika).

P. Kasper *(nabierając bigosu na talerz).*

Prawdziwy bigos hultajski, odegrzewany! *(Podaje talerz Zdzisławowi)*

Zdzisław.

Dziękuję. *(jedząc)* Wyborny!

Władysław *(do P. Kaspra, który drugi talerz nabiera).*

Niechże się pan dobrodziej nie fatyguje.

P. Kasper.

Bardzo proszę. *(podaje talerz Władysławowi)*

Władysław *(skosztowawszy).*

Wyśmienity!

(P. Kasper chce sobie nabrać bigosu, Zdzisław go za rękę zatrzymuje)

Zdzisław.

Za pozwoleniem... *(odbiera mu talerz)*

Władysław *(odbierając mu łyżkę).*

Bigosu pozwolić nie możemy.

P. Kasper.

Jakto, bigosiku nie wolno?

Władysław.

Nie, panie, nie; nieprawda kolego?

Zdzisław (*z pełną gębą*).

Pod żadnym warunkiem.

P. Kasper.

To bolesne!... ale kiedy tak stanowczo panowie bigos zakazujecie, ograniczę się na kapłonie. (*chce wziąć kawałek kapłona*)

Władysław.

Przepraszam pana dobrodzieja, kapłon tłusty.

P. Kasper.

To dobry!

Zdzisław.

Dla zdrowego zapewne, ale pan chory...

P. Kasper.

Panie! Ja umieram z głodu!

Władysław.

No, no, no, my pana przecie zagłodzić nie chcemy. (*do Walusia który stał za P. Kasprem patrząc żartocznie na śniadanie*) Hola, hej! proszę przynieść dla pana filiżankę rosółu.

Zdzisław (*za Walusiem który zrobił parę kroków w głąb*).

Słabego rosółu, rozumiesz, słabego!

P. Kasper (*zrywając się i rzucając serwetę na stół*).

Nie chcę! <http://rcin.org.pl>

(Idzie na przód sceny i siada zadąsany przy biórku. Waluś wraca na swoje miejsce).

Władystaw *(biorąc flaszkę z winem).*

Hm, Bordeaux, może kolega pozwoli kieliszeczek?

Zdzistaw *(nadstawiając szklankę).*

Gratias ago Dominationi vestrae.

P. Kasper *(spluwając przez zęby).*

Cyk!

Waluś *(spluwając tak samo w przeciwną stronę).*

Cyk!

Zdzistaw.

Czy mogę koledze służyć skrzydelkiem kapłona?

Władystaw.

Dziękuję, wolę udko.

P. Kasper.

Cyk!

Waluś.

Cyk!

Zdzistaw.

Kolega, jak uważam, habet in aestimatione udka.

Władystaw.

Bardzo lubię.

P. Kasper *(na stronie).*

Cyk! — To nie do wytrzymania! cyk!

Waluś *(na stronie).*

Cyk! — <http://rajadaj.pl> cyk!

Zdzisław.

No, jeszcze jeden kieliszek na zakończenie.

Władysław.

Omne trinum perfectum.

(piją, — P. Kasper wstrząsa biurkiem ze złości)

Zdzisław *(wstając)*.

A teraz do pacyenta.

Władysław *(wstawszy, do P. Kaspra)*.

No, jakże tak kochanemu panu po śniadaniu?

(Waluś szybko sprząta, odnosi stół na miejsce i wychodzi z półmiskami w głębi po lewej).

SCENA XIX.

P. Kasper, Władysław, Zdzisław.

Zdzisław.

Nieprawda, lepiej jak zwykle?

(chwila milczenia)

Władysław.

O, coś nasz pacjent zadasany.

Zdzisław.

Nie to nieszkodzi; doktor na wszelkie przykrości musi być cierpliwym. *(do P. Kaspra)* No, no, podaj no mi pan rękę... *(bierze go silą za rękę którą P. Kasper dać*

się wzbrania) O, puls zaalterowany, o! (*skandując*)
 Quadrupédantē pūtrēm sōnitū quatit ungulā cāmpūm.

Władystaw.

To tak z nocy puls galopuje.

Zdzisław.

No, no, jakoś to będzie. — Powiedz pan sam, czy zwykle po śniadaniu nie czujesz pan pewnej... ociężałości?

P. Kasper (*niechętnie*).

Czuję.

Władystaw.

Rodzaju duszności?

P. Kasper.

Czuję.

Zdzisław.

Pewnego odęcia?

P. Kasper.

Bardzo czuję.

Władystaw.

Hurkotania?

P. Kasper.

Okrutnego.

Zdzisław.

Oczywiście!... Zła strawność, cyrkulacya krwi nieregularna, krew bije do głowy i lada dzień...

Władystaw.

Trzask!

P. Kasper (*zrywając się, mocno przestraszony*)

Trzask!

Zdzisław (*kiwając ręką, — ponuro*).

Trzask!

P. Kasper.

Dla Boga, émi mi się w oczach!

Władystaw.

Ale my tego nie dopuścimy.

P. Kasper (*zakasując lewy rękaw*).

Puściecie! Tak jest, puszczajcie zaraz. (*do Władysława, nastawiając mu rękę, zakasawszy po łokieć rękaw surduta*) Puszczaj pan, proszę pana, puszczaj pan zaraz!

Władystaw (*cofając się*).

Ależ panie, ja jestem homeopatą.

P. Kasper.

Prawda! pan krwi nie puszczasz. (*zwracając się do Zdzisława*) To pan, puść mi pan, puść, pan jesteś allopatą!

Zdzisław (*cofając się*).

Ależ panie, ja jestem hydropatą!

P. Kasper.

Jakto, wszakże pan niedawno mówileś, że jesteś allopatą.

Zdzisław.

Właściwie allopaty-hydropatą.

P. Kasper.

A więc pan puszcza!

Zdzisław.

Niepotrzeba, panie, niepotrzeba, uspokujże się pan!

P. Kasper.

Dobrze panu mówić, a jak będzie trzask!

Zdzisław.

Ale nie będzie, nie będzie, byleś pan dużo ruchu używał.

Władysław.

Zwłaszcza po jedzeniu.

P. Kasper.

Co mam robić? chodzić, jeździć, polować, tańcować, do Orłów się zapisać? Co, może kąpiel, może tusz? No, mówcież dla Boga!

Władysław.

Ha, zapewne że kąpiel...

Zdzisław.

Gdyby był tusz...

P. Kasper.

Jest panie! jest! pod młynem! — *wołając ku drzwiom*
Waluś! Może i panowie przy okazji... żeby razem
być w wodzie?...

Władysław.

Dziękujemy, z brzegu będziemy się patrzali.

P. Kasper.

Waluś! Waluś!

SCENA XX.

Ciż, Waluś.

(Waluś wchodzi w głębi po lewej, z pełną gębą)

P. Kasper *(do Walusia).*

Prędko, prześcieradło, moją czamarę, kapelusz, laskę! — Prześcieradło grube do kąpieli.

(Waluś wychodzi do pokoju P. Kaspra)

Więc panowie nie chcecie iść do wody?

Zdzisław.

Inną razą z przyjemnością.

(Waluś wchodzi z czamarą, kapeluszem, laską i prześcieradłem, podaje czamarę p. Kasprowi, który szlafrok zdejmuje i w nią się ubiera).

P. Kasper.

Za pozwoleniem, zaraz panom służę.

Władysław.

Bardzo prosimy, bez ceremonii.

P. Kasper.

Otóż jestem gotów, chodźmy pod łuszkę.

Zdzisław i Władysław.

Pod tusz!

(wszyscy trzej wychodzą w głębi po prawej).

SCENA XXI.

Waluś *(sam)*.

Poszli się kąpać! Ha, to musi być dobre, kiedy tak doktorowie kazali; a ja się już z dziesięć lat nie kąpałem! Ale cóżto człowiek bez doktora! Ot, teraz dwóch ich jest w domu, a niesposób chwili znaleźć, żeby się którego poradzić. *(wskazując na żołądek)* A mnie tu tak ciężko i spać mi się chce. *(p. k. m.)* Może to ten bigos, a może resztki kapłona? Doktor mówił że za tłusty, a ja i maselko zjadłem!

Uf! niedobrze mi, bardzo mi niedobrze! *(sposstrzegając apteczkę na stoliku po lewej i szklankę kalendarzem nakrytą)* A to co? apteczka otwarta i szklanka nakryta, to pewnie pan doktor przygotował lekarstwo. Gdybym się napił? a jak się będą pytać? Cóż, to powiem że stała szklanka wody i że ją wylałem. Mogę wykurować się od razu! Sprobujmy! *(pije powoli)* Nieźle, wcale nie ma przykrego smaku... O, już mi lepiej; człowiek zaraz inaczej oddycha, — jakoś lżej człowiekowi. Niechże tu kto jeszcze nie wierzy w tę... jak się to nazywa... ho... ot zapomniałem... ho... homopatya! Nie spamiętałem od razu, ależ bo mi się spać chce... aż strach! A tu trzeba by trochę pościarać, posprzą-

tać... E! pójde się przespać w stodole... Albo nie, pójde się wykąpać, lecz nie pod młyn, ale pod drugą szluzę; bo jakby mnie pan zobaczył, zarazby krzyczał: „Waluś, chodź tu, wycieraj mnie prześcieradłem!“
(chce wyjść, w głębi spotyka doktora Rzeszkę — na stronie)
 A to kto znowu?

SCENA XXII.

Dr. Rzeszko, Waluś.

Dr. Rzeszko *(szorstko)*.

Słuchaj ty, jak się nazywasz, powiedz panu że doktor Rzeszko przyjechał! prędko!

Waluś.

Doktor Rzeszko? Ha! ha!

Dr. Rzeszko.

Czego się śmiejesz?

Waluś *(śmiejąc się coraz bardziej)*.

Doktor Rzeszko! Ha! ha! ha!

Dr. Rzeszko.

Przestaniesz ty się śmiać, trutniu!

Waluś.

Trzeci Rzeszko! Ha, ha, ha, trzeci! Ha, ha, ha!
(wybiega w głębi po prawej)

Dr. Rzeszko (*biegnąc za nim*).

Co trzeci? kto trzeci! dam ja ci tu zaraz. (*wracając ode drzwi, które Waluś za sobą zatrzasnął*) Ale ja cię jeszcze spotkam i natrę uszu porządnie! Trzeci! Co to ma znaczyć?

SCENA XXIII.

Dr. Rzeszko, Joasia.

(*Joasia wbiega w głębi po lewej*)

Joasia.

Waluś!

Dr. Rzeszko (*na stronie*).

A, jakaś garderobiana. (*głośno*) Moja mościa panno, jak się nazywasz...

Joasia (*z dygiem*).

Joasia, do usług.

Dr. Rzeszko.

Zastąłem tu jakiegoś bałwana... ale to niema nic do rzeczy... Powiedz proszę panu, pani, komu ci się podoba, że przyjechałem: Doktor Rzeszko.

Joasia (*parskając śmiechem*).

Doktor Rzeszko!

Dr. Rzeszko.

A to co? I ta także?

Joasia (*śmiejąc się do rozpuku*).

Prze... ah, ha, ha, prze... przepraszam... ha, ha,
ha! (*pada na krzesło*)

Dr. Rzeszko (*zniecierpliwiony*).

Moja panno, jestem człowiek grzeczny, cierpliwy,
ale do kroć milion...

Joasia.

Wybacz pan, ale.... (*śmiejąc się*) W jednym dniu
trzeci doktor Rzeszko... ha, ha, ha!

Dr. Rzeszko (*w pasy*).

Jaki trzeci? kto trzeci? gdzie trzeci?

Joasia.

Ależ pan!

Dr. Rzeszko.

Jakto ja?

Joasia.

Nieinaczej, wszakże tu już mamy dwóch.

Dr. Rzeszko.

Dwóch co?

Joasia.

Dwóch doktorów Rzeszków.

Dr. Rzeszko.

Czy panna drwiesz ze mnie?

Joasia.

Nie, na honor mamy dwóch.

Dr. Rzeszko.

Co to takiego? Co to ma znaczyć?

Joasia.

Nie wiem, ale tak jest. Jeżeli pan pozwoli, zaraz uprzedzę pana i panów doktorów, — sam się pan przekonasz....

Dr. Rzeszko.

Dobrze, czekam.

(Joasia wybiega do pokoju p. Kaspra)

SCENA XXIV.

Dr. Rzeszko, później P. Małgorzata.

Dr. Rzeszko.

Czy mi się śni, czy oni w tym domu powaryowali. Wszakże innego doktora Rzeszki prócz mnie niema na świecie. Nie mam żadnego kuzyna, nawet imiennika. Któż sobie mógł pozwolić... i to dwóch!

P. Małgorzata *(wchodząc pierwszemi drzwiami po lewej).*

Consilium trwa długo, jestem tak niespokojną. *(sposstrzegając dra. Rzeszkę)* A!

Dr. Rzeszko *(z ukłonem).*

Zapewne pani domu?

P. Małgorzata.

Tak jest. Kogoż mam przyjemność?...
<http://rcin.org.pl>

Dr. Rzeszko.

Doktor Rzeszko.

P. Małgorzata.

Pan?... To być nie może!

Dr. Rzeszko (*na stronie*).

Ona także? (*głośno*) Za pozwoleniem pani, ja się w mistyfikacye nie bawię; pani jesteś trzecią osobą w tym domu, która się dziwi gdy się wymieniam.

P. Małgorzata.

Ależ tu jest....

Dr. Rzeszko.

Jeden czy nawet dwóch panów, którzy moje nazwisko przybrali, lecz proszę pani tę rzecz wyjaśnić, gdyż ja jestem prawdziwym doktorem Rzeszkiem.

P. Małgorzata.

Czy tylko pewnie?

Dr. Rzeszko (*urażony*).

Jakto, pani wątpisz?

P. Małgorzata.

Przepraszam, nie, nie wątpię... ale w głowie mi się maści... któż tamten?

Dr. Rzeszko.

To jest, kto tamci?

SCENA XXV.

Ciż, Joasia.

Joasia (wychodzi z pokoju p. Kaspra).

Tutaj niema nikogo ale przez okno widziałam obu panów doktorów stojących na brzegu około młyna. Zdaje się że pod młynem ktoś się kąpie, podobno pan.

P. Małgorzata.

Wszelki duch !... oni go kąpią po śniadaniu !

Dr. Rzeszko (żywo).

Kąpiel po śniadaniu ! To idźmy tam, nie traćmy czasu ! *(Joasia wychodzi w głębi po lewej)*

P. Małgorzata.

Ach, śpieszmy panie doktorze !

Dr. Rzeszko.

Zaraz pani. Zdaje mi się że mam podręczne instrumenta przy sobie. *(dostaje z kieszeni surduta futerał z instrumentami — otwiera go i dobywa lancet, przeciąga lancet na ręce — do pani Małgorzaty)* Czy pani mąż krwisty ?

P. Małgorzata.

Bardzo, chociaż teraz osłabiony.

Dr. Rzeszko.

Otyły ?

P. Małgorzata.

Nieco.

<http://rcin.org.pl>

Dr. Rzeszko.

Może wypadnie krew puścić...

SCENA XXVI.

Ciż, Anusia (*wchodzi drugimi drzwiami po lewej*).

P. Małgorzata.

Pan chcesz krew puszczać Kaspruniowi po śniadaniu?

Anusia.

Co? czy papa zasłabł? Czy pan cerulik będzie krew puszczał?

Dr. Rzeszko.

Cerulik?!

P. Małgorzata (*do Anusi*).

Pan doktor Rzeszko.

Anusia.

Pan... doktor Rze.... przepraszam...

P. Małgorzata.

Chodźmy panie, chodźmy!

Dr. Rzeszko (*do siebie*).

Cerulik! (*głośno*) Mam tu wszystko czego mi potrzeba, chodźmy. <http://rcin.org.pl>

P. Małgorzata (*idąc ku drzwiom szklanym*).

Tędy będzie bliżej. (*wychodzi szklanemi drzwiami*)

Dr. Rzeszko (*idąc za nią*).

Służę pani. (*na stronie*) Cerulik! (*wychodzi za p. Małgorzatą*)

Anusia (*idąc za niemi*).

Co się tu dzieje! Jak się to skończy?

(*wychodzi za niemi*).

SCENA XXVII.

P. Kasper, Zdzisław, Władysław.

(*Zaledwie wyszli, słychać za sceną w głębi po prawej głos P. Kaspra. Przez całą tę scenę P. Kasper chodzi dużemi krokami po scenie — Zdzisław i Władysław krok w krok za nim*)

P. Kasper (*za sceną*).

Waluś, jeść!... (*ukazuje się we drzwiach zziębnięty, z czerwonym nosem, włosy zmaczane, płasko do czoła i twarzy przylepione*) Daj mi co zjeść! Waluś... brrrrr...

(*wchodzi dużemi krokami, za nim Zdzisław i Władysław*)

Zdzisław.

Ale zastanów się pan...

P. Kasper.

Dajcie mi pokój, buntuję się! Waluś, wódki!

Władysław.

To panu może zaszkodzić!

P. Kasper.

To mi wszystko jedno... brrrr... a to jakaś końska kuracya!

Władysław.

Przynajmniej kaź pan sobie dać coś lekkiego.

Zdzisław.

Kaszki.

P. Kasper.

Idź pan do diabła ze swoją kaszką! Waluś! Hola, hej! Jest tam kto?

Zdzisław.

Panie, tak gwałtownie, może zaszkodzić!

P. Kasper.

Powiadam panu że mi to wszystko jedno, niech potém mnie trzaśnie, was trzaśnie, całą facultas trzaśnie, ja jeść muszę! Gdzie ten cymbał Waluś? uszy mu oberwę! Małgosiu, Anusiu!

Władysław.

Ależ panie Bolbecki!

Zdzisław.

Zmiłuj się pan....

P. Kasper *(ze wzrastającym gniewem).*

Nie zmiłuję się, dajcie mi pokój, puście mnie! Hola, hej! Małgosiu! Czyście wszyscy wymarli w tym domu?

Władysław.

Panie. . . .

P. Kasper.

Niema nikogo? Niema? Wiem co zrobię: pójde do kuchni, rozbiję kuchnię, spiżarnię, piekarnię, cały dom rozbiję!

(wrywa im się i wybiega w głębi po lewej)

SCENA XXVIII.

Zdzisław, Władysław.

(Patrzą na siebie zdekongertowani. Chwila milczenia).

Władysław.

A teraz co?

Zdzisław.

Alboż ja wiem.

Władysław.

Źle, kolego!

Zdzisław.

Zle!

Władysław.

Obje się.

Zdzisław.

Jak Bóg Bogiem.

Władysław.

Na prawdę zachoruje.

Zdzisław.

I na nas to spadnie.

Władysław.

Trzebaby doprawdy coś zrobić.

Zdzisław.

Czyby mu krwi nie puścić?

Władysław.

A umiesz?

Zdzisław.

Ja, nie, — może ty?

Władysław.

W Altenburgu puszczałem raz krew cielęciu.

Zdzisław.

Brawo! Ty więc puszczej!

Władysław.

Ale ciele zdechło!

Zdzisław.

Tam do diabła!

Władysław.

Nie, to za heroiczny środek.

Zdzisław.

Chyba kazać rumianku nastawić.

Władysław.

Masz słuszość, rumianku, wyborna myśl!

Zdzisław.

Może homeopatycznego?

Władysław.

Sądziłbym zwykłego.

Zdzisław.

Podobno jest jakiś rzymski rumianek?

Władysław.

A jest, jest, ale zkad go tu wziąć?

Zdzisław.

Trzeba się do pani udać. *(idą ku drzwiom w głębi)*

SCENA XXIX.

Ciż, Dr. Rzeszko, P. Małgorzata, Anusia.

(Dr. Rzeszko wchodzi drzwiami w głębi po prawej — za nim P. Małgorzata i Anusia)

Zdzisław i Władysław.

Rzeszko!

Dr. Rzeszko.

Tu jesteście panicze! gdzie pacyent?

P. Małgorzata.

Gdzie mój mąż? Gdzie Kasprunio?

Władystaw.

Wuj jest w kuchni.

P. Małgorzata.

W kuchni! Joasiu! Waluś, rumianku! gotujecie rumianku!

Dr. Rzeszko.

Więc nie jadł śniadania przed kąpielą?

Zdzisław.

Nie.

P. Małgorzata.

Joasia!

Dr. Rzeszko (*zatrzymując ją*).

Daj pani pokój obejdzcie się.

P. Małgorzata.

Co pan mówisz?

Dr. Rzeszko.

Powiadam, obejdzcie się bez rumianku, bądź pani o męża spokojną.

Zdzisław (*zbliżając się*).

Pozwól pani bym z tej chwili skorzystał, by ją przeprosić.

P. Małgorzata.

Dobrze, dobrze. (*do Rzeszki*) Ale jakże to będzie bez rumianku, może mięty?...

Dr. Rzeszko.

Nie, pani, nie potrzeba.

Władysław (*do Rzeszki*).

Jako dobrze że przyjechałeś, wypłaczesz nas z tego położenia.

Dr. Rzeszko (*ironicznie*).

Wypłaczę? Tak sądziecie?

Zdzisław (*który pocichu rozmawiał z Anusią*).

Ma się rozumieć.

Dr. Rzeszko.

Wartogłowy, sowizdrzały!

Władysław.

O! o! My mu pacyenta kurujemy, a on jeszcze łaje!

Dr. Rzeszko.

Zapewne, powinienem panom lekarzom być wdzięcznym.

Zdzisław.

Robimy ci reputacją.

Dr. Rzeszko.

O, co za to to dziękuję! Nie, moi kochani, nawarzyliście piwa, teraz go wypijcie, — ja odjeżdżam.

Zdzisław.

Ależ kochany doktorze...

Władysław.

Doktorze złoty...

Dr. Rzeszko.

Złoty, kochany, nic z tego nie będzie.

P. Małgorzata (*spojrzawszy na stolik po lewej*).

A mój Boże, wszakże oni tu coś przyrządzili z apteczki homeopatycznój!

Dr. Rzeszko.

Skoro tylko z homeopatycznój, to nic...

Władysław.

Tak ciociu, to nic, zmieszałem tylko trochę aconitu, chamomilli, rumbabarum...

P. Małgorzata.

Wszelki duch chwali pana Boga!

Dr. Rzeszko.

Niech się pani uspokoi, zaręczam że to nie zaszkodzi.

Zdzisław.

Pewnie?

Dr. Rzeszko.

Najpewniój. A teraz żegnam państwo, odjeżdżam.

Władysław.

Odjeżdżasz?

Zdzisław.

Nie rób głupstwa.

Dr. Rzeszko.

Czy to ja głupstwa porobiłem?

Anusia (*zbliżając się do niego*).

Panie doktorze!

Dr. Rzeszko.

Co pani każe?

Anusia (*spuszczając oczy*).

Ja chciałam.... ja sędzę.

P. Małgorzata.

Nasi panowie lekarze dość już udęczeni, my teraz pana prosimy żebyś pan został.

Dr. Rzeszko (*patrząc na Anusię i Zdzistawa*).

A, prawda, względem tego co mi panie wyznałyście gdy chodziliśmy do młyna. No, no, będę się starał jakoś to ułożyć.

Zdzistaw (*ściskając go*).

Kochany doktoruniu!

Władysław (*biorąc go za rękę*).

Pocziwy doktorek!

P. Kasper (*za drzwiami w głębi po lewej, słabym głosem*).

Waluś! Waluś!

SCENA XXX.

Ciż, P. Kasper, Waluś.

P. Kasper.

(*wchodzi drzwiami w głębi po lewej, Waluś w głębi po prawej, p. Kasper idzie wolno, stawiając nogami, mówi słabym*

głosem. Waluś blady, nos czerwony, włosy mokre, spadające na oczy, trzyma się za żołądek)

Waluś!... Małgosiu!... oj!

Waluś.

Oj, oj!

P. Kasper.

Anusiu!... Jest tam kto?

P. Małgorzata (*idąc ku niemu, biorąc go pod prawą rękę*).

Kaspruniu, co tobie?

Waluś.

Oj!

P. Kasper (*wskazując na żołądek*).

Tu... tu... prosie z różna...

(Anusia razem ze Zdzistawem posuwają krzesło na środek sceny. P. Kasper i Waluś zbliżają się równocześnie do tego krzesła. P. Kasper po lewej, Waluś po prawej stronie. Zdzistaw i Władystaw cofają się trochę w głąb po prawej. Doktor Rzeszko staje za niemi)

P. Kasper.

Ratujcie!

razem

Waluś.

Skonam!

(Padają równocześnie na krzesło. P. Kasper zrywa się, chwytając Walusia za kark i silnie go odtrąca)

P. Kasper (*silnym głosem*).

Ruszysz ty się ztąd, bałwanie!

Waluś *(konającym głosem).*

Umrzeć mi nie da!

P. Kasper *(siadając w krześle, słabym głosem, wskazując na żółądek)*

Tu... tu... gdzie doktorowie?...

Waluś *(odchodząc w głąb, gdzie pada na krzesło).*

A ja taki sierpiąsy!

P. Małgorzata *(niespokojna).*

Panie Rzeszko!

(Dr. Rzeszko daje jej znak żeby była spokojną)

P. Kasper.

Oj, niedobrze mi, bardzo mi niedobrze, prędko.... gdzie doktorowie? *(spostrzegając Zdzisława i Władysława)* Ach moi panowie!... Byłem nieposłusznym... zjadłem prosie!... przepraszam... ratujcie!... krew mi do głowy bije! *(do Zdzisława, wyciągając do niego lewą rękę)* Puls!... weź mię pan za puls. *(Zdzisław przechodzi po za krzesło na lewo i od tej chwili rozmawia z p. Małgorzatą, którą Anusia w rękę całuje)* Co, pan się na mnie gniewasz? *(silniejszym głosem z niecierpliwością)* Ależ ja przeprosiłem, jeszcze raz przepraszam. Oj! *(słabszym głosem do Władysława, podając mu rękę)* Może ty, panie homeopato... zlituj się, każda minuta droga... Panie, panie, co robi puls? *(Władysław przechodzi na lewo za Zdzisławem, p. Kasper obraca się ku nim)* Co, pan także? Nie macie litości!

Dr. Rzeszko *(przystępując i biorąc go za puls lewej ręki, którą trzymał machinalnie wyciągniętą).*

Puls spokojny <http://rcin.org.pl>

P. Kasper (*obracając się ku niemu zdziwiony*).

A... a... pan kto jesteś?

Dr. Rzeszko.

Doktor Rzeszko.

P. Kasper (*zrywając się w gniewie*).

A, mój panie, tego już za wiele! Mogę być chorym, mogę być umierającym, ale żartować z siebie nie dam i wypraszam to sobie. (*chodzi wielkimi krokami na przodzie sceny*)

Dr. Rzeszko.

Nie gniewaj się pan; — ja jestem doktorem Rzeszkiem z Tarnowa, — teraz w Przemyślu osiadłym.

P. Kasper.

Tfy do diabła! Czy szkuta z Rzeszkami dziś w moim domu się rozbiła?

Dr. Rzeszko.

Nie, panie dobrodzieju — ja jestem jedyny prawdziwy doktor Rzeszko.

P. Kasper.

Więc tamci?

Dr. Rzeszko.

Falszywi Rzeszkowie.

Waluś (*zrywając się*).

Neczuperowicze! (*)

(p. Kasper przeskakuje po przed Rzeszkę na prawą stronę)

(*) *Nota: Neczuperowicz, herszt rozbójników w Galicyi.*

Dr. Rzeszko (*do Walusia*).

Cymbał! (*do p. Kaspra*) Nie, panie, — ten oto homeopata, (*wskazując na Władysława*) to nie homeopata, to niewinny agronom.... pański siostrzeniec, Władysław Szocki.

P. Kasper.

Szocki, syn mego szwagra?

Władysław.

Kochany wuju...

P. Kasper (*prędko*).

Precz, precz z mego domu, wynoś się, wynoś!...

P. Małgorzata.

Ależ Kaspruniu, mój brat go tu przysłał, żeby ciebie przeprosił.

P. Kasper (*spokojniej*).

Żeby mnie przeprosił... a tak, to co innego...

Władysław.

Mój ojciec pragnie z wujem się pogodzić.

P. Kasper.

Przeprosić... pogodzić... a, kiedy tak, to dobrze... przebaczam i godzę się; chodź tu chłopcze, niech cię uściskam.

(*Władysław rzuca mu się w objęcia, p. Kasper go ściska*)

P. Małgorzata.

Dzięki Bogu <http://rcin.org.pl>

P. Kasper

(uściskawszy Władysława, wskazuje z podejrzeniem na Zdzisława).

A tamten... co za jeden?

Zdzisław *(zmieszany).*

Ja, panie dobrodzieju, jestem... Zdzisław Morzycki, Inżynier pierwszej klasy przy kolei Przemysko-Łupkowskiej, przybyłem tu w celu... w zamiarze...

P. Małgorzata.

Pan Morzycki prosi nas o pozwolenie starania się o rękę Anusi.

P. Kasper.

O, co z tego, to nie nie będzie... już raz powiedziałem, nie wydam mojej córki jak za doktora.... chcę żeby mój zięć był doktorem.

Dr. Rzeszko.

Czy panu życie już tak niemiłe?

P. Kasper.

Jakto? dla czego?

Dr. Rzeszko.

Nie rozumiesz pan?... Teść i zięć... zięć i teść... jeden z nich doktorem!

P. Kasper.

Nie rozumiem.

Dr. Rzeszko.

Ależ on pana do sześciu miesięcy bez trucizny wygoli!

P. Kasper (*uderzając się w czoło*).

O! — rozumiem! (*do Zdzisława żywo*) Panie! panie, jak się nazywasz?...

Zdzisław (*z ukłonem*).

Zdzisław Morzycki.

P. Kasper.

To mi wszystko jedno. Pan pewnie nie jesteś doktorem?

Zdzisław.

Nie, panie, jestem...

P. Kasper.

Odpowiadaj pan wprost, bez wykrętów... słowo honoru że pan nie jesteś doktorem?

Zdzisław.

Słowo.

P. Kasper.

Dobrze!... Masz pan moją córkę.

Zdzisław.

Ach panie, ileż wdzięczności...

P. Kasper.

Anulku, zgadzasz się?

Anusia (*żywo*).

Zgadzam się, papo, zgadzam!

P. Kasper.

O, o! A jak ochoczo!... Ale wytłómaczcie mi teraz dla czego oni... (*wskazując Zdzisława i Władysława*)

Dr. Rzeszko.

Pana w kuracyą wzięli? — Zeby pana przekonać że pan zupełnie zdrow jesteś, czego dowodem że po przegłodzeniu i kąpieli, które pan tym oto doktorom zawdzięczasz, zjadłeś prosie i nic panu nie jest.

P. Kasper.

A... a... w samej rzeczy, zjadłem prosie i nic mi nie jest...

Waluś (*zbliżając się do doktora Rzeszki*).

Ale ja bardzo sierpiąsy.... ja... ja tę szklankę z homeopatyą wypilem.

Dr. Rzeszko.

O, to bardzo niebezpieczne!

Waluś.

Niebezpieczne! umieram! (*chwieje się*)

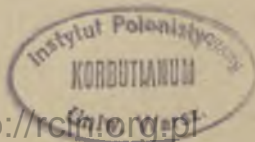
Dr. Rzeszko.

Tak jest, kiedyś umrzesz niezawodnie!

P. Kasper.

A teraz chodźmy zjeść obiadał, ale przedtém ukłoniemy się tym paniom i panom i poprosimy by tu za parę dni wrócili, a my dla nich złożymy Consilium facultatis.

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
80-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KOMEDYE

w tomie drugim zawarte.

	Str.
Posażna Jedynaczka, komedia w jednym akcie, prozą	5
Mentor, komedia w trzech aktach, prozą	99
Consilium Facultatis, komedyjka w jednym akcie, prozą	261



K

4594/2

KOMEDYK

J. A. Br. Fredey

2

J. B.